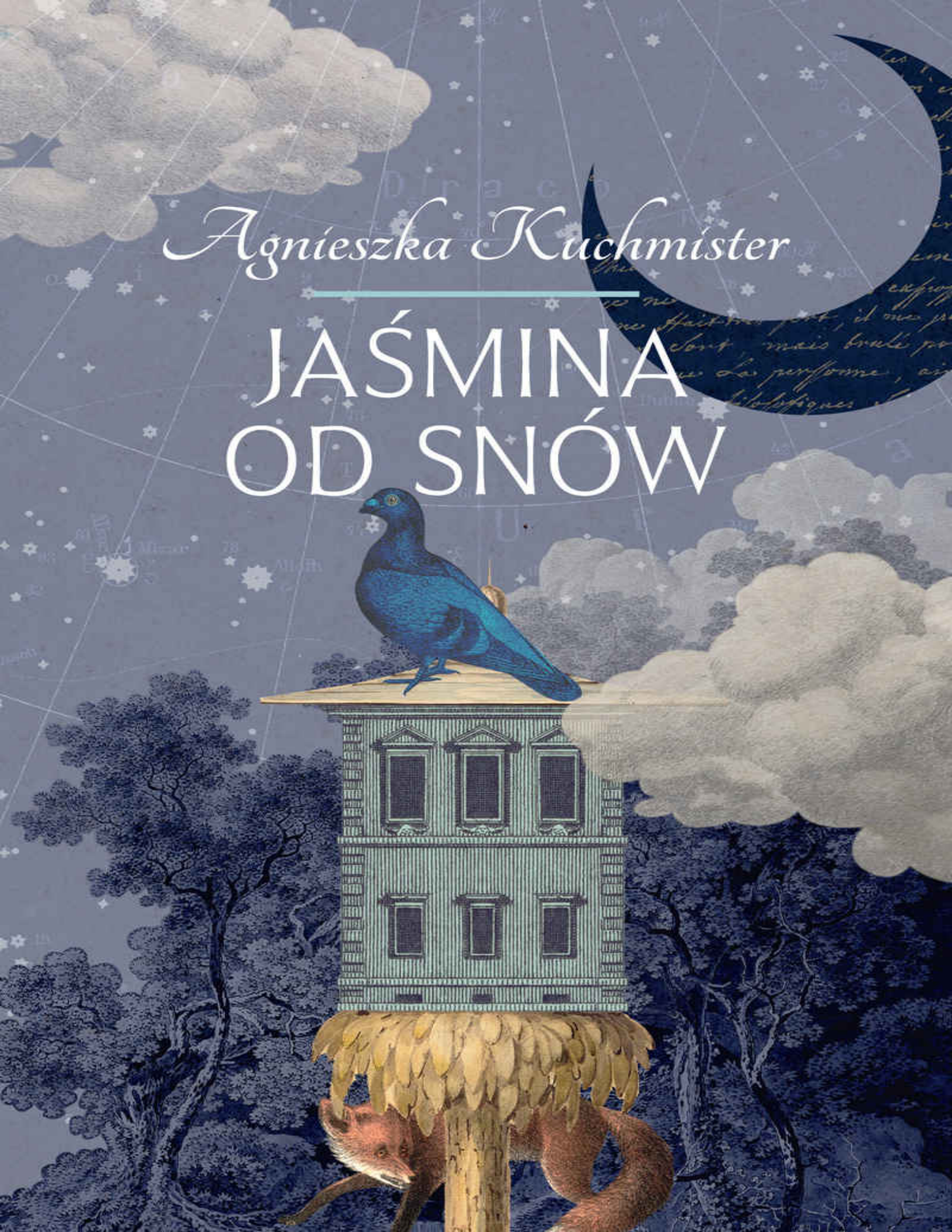


Agnieszka Kuchmister

JAŚMINA
OD SNÓW



Agnieszka Kuchmister

JAŚMINA
OD SNÓW



Książnica

Polecamy „serię sokołowską”
Agnieszki Kuchmister

FLORENTYNA
OD KWIATÓW

NADZIEJA
OD ZWIERZĄT

JAŚMINA
OD SNÓW

Zapraszamy na www.publicat.pl

Projekt okładki i stron tytułowych
ANNA SŁOTORSZ / ARTNOVO.PL

Ilustracje
Domena publiczna

Koordinacja projektu
ALEKSANDRA CHYTRONŃ-KOCHANIEC

Redakcja
ADRIANNA MICHALEWSKA

Korekta
IWONA HUCHLA

Redakcja techniczna
LOREM IPSUM – RADOSŁAW FIEDOSICHIN

Polish edition © Agnieszka Kuchmister, Publicat S.A. MMXXIV (wydanie elektroniczne)

Wykorzystywanie e-booka niezgodne z regulaminem dystrybutora, w tym nielegalne jego kopiowanie i rozpowszechnianie, jest zabronione.

All rights reserved

ISBN 978-83-271-6439-1

Konwersja: [eLitera s.c.](http://eLitera.s.c.)



jest znakiem towarowym Publicat S.A.

PUBLICAT S.A.

61-003 Poznań, ul. Chlebowa 24
tel. 61 652 92 52, fax 61 652 92 00
e-mail: office@publicat.pl, www.publicat.pl

Oddział we Wrocławiu
50-010 Wrocław, ul. Podwale 62
tel. 71 785 90 40, fax 71 785 90 66
e-mail: ksiaznica@publicat.pl

Spis treści

Karta redakcyjna

Motto

Wstęp

I. O domach, duchach i snach

II. O tym, skąd się biorą sny.

III. O wielkiej wodzie i o tym, co przyniosła

Podziękowania

Przypisy.

*Come closer and see
See into the trees
Find the girl while you can
Come closer and see
See into the dark
Just follow your eyes (...)*^[1]

Robert Smith, The Cure

Czasami przychodzi do mnie z głębi jaskiń, znad białej rzeki, przy której rosną maki. Słyszę, jak łopoczą jego czarne skrzydła. Czasami jest tylko światłem księżyca, a czasami pędzi po niebie, zostawiając po sobie rosę, którą rano czuję między palcami stóp. Bywa, że jest tak mały, iż przeciska się przez okienne szpary. Czuję piasek pod powiekami, wtedy wiem, że tu był. Kiedy rano przecieram oczy, moje palce są złote od gwiazdnego pyłu.

I

O domach, duchach i snach



Córka sołtysa czasami jadła ziemię albo korę z drzew i wtedy sołtys, choć trochę się tego wstydził, zawoził ją poza wieś, żeby zajęła się nią stara Grzebielucha. Kiedyś woził ją do Florentyny Dziubowej, bo zarówno jej nalewki, jak i niebieskie kwiaty z ogrodu pomagały na wszystko, ale ostatnimi czasy było im nie po drodze. Poważnili się o składki na renowację kościoła, o psy zagryzające sąsiadom kury, a przede wszystkim o poletko, na którym od lat Florentyna sadziła bób i kapustę, a które sołtys sobie upatrzył, aby to na nim wybudować z gminnych funduszy boisko.

Niech sołtys na państwowym buduje! Mało to ziemi? A jemu właśnie tam się uwidziało, bo i przy drodze do Szunowa, i do przystanku blisko, a może i był jeszcze jakiś powód wiadomy tylko jemu? Sołtys krępował się chodzić do Grzebieluchy, bo to prawie tak, jakby do wiedźmy chodzić. Stara mieszkała za Sokołowem w drewnianej chałupie pod lasem, której nie było widać z drogi, kiedy jechało się w stronę Krasnej, bo przycupnęła między wysokimi trawami i stuletnimi jaworami, tuż przy bezimiennym strumyku. Chałupa była dwuizbowa, cztery okienka, dach i komin. Nie było u Grzebieluchy elektryczności ani bieżącej wody. Stara żyła na uboczu z tego, co przynosili jej ludzie, którym pomagała. Sekretnie opiekowało się nią kilka kobiet z Krasnej, które niby przychodząc po poradę czy cokolwiek innego, zawsze zostawiały jej bochen chleba, pęto kiełbasy, twaróg, jajka, kankę mleka – wszystko z ich ziemi, wszystko, czym mogły się podzielić.

Do Grzebieluchy niektórzy przychodzili, aby odczynić zły urok albo się poradzić, bo czasami w duszy coś tak uwierało, że ani lekarz, ani ksiądz, ani nikt inny nie potrafił temu zaradzić. Grzebielucha siadywała naprzeciwko i długo patrzyła w oczy takiemu, co przyszedł. Dopiero potem decydowała, co należy uczynić. Bo można odczynić urok jajkiem lub solą, można spalić włosy, czasami trzeba nawet brudnych majtek. A bywa i tak, że nic się nie da zrobić.

– No nic nie poradzę. – Grzebielucha z sykiem wypuściła powietrze. – Ciemno w tobie.

– To złe oko, ktoś urok rzucił albo jakie złe mnie opętało, nerw jaki – upierał się mężczyzna. – Zdejmie babka, co?

– A czy ja wiem, czy to urok?

– A co innego? – Franciszek Kukła, kościelny organista, podniósł głos, zatrząsł się, aż zsunęły mu się z nosa okulary.

– Czasem w człowieku siedzi coś jakby gula, co ze smutku albo i ze złości się rodzi. Ale taką to człowiek sam musi wykrztusić. Bo co, jak ja dzisiaj odczynię, a ty za tydzień przyleziesz, bo ci nowa wyrośnie?

– No niech b-b-babka odczyni – zająknął się. – Na wszelki wypadek.

– Tyś kościelny, a zawsze do mnie przychodzisz. – Staruszka wlepiła oczy w mężczyznę, który trochę się speszył. – Stary ksiądz to by cię przegonił, bo on z tych był, co to nie wierzą w odczynianie uroków. A ten nowy, młody, to nic nie powie, niezainteresowany wcale. On to w ogóle niby ksiądz, a jak nie ksiądz.

– Mleko pod nosem! – prychnął mężczyzna. – Nowoczesny.

– A wodę święconą toś mi przyniósł?

– P-p-przyniosłem, przyniosłem. – Kukła wyjął z torby plastikową butelkę.

– Na pewno święcona?

– Na pewno. Zanim ksiądz się zjawił, nabrałem.

– Dobrze. Ale dzisiaj to ci jajkiem zrobię. Koszulinę zdejm.

Staruszka przyłożyła czubek jajka do głowy mężczyzny, po czym zaczęła je przesuwając, szepcząc przy tym modlitwy. Płomień świecy migotał nieprzyjaźnie i Franciszek Kukła nie mógł oderwać od niego wzroku, chociaż stara kazała, żeby nie patrzył. Ale on się bał tego, że jak zamknie oczy, to naskoczy na niego jaki czort. Ciemności bał się od dziecka, a ostatnio coraz bardziej, bo bardzo dziwnie się czuł sokołowski organista, jakby coś go opętało.

– Baby ci trza. – Grzebielucha załamała ręce po tym, jak w rozbitym jajku znowu nic nie wypatrzyła. – Gdzie to taki chłop i bez baby? Toż masz już ze czterdzieści lat. A to z tego bolączki się biorą. Jakby baba była przy boku, a może dziecka też jakie, to inaczej byś na świat patrzył, nie miałbyś czasu się zamartwiać byle czym.

– Łatwo babce mówić. Baby! A skąd ja babę wezmę? Toż przecie one na drzewach nie rosną – odparł lekko urażony Kukła. – Z-zresztą wcale mi nie trza baby.

– Aj, stary i głupi! – Grzebielucha podała mężczyźnie szklanekę z parującym napojem. – Do dna wypij, to się lepiej spać będzie, a na zaś też coś dam. Do dna, mówię!

Kukła skrzywił się, dopił wywar, podziękował i poszedł w noc. Księżyc akurat wisiał wielgachny i tłusty, więc różniej było wracać

pustą wiejską drogą. Kiedy taka cisza wokół, to nie wiadomo, co człowieka może spotkać. A jak do tego i cicho, i ciemno, to pewne, że taka noc to noc diabła. A Franciszek Kukła bardzo się bał piekła i diabła, nawet myślał nieraz, że jaki szatan w duszę mu zagląda i podpowiada różne rzeczy, bo czasami takie myśli przychodziły mu do głowy... Aż nie mógł uwierzyć, że to były jego myśli.

Szedł ze spuszczoną głową, jeszcze długo odbijało mu się gorzkimi ziołami. Dopiero gdy zaszedł pod swoją chałupę i usłyszał gruchanie gołębi, zrobiło mu się jakoś lepiej. Chwilę posiedział pod gołębnikiem, zapalił papierosa, a potem tak jak stał, walnął się do łóżka. Przed snem przeżegnał się do wiszącej nad łóżkiem ikony ze Świętym Drogo, łypnął jeszcze za okno w ciemność nocy, czy nic pod ścianą nie stoi, i zamknąwszy oczy, pomyślał z zadowoleniem, że nazajutrz w kościele mają się zjawić dziewczuchy ze wsi, żeby ćwiczyć śpiewanie. Zawsze to przyjemniej czas leci w ich towarzystwie. Czasami Franciszek Kukła myślał sobie, że chciałby być jak te dziewczęta, beztroskie, młode i ładne, a nie jąkająca się pokraka, jak za plecami mówili o nim ministranci.

A Grzebielucha stała w oknie jeszcze długo po tym, jak organista wyszedł. Stała i dumiała, jaki to dziwny świat, że niby każdy taki sam się rodzi, a potem ludzie tak różni wyrastają. Bo jeden będzie żył i cieszył się tym życiem, robił, co do niego należy, a drugi będzie jak ten Kukła, że tylko spojrzeć na takiego i już człowieka jakaś litość bierze, że takie to chodzi po ziemi.

Tej samej nocy, kiedy Grzebielucha dumiała, Kukła chował się przed diabłem pod pierzyną, a księżyc świecił tak mocno, jakby płynne srebro skapywało z niego na ziemię, Jaśmina spała głęboko i śniła. Każdy w Sokołowie wiedział, że sny Jaśminy od Dziubów nie są zwyczajnymi snami.

Sen o Nadziei, której stopy nie dotykają ziemi

Dom był pusty, pełen powietrza, wszystkie okna otwarte. Wzdęte brzuchy firanek łapały wiatr wlatujący z ogrodu. Z wiatrem wpływało łaskoczące światło księżyca, od którego mrowiła skóra na ramionach. Pachniało ozdobnym groszkiem i świeżo rozkopaną ziemią.

Jaśmina szła korytarzem i choć wiedziała, że jest to ten sam korytarz, po którym zawsze chodzi, to teraz akurat nie miał początku ani końca. Gdyby tak iść przed siebie, można by dojść do jakichś

tajemnych miejsc: może ukrytych pod piwnicą jam, a może wróciłoby się do punktu, z którego się wyszło? W snach nigdy nic nie wiadomo. Stała więc i podeszła do okna. Ujęła w ręce wzburzoną biel firanek.

Tam, na zewnątrz, w głębokiej nocy błękitniał ogród. Lekko kołysały się rzędy malw przy płocie, drżały płatki porcelanek. Jaśmina widziała między cieniami jakąś postać i dopiero po chwili zrozumiała, że to jej siostra Nadzieja. Stała tam otoczona psami i lisami, odwrócona tyłem tak, że było widać tylko jej miedziane włosy i długą sukienkę w kolorach jesieni.

Jaśmina wychylała się i wołała, ale kiedy Nadzieja się odwracała, wydawało się, że nie widzi siostry, że jej oczy wpatrzone są w jakiś punkt tuż nad oknem. Zaczęła się zbliżać, za nią ruszały zwierzęta. Jakiś niepokój, którego początkowo nie rozumiała, rozdzierał ją od środka. Kobieta sunęła przez nocny ogród, zbliżała się do otwartego okna, skrawek jej sukienki ledwie muskał czubki traw, a stopy unosiły się tuż nad ziemią. Kiedy była na tyle blisko, że wystarczyłoby wyciągnąć rękę, aby jej dotknąć, Jaśmina się budziła.

W cichym ciemnym pokoju słyszała bicie własnego serca. Niezrozumiały lęk rozlewał się po zaspanym ciele, a ona leżała bez ruchu. Rano tylko zmieniała poszewkę poduszki, wycisnąwszy ją najpierw z łez. Minęło już tyle czasu od śmierci siostry, a ona wciąż miewała te sny. Prócz tego były jeszcze sny o gnijących owocach, zepsutych zegarach i muchach uwieczonych między szybami okien. I te najgorsze – sny o brudnej wodzie.

Czasami zastanawiała się, czy jej siostra jest duchem, który zamieszkał w jednej ze starych jabłoni. To tam, między sadem a starą akacją przy płocie, widywała kiedyś tańczące białe cienie, ale być może to też był tylko sen. Mara. W duchy wierzyła, jak wierzy się w coś, gdy ma się nadzieję, że to naprawdę istnieje. Róża śmiała się z niej, wykpiwała jej nocne czuwanie przy zapalonych świecach.

Jaśmina szukała duchów wszędzie i tak było od zawsze, a właściwie od momentu, w którym po raz pierwszy przyśnił jej się wąsaty dziadek. Potem widywała go, jak przechodził zgarbiony między skarłatymi gruszami albo tam, gdzie kiedyś była studnia. Słyszała, jak skrzypią schody, chociaż nikt po nich nie chodził, jak pod piecem strzela ogień, choć jeszcze nikt w nim nie rozpałił.

Czasami wydawało jej się, że w środku nocy ktoś się krząta po kuchni, ale kiedy wstawiała, żeby to sprawdzić, nie było tam nikogo, tylko radio trzeszczało. „Musiało samo się włączyć, to stary grat”, mówiła potem Róża. Twarz siostry tężała, kiedy Jaśmina dodawała,

że może racja, ale akurat się włączyło, gdy Niemen leciał albo Mała Luna, więc dlatego nie wyłączyła od razu, tylko siedziała w ciemności przy kuchennym stole, wysłuchując melodii do końca. Mała Luna, słynna skrzypaczka, zaprzyjaźniła się przed laty z Nadzieją, dlatego jej melodie wszystkim kojarzyły się ze zmarłą siostrą. „Dzielimy dom z duchami, to pewne”, mawiała potem przy śniadaniu, a Róża posyłała jej karcące spojrzenie.

– Znowu straszysz dzieci. – Kręciła głową i zwracała się do siedzących przy stole dziewczynek i nieco młodszego od nich chłopca, który jeszcze nic nie rozumiał z ich rozmowy. – Duchów nie ma.

– A co z tą panią z pnia? – pytała Hania wpatrzona w matkę, a Róża zagryzała wargi i naprędce wymyślała jakąś odpowiedź.

– Tam nie było żadnego ducha. – Róża zacisnęła wargi, przypominając sobie o tym, jak przed laty, kiedy jeszcze żyła Nadzieja, w pustym pniu ściętego orzecha znaleźli zasuszone ciało Halszki, co wpadła tam, próbując uciec ze strychu. Halszki, która nigdy nie pogodziła się z tym, że Sławek wybrał Nadzieję, i która według Nadziei mieszkała potem na strychu jako szeleszczący duch.

– Ale ciocia Nadzieja opowiadała, że był. – Mała nie dawała za wygraną.

– A czy ciocia Nadzieja jest duchem? – wtrąciła się Malwa, córka Jaśminy, tak bardzo podobna do Hani, że wszyscy brali je za rodzone siostry.

– Nie, ciocia Nadzieja nie jest duchem – ucinała twardo Róża, zła, że dziewczynki opowiadają takie rzeczy przy babci Florentynie, która wprawdzie wcale się nie odzywała, ale jej oczy się zaszklily. – Jedzcie i zmykajcie na dwór! – Róża znów nachyliła się nad swoimi ulubionymi grzankami z marmoladą. – Wszystko w porządku, mamó?

– Ja nawet wolałabym, żeby ona była duchem, Różyczko – odpowiedziała Florentyna. – Czy to byłoby coś dziwnego?

Jaśmina przysunęła się bliżej matki i oparła głowę na jej ramieniu. Całkiem siwe włosy Florentyny pachniały maciejką i starością.

– Wszyscy jesteśmy duchami. – Jaśmina przymknęła oczy i wdychała zapach, o którym wiedziała, że za jakiś czas stanie się bolesną tęsknotą.

– Wiecie, ona skończyłaby w tym roku czterdzieści osiem lat. – W głosie Florentyny było więcej zdziwienia niż smutku.

Coś kłębiło się między nimi po tych słowach, jakby kożuch goryczy zawisł w powietrzu gęstym od śmiechów i podniesionych głosów.

Wszyscy tęsknili za Nadzieją, której pękło serce, tak jak to przewidziała stara Cyganka. To nieprawda, że czas leczy rany, czas pokrywa je tylko kurzem zapomnienia.

Jaśmina patrzyła na rodziców i wzbierało w niej coś strasznego, jakaś fala ni to miłości, ni to rozpacz. Siwiutka Florentyna ze skórą białą jak porcelanowa filiżanka wydawała jej się delikatna i krucha jak lalka. Kiedy siedziała za stołem, wyglądała jak mała dziewczynka, której ktoś przez przypadek dał twarz staruszki. Jaśmina obawiała się, że silniejszy powiew wiatru zmiecie ją z krzesła, porwie w stronę rozczochranych lip i jesionów, uniesie z sobą daleko, za horyzont, tam gdzie wieczorami tańczą światła nad Czarnym Lasem.

Ojciec wydawał się młodszy, choć w rzeczywistości był od Florentyny starszy o dwa lata. Z wiekiem może tylko trochę posmutniał. Zawsze nosił w sobie ten smutek i tęsknotę do gwiazd, do odkrywania nieznanego.

Tylko ogród był niezmienny, wciąż kwitł niebieskimi kwiatami szafirków, ołownika i hortensji. Pod płotem od strony głównej drogi rozrosły się niezapominajki, które całkiem pokryły wypukłość po zakopanej studni. Grusze w sadzie od wschodniej strony domu już wydawały się usychać, poprzedniej jesieni nie obrodziły, ale tego roku ich gałęzie obsypało mrowie delikatnych białych kwiatów. Morwy prawie całkiem przysłaniały stary dom, w którym przed laty mieszkali Stasia i Paweł, jeden z bliźniaczych braci Florentyny, a potem Nadzieja i Sławek.

Ogród żył, rozrastał się. Tylko ten stary dom, od kilku lat zamknięty na cztery spusty, marniał tam między gęstą czeremchą i coraz wyższymi świerkami. Tamta część ogrodu była teraz jakby ciemniejsza. Czasami można było odnieść wrażenie, że jest tam chłodniej, że kiedy przechodzi się wąską ścieżyną za warzywnikiem, tam gdzie zaczynają się morwowe krzewy, jakiś zimny wiatr smaga plecy.

W gąszczu nieprzycinanych krzaków mieszkały małe zwierzęta i czasem późno w nocy słyhać było szmery i chrobotanie. W ciemności przez ogród przebiegały kuny, jeże i popielice. Niekiedy wydawało się, że coś jeszcze, coś większego, jaśniejszego sunie między uśpionymi drzewami. Nikt o tym głośno nie mówił, ale każdy myślał w takich momentach o nieszczęsnej Alince Juchównie, która umarła w tym ogrodzie i której włosy rosły jeszcze długo po tym, jak jej białe ciało złożono w trumnie.

Florentyna czasami przyłapywała w swoim ogrodzie Marysię Miśtównę, sołtysową córkę. Dziewczyna nie robiła nic złego, po prostu siadała między rzędami kwiatów, obserwowała mrówki i biedronki, czasem jadła ziemię. Wtedy często się zdarzało, że gałki jej oczu się wywracały, a ona wstawała i zaczynała się śmiać albo tańczyć. Niekiedy też śpiewała, a śpiewała pięknie, najpiękniej w całym Sokołowie. Często chwalił ją organista, Franciszek Kukła, że z takim głosem to powinna zrobić karierę śpiewaczki, a nie siedzieć w Sokołowie i wyjadać ludziom ziemię z ogródków. Ale nie było na to rady, na Marysię, na tę ziemię, na tańcowanie w obcych ogrodach.

Marysia była inna. Zdarzało się, że znikwała na kilka godzin i wtedy czerwony ze złości sołtys chodził po chałupach i jej szukał. Raz znalazł córkę śpiącą w stodole u Juchów, innym razem zasnęła w ostatniej ławce sokołowskiego kościółka, a kiedyś szwendała się daleko w Lisim Lesie, aż dzwoniłi do niego z gospody Na Rozstaju, że późno już, a ona tak chodzi sama bez celu, jeszcze coś jej się stanie.

Innym razem szukał jej długo, bo nie było jej ani w lesie, ani w kościele, ani w żadnej stodole. Dopiero późnym wieczorem Jaśmina zauważyła coś w oknie starego domu Nadziei i najpierw się przestraszyła, że to któryś z duchów jej się przygląda. Po chwili poznała, że to była ona, sołtysowa córa. Jak tam weszła, nie wiadomo, pewnie tak samo, jak czasem wchodziły tam po kryjomu Malwa i Hania. Sołtys podjechał swoim polonezem, przeprosił za kłopot i zapakował córkę do auta. Jaśmina odpowiedziała, że to żaden kłopot, stała jeszcze i patrzyła za nimi, trochę szkoda jej było dziewczyny, ale chyba jeszcze bardziej żał jej było sołtysa, wiecznie umartwionego, zbyt pobłażliwego. Cała wieś się z niego śmiała, że chłop jak dąb, a najmłodsza córa owinęła go sobie wokół palca.

– Córcia, nie możesz tak znikać. Na tak długo, przecież wiesz – wysapał sołtys, wsiadając za kierownicę. – I coś ty tam robiła tyle czasu, sama?

– Nie sama – odpowiedziała Marysia, a sołtys aż się odwrócił, bo córka odzywała się rzadko, bardzo rzadko.

Jaśminę, wciąż stojącą w oknie, przeszedł dreszcz.

Sen o pustych pokojach

Sen o pustych pokojach przyśnił się Jaśminie, kiedy noce stawały się coraz zimniejsze, bo pamiętała, że obudziła się w chłodzie, który wdarł się do sypialni przez niedomknięte okno.

Coś było nie tak, okno skrzypiało i nie dało się zatrzasnąć. Trzeba będzie jutro zobaczyć, pomyślała, jeszcze chwilę mocując się z upartym lewym skrzydłem. W tym momencie, patrząc na cieniutki rogalik księżycy, który zawisł nad niebieskim ogrodem, przypomniała sobie cały sen, z którego właśnie się wybudziła. Księżyc w jej śnie też był sierpem przybywającym. Rósł. A wiadomo, że gdy księżyc rośnie (szczególnie we śnie), to musi się coś wydarzyć. We śnie księżyc wisiał nad innym ogrodem, tym zapuszczonym, wokół pałacu.

Pałac stał pusty i coraz bardziej zaniedbany, odkąd przed kilku laty zamknięto PGR wraz z biurami, które się w nim znajdowały. We śnie Jaśmina szła, przedzierając się przez wybujale forsycje, zdziczałe róże i tawuły. Pałac emanował jakimś dziwnym światłem, choć może było to tylko światło księżycowe, bo sierp wisiał tuż nad spadzistym dachem. Wszystko porastał wiciokrzew, choć w rzeczywistości ściany pałacu były tyse, jedynie od wschodniej strony, tuż przy tarasie, ostało się dzikie wino czerwieniejące każdej jesieni.

Florentyna opowiadała, że rosło tam od zawsze, i Jaśmina pamiętała to w swoim śnie. Drzwi były uchylone i wszystkie okna otwarto na przestrzał. Szła w półmroku korytarzy, wdychając wieloletni kurz. Mijając puste pokoje, słyszała echo własnych kroków i choć był to jedyny dźwięk w całym pałacu, miała poczucie, że nie jest sama. Patrzyły na nią nieruchome twarze ze starych obrazów. Jeden, co dziwne, był jak cmentarny medalion. Na nim smutne oczy patrzące czernią. Na kolejnym jasne twarze bez wyrazu, wszystkie do siebie podobne. Jaśmina wiedziała, że to musieli być ci, którzy kiedyś tu mieszkali, a teraz stali się po prostu duchami tkwiącymi na wieczność w ścianach. We śnie pomyślała o tym, z jaką satysfakcją opowie o wszystkim Róży.

Sunęła przez snującą się pod stopami mgłę, która wlewała się oknami, a im dłużej szła, tym mniej widziała. Puste pokoje czekały, aż ktoś do nich zawita, bezgłośnie zapraszały do swoich staroświeckich wnętrz, kusiły wygodnymi kanapami, fotelami, miękkością dywanów. Jaśmina mijала je, nie wchodząc jednak do środka, we śnie miała bowiem pewność, że to nie ona powinna być gościem tych opuszczonych wnętrz. Ktoś się sprowadzi do pałacu, przemknęło jej przez myśl, kiedy rano przy śniadaniu opowiadała swój sen domownikom. I rzeczywiście, nie minęły dwa tygodnie, a do

Sokołowa zaczęły zjeżdżać ciężarówki zwożące meble i inne domowe sprzęty. Wokół pałacu zaczęli się kręcić obcy ludzie, wchodzili i wychodzili, podjeżdżali samochodami, po czym znikali w kurzu drogi prowadzącej do Szunowa.

Któregoś dnia przybyła ekipa remontowa, która dość szybko uwijała się z odświeżaniem starych murów i naprawą tego, co wymagało naprawy. Było oczywiste, że ktoś kupił pałac, jednak nikt w Sokołowie nie miał pojęcia, kto jest nowym właścicielem. We wsi krążyły różne plotki. Mówiono o jakimś bogatym Niemcu, o zamożnej rodzinie szunowskich przedsiębiorców, a nawet o rzekomych potomkach rodu Czerwińskich, którzy postanowili odzyskać majątek utracony podczas wojny. Wszyscy zgadywali, bo nawet wynajęte do zajęcia się pałacem ekipy nie wiedziały, kto stoi za zleceniem. Wszyscy, szczególnie ludzie w Sokołowie, lubią tajemnice, więc kiedy zaczynała się tamta jesień, nie mówiono o niczym innym. A gdy pożółkły już wszystkie liście w Czarnym Lesie, było o czym rozprawiać.

Pod pałacem zrobiło się gwarno. A jesień była wyjątkowa, buzująca od złota i czerwieni, od lepkich pajęczyn i sinych mgieł unoszących się w powietrzu. Kiedy na polecenie nowych właścicieli zaczęto kopać (co chcieli tam wybudować, nikt nie wie, ale mówiono o stawie), czas się wyrzucił i na wierzch wyszła przeszłość. Tym razem ukazała się w postaci pozostałości po pradawnej słowiańskiej osadzie, na którą natrafiły stalowe zęby koparek. I tą pradawnością musieli się zająć archeolodzy.

W Sokołowie zjawili się archeolodzy, choć znalezisko nie było imponujące, ot kilka połamanych skorup, narzędzi, jakieś figurki i kości. Nic nadzwyczajnego dla przyglądających się ich pracy ludzi z Sokołowa. W szunowskim „Kurierze” ukazał się artykuł o odkrytej prasłowiańskiej osadzie, archeolodzy rozkopali cały teren, ale niczego więcej nie znaleźli. Nie ziściły się plany nowych właścicieli, którzy chcieli stworzyć wokół pałacu ogród na miarę tego, jaki kiedyś podobno otaczał budynek – z sadem, z rozarium oraz ze stawem wypełnionym liliami wodnymi i tatarakiem.

Wykopane znaleziska oczyszczono, sfotografowano i skatalogowano, po czym archeolodzy je spakowali i wywieźli. Zostawili tylko dziurę w ziemi.

Dni stawały się coraz krótsze i coraz ciemniejsze, a kiedy nadeszła zima i ziemia skostniała, zmarzła na sople, nie pozwoliła już nikomu w sobie grzebać. Bo wcześniej zaciekawieni chłopcy ze wsi zakradali

się wieczorami pod pałacowe mury, co odważniejsi przeskakiwali nad postawionym przez archeologów prowizorycznym płotkiem. Czego szukali, nie wiadomo, skarbów może, bo we wsi mówiło się wtedy, że to skarby w pałacowym ogrodzie znaleziono. Ludzie nie chcieli wierzyć, że tyle zachodu dla kilku skorup i kości.

Chłopcy wracali jednak z pustymi rękami, jedynie czarnymi od ziemi, którą trudno było wymyć spod paznokci. Ziemi, która naznaczyła ich za to, że beczelnie ośmielili się grzebać w jej wnętrznościach.

Pewnego razu nowy właściciel przyłapał Mirka Maślankę, gdy przeskakiwał przez ogrodzenie, ale go puścił, bo rozpoznał w nim ministranta.

– Nie macie tu czego szukać, z ziemi już wszystko zostało wykopane i zabrane – powiedział, cmokając.

Nie tylko zaciekawieni chłopcy przychodzili pod pałac. Prawie codziennie zjawiała się sołtysowa Marysia. Stała nieopodal wykopalisk z wypiekami na twarzy, podśpiewując pod nosem sobie tylko znaną melodię. Nie chciała odejść, kiedy szukający jej po całej okolicy sołtys podjeżdżał pod pałac swoim polonezem. Wyglądała, jakby na kogoś czekała.

Przychodzili też inni, każdy chciał na własne oczy zobaczyć znalezisko. Któregoś dnia zjawił się nawet garbaty Wieczorek, który przydreptał aż z Krasnej. Stał na uboczu, wpatrując się w kołyszącą się w rytm melodii Marysię.

W „Kurierze” napisano o figurkach i związanym z nimi kulcie, który prawdopodobnie narodził się na tych ziemiach przed wiekami, kiedy jeszcze nie było żadnego Sokołowa ani Lisiej Nory, a lasy nie miały imienia i były jedną wielką puszcza:

Podobne prasłowiańskie kultury spotkać można było na terenach Podlasia, a także dzisiejszej Ukrainy i Białorusi. Obiektem kultu była tam podobna żeńska postać. Nie możemy nie zauważyć podobieństwa pomiędzy znalezionymi w Sokołowie figurkami a posążkami odnalezionymi na tamtych ziemiach.

Do artykułu dołączono fotografie, zarówno te z Sokołowa, jak i dla porównania te, na których znajdowały się podobne posążki z innych miejsc. Długowłosa postać wyglądała trochę jak sokołowska Zielna Maryjka. Ale tego archeolodzy nie wiedzieli, bo żaden z nich nie przestąpił progu lokalnego kościoła.

Wtedy wieczory były już całkiem chłodne, pełne czerwieni, prawie purpurowe, bo od zachodu szła niespokojna poświata i krwiste zorze

zakwitały za wzgórzami. Wyostrzyły się kontury rzeczy, świerki w Czarnym Lesie jakby wystrzeliły w górę i nawet księżyc zrobił się bardziej jaskrawy. Wisiał teraz nad domami wielgachny, żółty i straszny. Przyglądał się z wysoka, oblewał dachy zimnym światłem i nie dawał spać.

Kometa, która zjawiała się nad światem już w maju, teraz stawała się na ciemnym niebie coraz wyraźniejsza. Jakiś niepokój wisiał w powietrzu, każdy to czuł. Jaśmina przewracała się z boku na bok i coraz to budziła się z głową pełną złych obrazów. Sny miała niedobre, ciemne i wilgotne, pachnące próchnicą, ziemią i piwnicami.

Róża też nie spała, bo nie potrafiła spać spokojnie, kiedy jej siostra miewała koszmary. I choć już nie mogła ich widzieć, jak to bywało, kiedy były dziećmi, to ogarniała ją nerwowość. Wstawała więc wcześniej niż wszyscy, rozpaliała w piecu, nastawiała kawę, kroiła ser i pomidory, szykowała kakao dla dzieci i czekała, aż dom się obudzi.

Lubiła mieć wszystko zawczasu przygotowane i pod kontrolą, zupełnie inaczej niż Jaśmina, która ten chaos, który nosiła w głowie, miała wokół siebie. Czasami zapominała nawet, jaki jest dzień tygodnia. Florentyna patrzyła na córki i w Róży widziała Jodelkę, swoją matkę, tę, która kiedyś trzymała ten dom w ryzach. W Jaśminie rozpoznawała raz siebie, a raz Nadzieję, chociaż nie do końca, bo Nadzieja była dzika jak małe zwierzątko, a Jaśmina bardziej jak taka wróżka czy zjawa.

Florentyna też źle sypiała w tamtym okresie, co chwilę się budziła, wydawało jej się, jakby ktoś ją wołał, ale kiedy wstawała, dom był cichy i ciemny. Siemił cichutko chrapał po drugiej stronie łóżka, kot Lemi przeciągał się i drapał prześcieradło. Dopiero tuż przed świtem z kuchni zaczynały dobiegać dźwięki krzątającej się Róży, potem dołączały do nich głosy zaspanych dzieci, mężów bliźniaczek, Piotra i Mikołaja, szykujących się do pracy, i przedrzeźniającej się z Różą Jaśminy, która znów przy śniadaniu opowiadała swoje dziwne sny albo mówiła coś o duchach.

Cała wieś wstawała wtedy wcześniej, a niektórzy to prawie wcale nie spali. Sołtys Miśta siedział nieraz do rana, kurząc papierosy i słuchając kroków na piętrze, w Marysinyim pokoiku. Też nie spała. Albo tańczyła, albo siedziała w oknie i wpatrywała się w rzednącą noc. Kiedy któregoś razu zapytał ją, czego tak tam wypatruje, odpowiedziała, że pani z lasu. Gdy zapytał: „Jakiej pani?”, palcem wskazała na rozłożoną na stole gazetę, gdzie na pierwszej stronie

widniało zdjęcie figurki znalezionej w wykopaliskach pod pałacem. Pani z lasu. Nie pytał o nic więcej.

Domy i duchy

– Wchodzącyście do starego domu? – zwróciła się Jaśmina do naburmuszonych dziewczynek, które Róża właśnie ukarała za zakradanie się do domu Nadziei. Pociągnęła łyk zaparzonej melisy, po czym skrzywiła się i dodała do naparu odrobinę miodu. – Po co tam w ogóle chodzą? Mówiłam wam, że duchom nie wolno przeszkadzać.

– Jaśmina! – Róża syknęła na siostrę.

– No co? – Wzruszyła ramionami.

– Nie chodzi o żadne duchy, tylko o to, że wam dach może spaść na głowy. – Siemił pogroził dziewczynkom palcem. – To stary dom, nieremontowany od lat. Aż tu słyszeć, jak ściany trzeszczą.

– To przez duchy – wypaliła Jaśmina, nie patrząc na nikogo, tylko popijając swoją ziołową herbatę. Uwielbiała drażnić siostrę.

Róża przewróciła oczami, powiedziała pod nosem, że Jaśmina zachowuje się jak dziecko, a Florentyna się zaśmiała, jednak szybko zamilkła pod piorunującym spojrzeniem Róży.

– W ogóle przydałoby się coś z tym domem zrobić. – Róża popatrzyła na milczących dotąd Piotra i Mikołaja. – Niedługo sam się zawali. Co to za porządki, żeby ruina na podwórku stała?

– To kosztuje taki dom wyremontować. I co później z nim zrobimy? Nie sprzedamy przecież. Niech stoi na razie. – Piotr popatrzył na żonę i po kilku sekundach wydawało się, jakby zmiękł, rozpląnął się pod jej spojrzeniem. – Można też wyremontować, masz rację. Będzie dla dzieci, gdy dorosną – dodał.

– Albo ktoś z nas mógłby się tam przenieść – zauważył Mikołaj, którego trochę męczył ścisk w Dziubowym domu.

– Dla nas? Będziemy mieszkać w domu z duchami?! – wykrzyknęła z entuzjazmem Malwa.

– Super! – skwitowała Hania, a Róża tylko pokręciła głową i wróciła do jedzenia, mówiąc już bez przekonania:

– Obiecacie, że nie będziecie tam wchodzić!

Malwa nadeła policzki tak, że nie mogła nic powiedzieć. To był jej sposób na uciekanie od odpowiedzi na niewygodne pytania. Hania pochyliła się w stronę matki.

– Nie wiem, czy mogę ci dać obietnicę bez pokrycia – odpowiedziała, unosząc głowę i patrząc hardo w oczy Róży, która tylko szepnęła coś pod nosem i szturchnęła Piotra, mówiąc:

– Radź sobie z nimi.

– Są takie jak my kiedyś – rzekła Jaśmina do Róży, przyglądając się szepczącym między sobą dziewczynkom, znikającym w najdalszych kątach domu i ogrodu. – Chcą wszystko wiedzieć, poznać, odkryć. Jeszcze im nie wywietrzała z głów zachwyty nad wszystkim.

– Kiedyś wywietrzeje – ucięła sucho Róża, a Jaśmina tylko westchnęła, patrząc na siostrę, która coraz bardziej wydawała jej się czymś w rodzaju jej lustrzanego odbicia.

Bo choć miały takie same rysy twarzy, to różniło je prawie wszystko. Róża pociągała kredką brwi często ściągnięte w zadumie lub złości (jak kiedyś u ich babki, Jodełki, choć Jaśmina nie mogła tego wiedzieć). Oczy Jaśminy były za to wciąż szeroko otwarte, rozmarzone, jakby chciały dostrzec jak najwięcej ze świata wokół. Jaśmina nosiła rozpuszczone włosy, Róża ścięła swoje już dawno, do tego farbowała je na modny miedzianokasztanowy odcień. Używała szminki, beżowych cieni do powiek i nosiła złoty łańcuszek z krzyżykiem po Hanuli. Jaśmina nie stosowała makijażu, lubiła tylko brokatowe błyszczyki albo owocowe balsamy do ust, które czasami nieświadomie przygryzała. Kiedy na jakieś większe okazje pociągała rzęsy tuszem, czuła się, jakby była kimś innym, przebranym, przemalowanym.

Do Róży natomiast makijaż pasował tak samo jak dopasowane sukienki, botki na obcasie albo eleganckie sweterki zapinane na guziki z masy perłowej. Jaśmina dobrze się czuła, nosząc powłóczyste spódnice, rozciągnięte swetry i modne ostatnio ciężkie buty. Z daleka wyglądała jak jedna z nastolatek, które grupkami zbierały się za szunowskim przystankiem, żeby po kryjomu palić papierosy.

Jaśmina po zamknięciu sklepu, który przemianowała na Czarodoro i teraz prowadziła sama, często siadywała na tym przystanku, czekając na popołudniowy PKS, bo czerwony maluch, który miała do spółki z Różą, coraz częściej szwankował. Gdy tak siedziała zatopiona w myślach, wpatrzona w obtarte czubki swoich butów, tylko z bliska można było poznać, że ma dużo więcej lat niż kurzące za wiatą szesnastolatki. Czasami przyglądała się sobie, nie mogąc uwierzyć w to, że nie jest już młodą dziewczyną, że ma Malwę, która

za kilka lat też będzie jak te roześmiane dziewczyny z pasemkami we włosach i tęsknotą za wielkim światem w oczach. Jej nie brakowało świata, nie wyobrażała sobie siebie w innym miejscu niż Sokołów. Chyba tylko to łączyło ją z Różą, to przywiązanie do rodzinnego domu, do niebieskiego ogrodu, do wsi, która choć z pozoru zwyczajna, kryła w sobie więcej, niż mogło się wydawać.



Dziewczynki starały się dotrzymać obietnicy. Nie wchodziły do starego domu, ale za to często przed nim przesiadywały. Czekwały na pojawienie się czegoś w cieniu rozłożystych krzewów, ale jedyne, co do tej pory udało im się zobaczyć, to znów ten sam chudy lis, który przychodził nie wiadomo skąd.

– Może tu nie ma żadnych duchów? – odezwała się smutno Hania siedząca w wilgotniejącej trawie.

– Naprawdę myślałam, że może jakieś zobaczymy. – Malwa wykrzywiła usteczka, w ich kącikach nadal miała malinowy syrop, którym obficie poląła swoją porcję budyniu.

– A ja wam mówię, że są. – Jaśmina pojawiła się za ich plecami.

– Nie wchodziliśmy do środka! – zapobiegawczo wykrzyknęła Malwa.

– Wiem. Jesteście ciekawe, to nic złego.

Jaśmina przycupnęła przy nich. Były do siebie tak podobne, prawie jak rodzone siostry. Jakaś tęsknota ścisnęła serce Jaśminy, gdy popatrzyła na te dziecięce twarze. Myślała o sobie i o Róży sprzed lat i o tym, że czas jest bezlitosny, bo nie pozwala, żeby cokolwiek się powtórzyło.

Kiedyś dziewczynki zrozumieją, że duchy to zapach biorący się nie wiadomo skąd. Trzeszczenie starych schodów, zawodzenie wiatru w kominie. Powiew chłodnego powietrza w upalny dzień, cień, który przez chwilę wydaje się czymś zupełnie innym. Duchy to coś, co czuć w starych szafach pełnych niewyciąganych od lat sukienek. Coś, co patrzy na nas z dawnych fotografii. Coś, co można dostrzec tylko kątem oka, bo zawsze znika, kiedy próbuje się na to spojrzeć. Duchy mieszkają w snach i w starych ścianach, na obrazach i na niewietrzonych strychach.

Niektóre stały się drzewami lub kwiatami albo niebieskimi cieniami, które wieczorem widać między jabłoniami. W Dziubowym ogrodzie na

pewno mieszkały takie duchy. Jaśmina wypatrywała ich w cieniach kładących się między rabatkami, w mgłach odrywających się od ziemi o świcie. Czasami jej się wydawało, że to ona jest duchem – przez to, że żyje w świecie skleconym ze snów i wspomnień.



Dom, w którym kiedyś mieszkała Nadzieja, a jeszcze wcześniej brat Florentyny z rodziną, teraz stał pusty. Był niewielki. Otaczała go gęstwina morw, które wyrosły po drugiej stronie ogrodu, tuż za warzywnikiem. Przy nim znajdowała się furtka, którą można było wyjść na drogę prowadzącą do Czarnego Lasu. Można też było się udać w drugą stronę, gdzie rozciągały się Maciejowe pola.

Jaśmina często śniła o tym domu, szczególnie ostatnio. W snach chodziła po jego pustych pokojach, przeciskała się pomiędzy poupychanymi w przestrzeni strychu meblami, które tworzyły labirynt. Gdy nikt nie widział, przychodziła pod jego zaniedbane mury, bo coś takiego było w tych snach, że musiała tam iść. Dom niszczał i Róża miała rację, mówiąc, że należałoby tam jak najszybciej zrobić remont. Puste okna wyglądały smutno.

Pamiętała, jak niegdyś ten dom był pełen zwierząt, jak nie można było spokojnie przejść, żeby z jakiegoś zakamarka nie wyskoczył lis albo leczony przez Nadzieję ptak. Po śmierci siostry zwierzęta przeniesiono do szunowskiej lecznicy, a w domu nastąpiła cisza, która początkowo wszystkim przeszkadzała. Ujadanie psów, pohukiwanie sowy, porykiwania i piski stały się częścią wspólnego życia. Kiedy zniknęły zwierzęta, cała rodzina Dziubów poczuła, jakby Nadzieja umarła po raz drugi. Sowa przylatywała jeszcze przez jakiś czas, przysiadowała na dachu, ale potem znalazła sobie nowy dom gdzieś pomiędzy starymi drzewami Czarnego Lasu.

Gdy Malwa i Hania spędzały czas przy starym domu Nadziei, spotykały tam niekiedy sołtysową córkę. Ona też była jak tajemnica. Często siedziała w trawie i bawiła się z kotami, obgryzała korę z drzew lub zjadała najpiękniejsze z herbacianych róż, które Florentyna zasadziła ubiegłej jesieni.

– Nie możesz jeść kwiatów – mówiły do niej dziewczynki, a ona odpowiadała:

– Mogę.

– Nie możesz jeść kory drzew ani trawy, ani ziemi – dodawały, a ona napychała sobie usta garścią tłustej ziemi i patrzyła na nie, nawet nie mrugając.

Dzieci trochę się bały Marysi Miśtówny. Fascynowała je, bo była prawie dorosła, choć często zachowywała się jak małe dziecko. Marysia lubiła tańczyć w kałużach i chodzić boso po wilgotnej trawie. Lubiała wchodzić na drzewa i z wysoka zrzucać robaczywe śliwki na głowy przechodzących pod nimi ludzi. Śmiała się przy tym jak mały chochlik i raz zdarzyło się nawet, że z tego śmiechu straciła równowagę i spadła na ziemię.

Dziewczynka dużo czasu spędzała w lesie, gdzie przycupnięta w bezruchu przypatrywała się dzikim zwierzętom. Najbardziej lubiła wiewiórki, bo miały mięciutkie, puszyste ogony, które głaskała. Z rówieśnikami nie spędzała zbyt wiele czasu, zazwyczaj ją nudzili. Czasami śpiewała z dziewczętami z kościelnego chóru, z których najbardziej lubiła cichą, nieśmiałą Rochaškę. Chodziła też na spacer z Mirkiem Maślanką. Mirek był ministrantem i zawsze odprowadzał ją po próbach chóru pod sam dom, co bardzo złościło sołtysa Miśkę. Sołtys nie lubił żadnych chłopców kręcących się koło jego córki. Marysia jednak nigdy nie była posłuszna ojcu. Robiła wszystko po swojemu.

Kiedy Malwa i Hania pytały w domu, dlaczego młoda Miśtówna taka jest, Róża karciła je surowym spojrzeniem, ale Florentyna cierpliwie odpowiadała:

– Każdy jest inny i to jest dobre, bo co to byłby za świat, gdyby wszyscy byli jednakowi.

A one wypatrywały sołtysowej córki i gdy tylko zjawiała się blisko ich ogrodu, wymykały się z domu, żeby się jej przyglądać. Mało mówiła, nawet pytana nie zawsze odpowiadała, zupełnie jakby nie słyszała, że ktoś się do niej odezwał. Ale pewnego razu przyznała, że lubi panią ze starego domu.

– Ale tu nikt nie mieszka – powiedziały zdziwione dziewczynki. – To rudera.

– Mieszka – odparła cicho, ale stanowczo i wskazała palcem na okno, które kiedyś było oknem sypialni Nadziei.

Dziewczynki uniosły jasne twarze i wlepiły wzrok w brudne szyby starego domu. Tego wieczoru spóźniły się na kolację, bo siedziały tam, wypatrując ducha, który mógłby się pojawić w oknie. Jednak żaden duch się nie zjawił, tylko chudy lis przyszedł od strony czeremchowych krzewów i przycupnął tuż obok dziewczynek. Nie

uciekał, nie bał się, po prostu siedział i patrzył w tym samym co one kierunku.

Malwa próbowała go pogłaskać. Lis uniósł głowę, wyglądał, jakby się uśmiechał, ale czmychnął z powrotem w gęste krzaki w momencie, w którym Róża wybiegła od strony warzywnika, wołając dziewczynki:

– Gdzie wy się podziewacie? Co to ma znaczyć, kolacja na stole! I co mówiłam o wchodzeniu do tego domu?

– Ale my tylko patrzymy. – Malwa wzruszyła ramionami. – Patrzeć nam wolno?

Róża, zrezygnowana, pogoniła dziewczynki przed siebie.

– Myć ręce i jeść, biegiem!

– Nie denerwuj się, nie wchodziłyśmy, siedziałyśmy tylko z tym lisem – tłumaczyła matce Hania.

– Z jakim lisem? – Róża przewróciła oczami.

– No z takim chudym – odpowiedziała Malwa. – On też z nami czekał.

– Na co czekał?

– No na ducha – odparła zniecierpliwiona Malwa. – Tego, którego nam chciała pokazać ta duża dziewczyna, co tu przychodzi.

– Przysięgam, że ja kiedyś oszaleję w tym domu – rzekła z westchnieniem Róża, siadając do stołu i posyłając dziewczynkom karcące spojrzenie. – Musimy coś zrobić z zamkiem w furtce, każdy sobie może wejść, kiedy chce. Co to za porządki?

– Co ci przeszkadza ta biedna dziewczyna? – zapytała Jaśmina. – Przecież nikomu krzywdy nie robi. Co najwyżej twoim różom, mamie – zwróciła się do Florentyny.

– Ale dzieci straszy – odpowiedziała Róża.

– Wcale nie straszy! – zaprotestowała Malwa. – Ja się nie boję.

– Ani ja – dodała Hania, nie podnosząc oczu znad swojej miseczki z budyniem.

– Róża ma rację. Co, jeśli znowu wejdzie do środka i coś jej się stanie? Przecież tam się sufit może zarwać w każdym momencie – wtrącił Siemił, który dotąd siedział milczący. – I w ogóle jak ona tam wchodzi, przecież wszystko jest pozamykane?

– Może trzeba by sołtysowi coś powiedzieć? – zastanowiła się Róża.

– Miśta obrażony, jeszcze pomyśli, że po złości jej bronimy tam chodzić – odezwała się Florentyna.

– Jutro zerknę na drzwi i okna – obiecał Mikołaj. – Może jakąś kłódkę założę?

– Ona i tak tam wejdzie – powiedziała Malwa z przekonaniem. – Ciocia Nadzieja ją wpuści. Tak jak zawsze.

Sny i warstwy czasu

Buki w lesie zajęły się czerwienią tak intensywną, iż wydawać się mogło, że to żywy ogień tak płonie. W tamtych dniach Jaśmina często wychodziła popołudniami i krążyła bez celu po całej wsi i jej okolicach. Włóczyła się pomiędzy drzewami Czarnego i Lisiego Lasu, zachodziła pod sam pałac albo nad Nieme Stawy, chadzała drogą na Krasną, którą z obu stron otaczały wiekowe lipy i rozległe pola.

Czasami spotykała na pustej drodze chłopców na rowerach, garbatego Wieczorka albo Franciszka Kukłę. Kłaniali się jej, a ona odpowiadała pozdrowieniem bez cienia uśmiechu na twarzy. Oni też nie mogą ze sobą wytrzymać, myślała. Też chodzą, żeby uciec jak najdalej od siebie. A do Róży mówiła:

– Ostatnio świat wydaje mi się nieco za mały, za ciasny.

To dlatego tyle chodziła, wędrowną poszerzała swoją przestrzeń. Nocami nadal śniła sny dziwaczne i pełne ciemności. Im głębsza stawała się jesień, tym bardziej Jaśmina zapadała w niepokojące odmęty tych snów. Zapisywała wszystko: sen o upiornym kołędniku między gołymi jabłoniemi, sen o ubranej w białą suknię kobiecie o czarnych oczach, sen o wybijającej studni, sen o wielkiej wodzie. Jaśmina nie wspomniała nikomu o tym, że kiedy przepelnione koszmarami noce stały się nie do wytrzymania, udała się do szunowskiego lekarza. Doktor Szwarc zalecił zażywanie pigułek, które miały jej pomóc.

– To jest najskuteczniejszy lek na bezsenność. – Stary lekarz wypisywał receptę, nie patrząc na pacjentkę. Sam wyglądał na takiego, któremu przydałaby się noc porządnego snu. – Zapisuję go wszystkim, pomaga na problemy ze snem.

– Ale ja właściwie nie mam problemów z zasypianiem... Tylko tak źle mi się śpi. I śni. Budzę się kilka razy w ciągu nocy – odezwała się nieśmiało Jaśmina, próbując bezskutecznie nawiązać z lekarzem kontakt wzrokowy. Ten nie podnosił oczu znad biurka, a kiedy skończył pisać, zaczął przyglądać się swoim paznokciom. Były zbyt

krótko obcięte i żółte od nikotyny. – I mam koszmary... – dodała na koniec.

– To nieważne – przerwał stanowczo lekarz. – Na każde kłopoty ze snem przepisuję zolpidem. Zresztą sama pani zobaczy różnicę. Proszę wrócić za dwa miesiące po nową receptę.

Pigułki początkowo nie działały. Pierwszej nocy po ich zażyciu długo nie mogła zasnąć. Kiedy wreszcie zasnęła, śniła o Nadziei, a potem jej twarz zmieniła się w twarz Marysi Miśtówny i już do samego rana Jaśmina nie wiedziała, o kim tak naprawdę śni. Obudziła się skołowana, jednak po raz pierwszy od dłuższego czasu była wyspana. Następnego dnia znów połknęła małą białą pigułkę i tym razem zasnęła prawie od razu, nie śniąc o niczym. I tak było przez kolejny tydzień, i jeszcze przez następny. Pigułka i spanie bez snów. Ale po jakimś czasie znów zaczęła się wybudzać w nocy, a nad ranem jakieś senne skrawki, opary snu zaledwie, unosiły się jak mgła na powierzchni umysłu, tuż za oczami.

Czasami więc Jaśmina połykała kolejną pigułkę, choć wiedziała, że nie powinna. I znów śniła o pajęczynach, brudnej wodzie i o jedzącej ziemię Marysi Miśtównie. We śnie podeszła do niej, kiedy ta kuciała w cieniu rzucanym przez rozłożysty jawor. Jej ręce były czarne od kopania, bo wygrzebywała ziemię i wsadzała ją sobie do ust. Wyglądała, jakby bardzo się spieszyła.

– Co robisz, Marysiu? – zapytała ją we śnie Jaśmina.

– Kopię dla siebie dół – odpowiedziała dziewczyna, nie podnosząc wzroku.

We śnie wydawało się to naturalne, jak to w snach bywa, bo snami rządzi dziwność.



Którejś nocy księdza Sabaczyńskiego obudził hałas. Wyjrzał przez okno, ale oprócz ujadających psów nie było nic widać ani słychać. Tylko kościół i stary cmentarz majaczyły na tle granatowej nocy.

Ksiądz ubrał się i wyszedł przed plebanię. Obszedł ją wokół, potem zajrzał do kościoła. Świątynia była cicha i ciemna, pachnąca kadzidłem i starym drewnem, jak zawsze. W środku panował przyjemny chłód. Proboszcz nie zauważył nikogo w pobliżu, pomyślał więc, że ten hałas pewnie mu się przyśnił, ale wtedy jego wzrok padł na ołtarzyk z sokołowską Zielną Panią, który leżał przewrócony

na posadzce. Podbiegł do obrazu Maryjki, z trudem go podniósł i oparł o ścianę.

– Aleś mnie wystraszyła, Święta Panienko! – powiedział, a jego głos odbił się od kościelnych ścian.

Nie mógł już zasnąć tej nocy, przeczekał więc do rana i gdy tylko zrobiło się jasno, wybrał się do stolarza mieszkającego na końcu wsi. Miał nadzieję, że rzemieślnik pomoże mu w naprawie uszkodzonej ramy obrazu. Tymczasem Maryjka stała oparta o ścianę, a minę miała srogą. Nawet koniczyna w jej wianku wydawała się ciemniejsza, prawie purpurowa. Ksiądz pomyślał, że musi Zielną Panienkę coś trapić.

Właśnie wtedy zaginęła córka sołtysa, ale nie tak jak zwykle, na kilka godzin lub pół nocy. Nie było jej już drugi dzień, nie wróciła z próby chóru w kościele. Sołtys chodził wokół domu, paląc papierosa za papierosem, i pilnował telefonu, wyczekując wieści od policji z Szunowa. Kiedy wybierał numer, ręce tak mu się trzęsły, że nie mógł trafić w odpowiednią cyfrę na tarczy. Musiał odkładać słuchawkę i zaczynać od nowa.

Policjanci przyjechali od razu, bo sołtys znał ich wszystkich bardzo dobrze. Z komendantem Filipem Filipowiczem chodził do tej samej klasy przez całą szkołę podstawową. Spisali raport i zarządzili poszukiwania, zdając sobie sprawę z tego, że młoda Miśtówna ginęła już wcześniej, choć nigdy nie na tak długo.

– Wiesz, ja się martwię, że tym razem coś jej się stało – odezwał się sołtys nieswoim głosem do pochylonego nad papierami Filipowicza. – I to moja wina, nie upilnowałem.

– A co, zamknąć ją miałeś, przywiązać? – Policjant zatrzasnął kajet, wyjął pomietą paczkę mocnych i poczęstował sołtysa Miśtę. – Znajdzie się. Słyszysz? Znajdzie się.

Grupa ochotników z Sokołowa i Lisiego Lasu przeczesywała okolicę. Błyski latarek wirowały w ciemności, kiedy nad ranem wracali z opuszczonymi głowami. Niepokojące światełka wynurzały się z gęstwiny nocnych lasów i zwartym szykiem przesuwały się drogą ku wsi, pod dom sołtysa.

Nie ma. Mężczyźni rozkładali ręce, spuszczaali wzrok, zapalali papierosy. Każdy wiedział, że Marysia, najmłodsza córka sołtysa Miśty, jest trochę pomyłona. Gadali, że brakuje jej piątej klepki, że szalona. Sołtys mówił, że jest wyjątkowa, inna, że jej szczególna wrażliwość sprawia, iż świat widzi w niej obłąkaną, podczas gdy tak

naprawdę Marysia po prostu odbiera rzeczywistość w zupełnie inny sposób niż przeciętni ludzie.

Zdarzało się wcześniej, że znikła wśród pól i potem znajdowano ją śpiącą w łąkach żyta albo między snopkami siana. Bywało, że zapuszczała się w odległe zakamarki Czarnego Lasu, spała pod wykrotami albo w jaskini pustelnika. Tak się mówiło o grocie w Czarnym Lesie, choć już mało kto wiedział dlaczego, może poza najstarszymi mieszkańcami, a i oni już niewiele pamiętali. Czasami gospodarze napotykali ją w swoich stodołach i kurnikach, gdzie leżała pomiędzy tłustymi nioskami.

Marysia nie odzywała się wiele, wołała śpiewać, a śpiewała pięknie, czystym sopranem, nikt inny w okolicy nie mógł jej dorównać. Sołtys woził ją do szunowskich, a nawet poznańskich lekarzy, jednak oni tylko przepisywali leki, po których córka zapadała w długie okresy melancholii i przestawała jeść. Wtedy mogła godzinami siedzieć nieruchomo, nie reagując na głosy ojca ani starszych sióstr. Lekarze stawiali sprzeczne diagnozy i dopiero młoda lekarka, która znalazła się w szunowskiej przychodni trochę przypadkiem, bo na zastępstwie, zaczęła się interesować Marysią. Dokładnie przejrzała historię jej choroby i listę leków, które dziewczyna przyjmowała.

– Czy ona brała te wszystkie leki? – Lekarka przysunęła bliżej kartę pacjenta i zmrużyła oczy. – Kto to przepisał? Pańska córka nie jest szalona. Podejrzewam autyzm, ale to trzeba zbadać, a nie zgadywać.

Drugiego dnia poszukiwań znad Krasnej nadciągnęły ciemnogrnatowe chmury i jak rozpadało się przed południem, tak lało aż do wieczora. Zmęczeni mężczyźni brodzili w kałużach polnych dróg, które pogłębiały się z godziny na godzinę. Deszcz był zimny, gęsty i chlastał nieprzyjemnie po osłoniętych kapturami głowach. Dudniło coś wysoko w przestrzeni nieba. Las w taką pogodę jest nieprzyjazny. Nie pokaże człowiekowi tego, czego człowiek szuka. Dlatego i tego dnia jaskinia pozostała pusta, a pod leśnymi wykrotami nie znaleziono nikogo.

Mężczyźni znów zebrali się pod domem sołtysa z opuszczonymi głowami, z cichymi przekleństwami na zaciśniętych ustach. Ci, którzy nie rozeszli się do domów, rozsiedli się w sołtysowej sieni. Nie ma. Znów kiwali głowami, palili, spluwali, kiedy myśleli, że nikt nie patrzy. Miśta siedział między nimi ze wzrokiem wbitym w brudną drewnianą podłogę. Trzeciego dnia szukali i policjanci, i prawie wszyscy ze wsi. Przyszły nawet chłopiska z Lisiej Nory i z Krasnej. Tego dnia podeszli

aż za bagna, tam gdzie od lat nikt nie chodził, bo podmokłe trzęsawiska były nieprzyjazne i zdradliwe.

Las pachniał wilgocią, powietrze oczyściło się po deszczu. Ludzie deptali upstrzone kałużami drogi, odgarniali ciężkie, namoknięte gałęzie, gwizdali i nawoływali w przestrzeń. Nikt nie odpowiadał. Policjanci przeszukali Marysiny pokoik na poddaszu.

– Uciekła może? Taki wiek, to często uciekają. – Filip Filipowicz starał się uspokoić sołtysa. Jeszcze nigdy nie widział, żeby ten miał tak czerwone oczy. – Uciekają i wracają.

– Gdzie by uciekła? Na co? To źle jej tutaj? – Twarz sołtysa zniknęła za chmurą papierosowego dymu, cała kuchnia tonęła już w szarawej mgle.

– Ano pewnie, że dobrze, ale niektórzy muszą uciec na trochę, aby zrozumieć, że im było dobrze.

– Oj, Filip, obyś dobrze gadał.

Pod klepką w podłodze znaleziono jej pamiętnik, pełen stron zamalowanych obrazkami leśnych rusalek. Kiedy któryś z młodych policjantów stanął z nim przed sołtysem i Filipowiczem, tym aż się zaświeciły oczy.

– Dawaj go tu. – Filipowicz zatarł rękę. – Coś jeszcze znaleźliście? Jakieś listy, zdjęcia?

– Tylko to. – Policjant podał mu lekko wyblakłą fotografię. – Było wetknięte w ramę lustra.

– To matka. – Filipowicz wziął zdjęcie i lekko wzdychając, podał je sołtysowi. – Z nią tak nie będzie, rozumiesz?

Ale sołtys nie słuchał już, wstał i wyszedł z kuchni prosto do ogrodu, choć znów się rozpadało.

– Co się stało? – zapytał młody policjant, patrząc na sierżanta.

– Że też to zdjęcie musiałeś... ech... – Komendant sięgnął do leżącej na stole paczki mocnych, choć od dwóch miesięcy nie miał w ustach papierosa.

– Ale ja nic... – Młody nie zdążył dokończyć zdania.

– Wiem. – Filipowicz zaciągnął się głęboko, po samą duszę. – Wiem, żeś ty nie stąd przecież, tylko przyjezdny, to skąd miałeś wiedzieć? Sołtys stracił żonę. Odeszła, gdy Marysia ledwie dwa lata skończyła. We wsi gadali, że nie chciała chorego dziecka chować, ale kto ją tam wie? – Wydmuchnął pod sufit kłęb szarego dymu. – Więc bierzcie dupy w troki i szukajcie mu tej dziewczyny. – Dołączył do sołtysa siedzącego pod małym daszkiem werandy. – A Maślanka to przyszedł szukać? – zainteresował się.

– Nie było go chyba... – Sołtys zmrużył oczy, starając się przypomnieć sobie, kogo z mężczyzn widział, gdy szli w las. – A wiesz, że chyba nie było skurwysyna.

– To ciekawe, nie sądzisz? – Filipowicz zgasił papierosa i wstał. – Chyba go odwiedzę. Nie przyszedł, bo nie jest ciekaw, gdzie panna, za którą latał, a może nie jest ciekaw, bo wie, gdzie ona jest?

Sołtys zacisnął dłonie w pięści, po czym wolno rozprostował palce. Na samą myśl o Maślance burzyła się w nim krew. Zboczeniec, pomyślał. Kawał chuja! Żeby taką dziewczynę, niewinną, bałamucić!

Do tej pory miał przed oczami, jak ten gnój kładzie się na nią, na jego małą Marysię. Bo co z tego, że wygląda jak kobieta, skoro ma umysł dziecka? Jak jego wstrętne łapy dotykają jej tam, gdzie nikt nie powinien dotykać. Najgorzej, że Marysia była tak zaaferowana, iż nie usłyszała nawet, kiedy zaskrzypiały drzwi stodoły, kiedy wszedł i stanął naprzeciw nich zdziwiony, wręcz oniemiały. Wpierdolił wtedy gówniarzowi tak, że go we wsi z miesiąc nie widziano. Należało mu się, nikt mu nie będzie dziecka psuł, a szczególnie taka łajza z zachlanej rodziny.

Sołtys udał się do Grzebieluchy, choć zazwyczaj wyśmiewał tych, którzy do niej łazili. Jednak kiedy po kilku dniach policjanci nie natrafili na żaden ślad, zebrał się w sobie i poszedł. Stary dom Grzebieluchy stał za wsią, tam gdzie za krzyżem na rozstajach droga skręcała na Krasną, tylko trzeba było jeszcze przejść spory kawał polną ścieżką w przeciwnym kierunku.

Tutaj lasy stawały się gęstsze i bardziej dzikie. Sokołów, Krasną i Lipną dzieliły pola oraz Czarny Las, który od strony Krasnej był już innym lasem, choć tu ludzie nigdy nie nadali mu imienia. Grzebielucha nie należała do żadnej wsi, a można nawet powiedzieć, że należała do każdej. Bo z każdego zakątka przychodzili do niej, żeby odczyniała uroki. Szczególnie często zlatywały tu młode kobiety, kiedy dzieci nie przestawały płakać, a chłopcy nie przestawały pić. Grzebielucha zawsze potrafiła coś poradzić, jak nie modlitwą czy klątwą, to chociaż dobrym słowem pomogła.

Ale byli też tacy, co się odwracali, gdy tylko ją widzieli, tak jak poprzedni księża albo Matysiakowa, która przysięgała, że ujrzała starą Grzebieluchę latającą na miotle nad Czarnym Lasem. Ludzie śmiali się i z Grzebieluchy, i z Matysiakowej, jednak do tej pierwszej przychodzili, gdy już nic nie pomagało na ich troski i bóleczki. Dlatego sołtys Miśta wybrał się do staruchy późnym wieczorem, nie chcąc, żeby ktoś ze wsi go u niej zobaczył.

Przez całą drogę spotkał tylko garbatego Wieczorka, który mieszkał na skraju Krasnej, i dopiero na zakręcie, kiedy przeżegnawszy się, mijał Jezusowy krzyż, naprzeciw niego wyrosła jakaś postać. Sołtys stropił się, jednak po chwili poznał, że to kościelny organista.

– Uszanowanie, p-p-anie sołtysie – wybąkał mężczyzna, nie podnosząc wzroku. Taki był ten Kukła, nie miał śmiałości nikomu spojrzeć w oczy, zawsze mamrotał coś pod nosem i śmiał się nerwowo. Tylko w kościele śpiewał donośnie.

– Uszanowanie, panie Franciszku – mruknął sołtys i minął go, nie mając zamiaru się zatrzymywać.

– Tak mi p-p-rzykro z powodu córki – wymamrotał tamten, już do sołtysowych pleców. – Tak p-pięknie w kościele śpiewała.

Grzebieluchę sołtys zastał pochłoniętą szydełkowaniem.

– Wiedziała ja, że przyjdziecie. – Podniosła wzrok. – O, obrusik dziergam dla naszej Świętej Maryjki, aby jej nowy na ołtarzyk położyć, i tak pomyślała ja, że pewno sołtys do mnie przyjdą.

– Mądraś, babko, skoroś wiedziała. – Sołtys wytarł buty, ale nie śmiał ruszyć dalej.

– Nie trza być mądrym, żeby wiedzieć. – Staruszka odłożyła robótkę i machnęła na mężczyznę. – Wchodzi, wchodzi, nie boi się.

Miśta usiadł na drewnianym krześle, porozglądał się chwilę, po czym spojrzął na Grzebieluchę. Ta wpatrywała się w niego, nie mrugając nawet, aż dziwnie mu się zrobiło, tak dziwnie, że musiał spuścić wzrok.

– Wiecie, zem ja nie jasnowidz, wywróżyć wam nie wywrózę, gdzie wasza córka. – Kobieta nie odrywała wzroku od sołtysa.

– Wiem – przyznał z westchnieniem, poprawił się na krześle, spojrzął na nią i znów się speszył.

– Ale pociechy szukacie, ja widzę. Ulżyć mogę trochę. – Staruszka wstała, zakrzętnęła się po izbie i wróciła do stołu ze świecą, jakimiś strzępkami materiału i zawiniątkami. – Siedzi spokojnie i wypije to. Włos wyrwę, niech się nie boi. Oczy zamknie i nie otwiera.

Stara spaliła włos nad płomieniem świecy, szepcząc coś pod nosem, a gorącym woskiem naznaczyła czoło mężczyzny. Ten wzdrygnął się, jednak siedział spokojnie. Poczł, jak zaczyna mu się kręcić w głowie, a kiedy w końcu otworzył oczy, naprzeciwko siedziała Marysia. Łzy pociekły mu po rozgrzanych policzkach, ale nawet nie czuł tego, że łka.

– Maryś, to ty?

– Tatko niech nie płacze – odezwała się Marysia. – Tatko niech nie płacze.

W tej chwili Grzebielucha zgasiła świecę i córka zniknęła przed oczu sołtysa.

- Co to było? – zapytał przez łyzy.
- Córkę widział?
- Widziałem.
- To znaczy, że żywa. Niech szuka.

Cud sokołowski

Nadal szukano sołtysowej córki, gdy we wsi znów zawrzało i przez chwilę trochę mniej mówiło się o zaginionej dziewczynie. Choć wtedy to gadali o tym wszyscy, bo nawet telewizja przyjechała i któregoś wieczoru pokazano zdjęcie Miśtówny w programie *Ktokolwiek widział, ktokolwiek wie*.

W kościele na każdej mszy ksiądz modlił się o Marysiną duszę. A był to nowy ksiądz, bo w sokołowskim kościele żaden nie potrafił się utrzymać na dłużej. Po dziwnej śmierci proboszcza Rosiczki przed laty, kiedy to spłonął wraz z kościelną wieżą, do wsi przybywali coraz to nowsi duchowni, ale żaden nie zagrzał miejsca.

Najpierw był tłusty i czerwony na twarzy ksiądz Nowak, po nim zasuszony i milczący ksiądz Dolifep, którego przeniesiono w podejrzanym okolicznościach do innej parafii. Potem zjawiał się młody proboszcz i to on od kilku miesięcy dzierżył władzę nad całą parafią.

Ksiądz Jakub Sabaczyński różnił się od wszystkich księży, którzy kiedykolwiek zjawili się w Sokołowie. Był młody jak na proboszcza, ledwie w wieku chrystusowym. Do tego nie wyglądał nawet na księdza i tylko skromna koloratka zdradzała, że jest duchownym. Poza tym grał na gitarze i to chyba było najgorsze. Kiedy po raz pierwszy zagrał na koniec mszy, wyśpiewując przy tym jakąś religijną piosenkę, zniesmaczone starowinki z pierwszych rzędów wyszły z kościoła z kwaśnymi minami. Taki to był dziwny ksiądz, jak nie ksiądz.

To właśnie on któregoś wieczoru tuż przed zamknięciem kościoła zauważył, że woda święcona w aspersionum nabrała czerwonego koloru. Zdumiony przystanął i pochylił się, sprawdzając, czy się nie

myli. Przez jego głowę przeleciały myśli o krwi i cudach, jednak woda nie zmieniła się w krew.

– Wino? – wyszeptał osłupiały sam do siebie i zaczął się rozglądać jakby w poszukiwaniu wskazówek, ale otaczały go tylko milczące posągi i nieruchome obrazy.

Niemrawo migotał płomyk w wiecznej lampce. Ksiądz przykląkł przed ołtarzem i nieco zawstydzony zagłębił się w modlitwie, co chwilę spoglądając na jasną twarz sokołowskiej Zielnej Maryjki. Dziwnie się czuł z tym odkryciem, niewygodnie i niepewnie, jak ktoś, kto odkrył coś, co powinno zostać odkryte przez kogoś innego. Ksiądz Sabaczyński bowiem do tej pory nie wierzył w cuda.

Więści o sokołowskim cudzie rozprzestrzeniały się z prędkością wiatru i już po kilku dniach o niczym innym nie mówiono w pobliskiej Krasnej i Szunowie. Na codziennych mszach zjawiali się ludzie z sąsiednich parafii, a także ciekawscy, którzy wprawdzie zwykle na msze nie chodzili, ale teraz osobiście chcieli doświadczyć choć odrobiny tego szczególnego objawienia. Byli nawet tacy, którzy chcieli cudu skosztować, ale ksiądz Sabaczyński ostro sprzeciwiał się takim pomysłom.

– Woda zmieniona w wino, taki cud u nas, taki cud! – zachwycali się babuleńki szorujące kolanami kościelną podłogę. – Cud Chrystusowy! Cud nad cuda! Cud sokołowski!

Pod dachem kościoła zbierali się zarówno wierni z okolicy, jak i ci, którzy mając nadzieję na uzdrowienie, przybywali z odległych zakątków województwa. I tak pod drzwiami świątyni zbierali się ślepi i kulawi oraz ci, którzy stracili czucie w nogach pchani przez bliskich na wózkach inwalidzkich. Modlono się długo i zażarcie. Kościół był wypełniony od rana do wieczora. Po pewnym czasie przyjechał biskup i wtedy zarządzono, że święte wino trzeba zabezpieczyć, może i zbadać, żeby cud został oficjalnie uznany za cud. Wśród uświęconej ciszy przelano wino do szklanych butli, które ksiądz Sabaczyński schował za Maryjnym ołtarzem.

– Tylko weryfikacja teologiczna może uznać to za cud, a to nie jest prosta sprawa – odezwał się biskup do księdza Sabaczyńskiego. – Ale w tym wypadku nie widzę przeciwwskazań, żeby o tym głośno mówić. Kościół potrzebuje cudów, szczególnie teraz. Rozumiemy się?

Zjawiała się ekipa lokalnej telewizji, dziennikarze z „Super Expressu” robili zdjęcia i rozmawiali z mieszkańcami. Choć większość ludzi była sceptycznie nastawiona do objawienia, nie zmieniało to faktu, że

o sokołowskim cudzie zaczynała mówić cała Polska. Zwłaszcza gdy zdumiony ksiądz Sabaczyński odkrył, że woda święcona, którą uzupełniono aspersionem, znów przemieniła się w wino.

– To cud od naszej sokołowskiej Maryjki – mówiły zebrane pod kościelnym krzyżem babulinki.

– Dla dziewczyny znikniętej cud święty – powtarzały inne.

A ksiądz tylko kiwał głową, nie mówił tak, nie mówił nie. Zostawał w kościele dłużej, siadał w ławie i kontemplował ciszę. Bo taka cisza to tylko w kościele pachnącym kadzidłem i starym drewnem, z ledwie wyczuwalnym drżeniem wypowiedzianych przez lata modłów. Cisza najlepsza, swojska, a Boska jednak.

Ksiądz przyglądał się sokołowskiej Zielnej Maryi na ołtarzu i zaczynał wierzyć, że oto tutaj, w tej zwyczajnej parafii, kościele niezbyt pięknym, bo małym i z tą wieżą koślawo odbudowaną, dzieje się coś niezwykłego. Choć to nie krwawiąca Maryja jak ta z Akity ani wirujące słońce w Fatimie, ani nawet nie hostia przemieniona w krew i ciało. Tylko woda w wino. Ale to też może być taki cud na naszą miarę, sokołowską, pomyślał ksiądz. I czy nie to robił Jezus? Patrzył więc w twarz Maryjki i modlił się, a im dłużej patrzył, tym bardziej widział w niej twarz prastarej figurki z wykopalisk.

A potem śnili mu się różni święci. Ojciec Pio i lewitujący Święty Józef z Kupertynu. Śnił te sny noc w noc, aż w końcu sam uniósł się w powietrzu, a może tylko mu się wydawało, że wznosi się kilka metrów nad kościelną posadzką, tak wysoko, że z bliska widzi organy.

Sen o topielicy

Noce stawały się coraz dłuższe. Z komina Dziubowego domu unosił się dym, a przez uchylone okna wdzierał się zapach butwiejących liści i deszczu. Koszmary na jakiś czas ponownie zniknęły, zapewne z powodu zwiększonych dawek pigułek od doktora Szwarca, ale sny Jaśminy robiły się coraz dziwniejsze.

Tamtej nocy, kiedy w kościele po raz kolejny woda zmieniła się w wino, Jaśmina śniła o parnym lecie i kwiatach, których łebki rozdeptywała, brnąc przez rozgrzaną łąkę w stronę lasu. Czowała, jak słońce pali jej skórę, która od razu robiła się czerwona. Upał był tak ogromny, że nawet wdychane powietrze parzyło ludzi w płuca.

Wszystko wokół wydawało się nierzeczywiste, jakby pokryte filtrem starej fotografii.

Jaśmina szła w stronę rzeki. Tam w chłodnej toni wody unosiła się ona. Miała nieruchomą białą twarz, wokół której złociła się aureola włosów. W nich zaplątane były kaczeńce. Kiedy Jaśmina się zbliżyła, rzeczna panna otworzyła oczy i bezgłośnie powiedziała, żeby dziewczyna poszła za nią. Szum rzeki się wzmógł, woda zaczęła płynąć tak szybko, jakby to był film, w którym ktoś nagle przyspieszył kadry.

Biała sukienka poczęła niknąć w odmętach wody i Jaśmina się przestraszyła, że nie zdoła dogonić nurtu rzeki. Biegła najszybciej, jak potrafiła. Mijała zakola z pożółkłą rzęsą wodną, gęstwinę przybrzeżnych trzcin i krwawnicy, porośnięte paprociami leśne wyrzuszenia. Wszystko wokół zmieniało się bardzo szybko, łęgi stawały się gęstym lasem, bory niepostrzeżenie przechodziły w grądy i buczyny.

Rzeka się wiała, zdawała się myślącym tworem przedzierającym się przez przestrzeń i przez czas. Wzburzony nurt niósł rzeczną pannę. Jaśmina przestała poznawać okolicę. Czy to jeszcze sokołowska rzeka, czy już inna? Czy to nasze łąki, co wyglądają trochę jak te księżowskie, czy już obce?

Jaśmina, biegnąc, widziała całą przestrzeń dookoła, co możliwe jest tylko w snach. Wszystko wydawało się obce, choć jednocześnie było znajome. Las zupełnie jak Czarny Las, choć gęstszy, a tam, gdzie teraz jest zarośnięta polana, widziała jaskinię i kwitnące przy niej niebieskie kwiaty. Pola, które wyglądały zupełnie jak Maciejowe, choć miedza pomiędzy nimi była zarośnięta wysoką trawą i gdzieś rosnęły brzoźki. Na rozstaju dróg stała kapliczka, ale zamiast Zielnej Maryjki była tam jakaś wybrakowana figura bez głowy. Dalej gęste jeżynowe krzewy, wzniesienia porośnięte leszczyną, ścieżki ukryte tak, że nie było ich widać z daleka.

I nagle w tym szaleńczym biegu, goniąc rzekę, Jaśmina znalazła się przy swoim domu. Rzeka przecięła niebieski ogród, załała grządki z bobem i kapustą. W wodzie unosiły się teraz niebieskie płatki, a rzeka potężniała, poszerzała się i rosła. Nagle wszystko znalazło się pod wodą. Tłuste okonie krążyły wokół komina, wodorosty unosiły się na powierzchni tak, że zasłaniały niebo. Z ich płątaniny wynurzyła się topielica. Jej oczy były czarne i wszystkowiedzące.

Jaśmina nie bała się, popłynęła za jej skinięciem. Długie białe palce coś wskazywały, jednak rzeczny muł przykrył teraz prawie

wszystko. Usta topielicy rozchyliły się, jakby próbowała coś powiedzieć lub krzyknąć. Jednak wyleciały z nich tylko małe rybki, ślimaki i pijawki. Naraz cała jej postać się rozplynęła. Tam, gdzie jeszcze przed chwilą unosiły się fałdy białej sukienki, teraz wirowały kijanki i małe raki. Kiedy opadły na dno, Jaśmina zauważyła pochylony płot i studnię. Z jej wnętrza unosiły się pęcherzyki powietrza i po chwili usłyszała, że ktoś w niej śpiewa. Gdy się obudziła, w ustach miała rzeczny muł. Przypomniała sobie, że rzeczywiście, kiedy była dzieckiem, na podwórku, tam gdzie teraz rozrosły się niezapominajki, stała stara studnia.

– Mamo, pamiętasz tę starą studnię? – zapytała Jaśmina któregoś wieczoru przy kolacji. – Śniła mi się.

Florentyna spojrzała na córkę, ale jej spojrzenie przeszło ją na wskroś, zapętlilo się w czasie i przestrzeni. Ile to już lat, odkąd studnia zakopana? Trudno zliczyć. Ostatnio wszystko było coraz trudniejsze dla Florentyny. Czuła, że gubi się we własnych myślach, że czas zaczyna być dla niej czymś innym, niż był do tej pory. Jej umysł przez większość dnia pochłaniała mgła. Wiedziała, co to znaczy.

– Studnię? Naszą studnię? Kiedy to myśmy ją zakopali?

– Chyba w osiemdziesiątym drugim – odezwał się Siemił.

– Nie, wcześniej. – Florentyna machnęła ręką. – Jeszcze dziewczynki były małe.

– Ja mówię, że w osiemdziesiątym drugim. Wtedy, gdy kładli wodociągi.

– Czyli wcześniej!

– Nieważne kiedy – przerwała Jaśmina, lekko zniecierpliwiona, bo ostatnio z rodzicami nie można było odbyć żadnej rozmowy bez tego ich rozpamiętywania kiedy, kto i gdzie. Poza tym wszystko im się myliło i za każdym razem kłócili się o daty. – Bo wiecie, miałam dziwny, bardzo dziwny sen.

– Jaki sen? – zapytali wszyscy siedzący przy stole.

– Śniło mi się, że ktoś w tej studni śpiewał.

Rodzina zamilkła, jednak po krótkiej chwili wszyscy wrócili do pałaszowania jajecznicy na pomidorach i kanapek. Tylko Florentyna opuściła dłoń w połowie drogi do ust. Niedojedzony kęs spadł na podłogę, od razu zbiegły się koty. Lemi odepchnął mniejsze kociaki i pożarł zdobyty kąsek. Florentyna westchnęła, otworzyły się w niej jakieś dawno nieodwiedzane przestrzenie pamięci zamknięte od prawie siedemdziesięciu lat.

– Studzienna panna – odezwała się. – To śpiewała studzienna panna.

Jaśmina spojrzała na matkę, której twarz zastygła w dziwnym grymasie ni to smutku, ni to niedowierzania.

– Już o niej zapomniałam. Jak mogłam nie pamiętać tyle lat?

– Jaka studzienna panna, mamó? – wtrąciła się Róża.

– Też ją słyszałyście. – Florentyna zaczęła przypominać sobie coraz więcej. – Gdy byłyście całkiem małe. Nieźle was wystraszyła. Myślałyście, że ktoś wpadł do studni, a to po prostu była ona.

– Kto taki?

– Studzienna panna, przecież mówię. – Florentyna wstała i oparła się o krawędź stołu. – Muszę się przewietrzyć. Będę w ogrodzie.

Jej maleńka sylwetka, już i tak skurczona starością, zniknęła w drzwiach do ogrodu. Jaśmina patrzyła, jak matka sunie między wieczornymi cieniami, jak przystaje pod starą akacją, a potem pod platanem, pod którym zakopane spoczywały wszystkie zmarłe zwierzęta, jak idzie w przeciwnym kierunku na podwórko od strony drogi i jak zatrzymuje się przy płocie, gdzie rosną niezapominajki i pokrzywy. To tam kiedyś stała studnia, uzmysłowiła sobie Jaśmina, choć nie pamiętała tego dokładnie, a raczej wyczuła to jakimś tajemniczym zmysłem, tym samym, co czasami podpowiada nam rzeczy, o których myśleliśmy, że nie mamy o nich pojęcia.

– Zaniosej jej płaszcz. – Jaśmina wstała od stołu. – Jeszcze się przezięb.

– Kto to jest studzienna panna? – zapytała Malwa, patrząc w oczy po kolei każdemu z siedzących przy stole dorosłych. – Co, nie wiecie? Czy nie chcecie powiedzieć?

– Czy ona jest duchem? – ucieszyła się Hania i szturchnęła Malwę, której twarz nagle się rozpromieniła.

– Ile razy mam powtarzać, nie ma żadnych duchów. – Róża pokręciła głową.

– Właśnie, że są – odpowiedziała Malwa spokojnie, ledwie patrząc na ciotkę, a Hania tylko kiwnęła potakująco głową. – To jasne jak słońce.

Było tak cicho, że Jaśmina słyszała własne kroki i pękające pod nogami gałązki. Gdzieś w mroczniejącym wieczorze odezwały się półdzikie koty, zaszczekały psy we wsi. Tutaj panował spokój. Od domu z okien na parterze biło ciepłe żółtawe światło. Florentyna stała tam oblana tym światłem. Dym z komina leniwie unosił się nad

dachem, przywodził zapach innych czasów, tych wszystkich jesieni i zim, które już minęły.

Jaśmina okryła plecy Florentyny płaszczem. Nie pytała o nic, poczekała, aż matka sama zacznie mówić. I kiedy ta opowiadała, rzeczywiście powróciły do niej wspomnienia o ogrodzie i o studni. Wyblakłe, rozmazane obrazy, które podsuwała jej wyobraźnia, zaczęły się układać w całość. Przypominała sobie. W ogrodzie była studnia, która czasami śpiewała. W studni mieszkała studzienna panna.

– Rzucałam jej ślimaki – powiedziała Florentyna. – A ona śpiewała. – Nikt w domu nie chciał o niej słuchać, nikt mi nie wierzył poza Hanulą, ale i ona nie chciała o niej mówić. A ja przychodziłam tu, przychodziłam tu całe lato, a potem już słyszałam ją coraz rzadziej i rzadziej. Ostatni raz, kiedy byłyście małe, wtedy się wystraszyłyście. I Nadzieja też ją słyszała. A potem się skończyło. Przychodziłam tu jeszcze wiele razy, siadałam na murku i czekałam. Nie wróciła. Czy to było naprawdę?

– Chyba pamiętam, mamó.

– Pamiętasz? Czyli nie wymyśliłam sobie tego?

– Nie. – Jaśmina się uśmiechnęła. – Myślisz, że co się z nią stało?

– Chyba rozplynęła się w czasie – odpowiedziała Florentyna, myśląc, że to przecież nic nadzwyczajnego, że w końcu wszystko i każdy rozplynie się w czasie.



To był pierwszy sen, w którym coś z przeszłości Sokołowa powróciło poprzez sny Jaśminy. A potem zaczęły się pojawiać coraz to nowsze rzeczy. Sny puchły od przeszłości, od tajemnic, od tego, co zapomniane.

– To zupełnie tak, jakby otworzyła się we mnie jakaś furtka, przez którą płyną te wspomnienia – tłumaczyła Mikołajowi, automatycznie łykając kolejną pigułkę od doktora Szwarca. – Bo to są wspomnienia, myślałam, że to zwykłe sny, ale kiedy o tym opowiadam, okazuje się, że to wszystko już się zdarzyło. Śnię przeszłość tej wsi.

W snach rzeczna panna prowadziła ją w różne miejsca. Nie mówiła, bo jej usta wypełnione były wodą albo mułem. We wsi opowiadano o topielicy, Jaśmina pamiętała, że straszycie się nią dzieci, kiedy ona i Róża były jeszcze zupełnie małe. Powoli powróciły

wspomnienia o tym, jak wraz z siostrą próbowała dowiedzieć się czegoś o tej miejscowej legendzie. Jak się okazało, rzeczywiście jeszcze przed wojną w rzece utopiła się dziewczyna, której grób znalazły na cmentarnej górcie. Johasia Misztal była o kilka lat starsza od Florentyny. Pamiętała, że opowiadała im o tym Nadzieja, o tym i o innych historiach zasłyszanych od matki. O starym Sokołowie, takim, jaki był kiedyś, zanim przyszła wojna.

Odtąd przeszłość wylewała się ze snów Jaśminy, przelewała jak kipiąca zupa. Czas to takie zapomniane warstwy, które się na siebie nakładają, myślała. I jakimś cudem te warstwy spod spodu wdzierają się do mojej głowy. Zagadywała Siemiła, który zawsze był chętny do rozmowy na takie tematy, jednak gdy zapędział się w dociekaniach, członkowie rodziny przestawali rozumieć, o czym mówi.

– A jeśli wszystko to, co jest, i to, co się wydarzyło i wydarzy, istnieje w jednym kontinuum? – Siemił spojrzał na Jaśminę, po czym dodał: – W jednej czasoprzestrzeni.

– Przeszłość, przeszłość i teraźniejszość? – Jaśmina patrzyła na ojca, próbując zrozumieć, co ma na myśli.

– Tak. – Siemił kiwał głową. – Co, jeśli to wszystko współistnieje w rzeczywistości na osi czasu? Co, jeśli czas bardziej przypomina... przestrzeń?

– Czyli że nie ma czasu?

Jaśmina unosiła brwi, Florentyna i Róża przysłuchiwały się im znad misek łuskanych orzechów. Tego roku orzechy obrodziły, tak samo jak grzyby i jagody.

– A może jest tylko iluzją? – Siemił uśmiechnął się i zamyślił na dłuższą chwilę. Zniknął między gwiazdami, dokąd zawsze uciekały jego myśli.

Potem, leżąc już w łóżku, Jaśmina długo zastanawiała się nad tym, o czym mówił ojciec. Gdyby ta teoria okazała się prawdziwa, czy oznaczałoby to, że wszystko współistnieje? Dziwy starego Sokołowa, topielica i studzienna panna, wiódźmy z Lisiego Lasu? Nadzieja i Sławek, ciotka Hanuła, spalona kościelna wieża i nieuleczalnie chory na smutek dziedzic, który dawno temu mieszkał w pałacu? Czy wszystkie wspomnienia mogą być realne tak jak to, że siedzę tutaj i myślę o tym? Wpatrzona w czerń nocy pulsującą światłem odległych gwiazd czuła, że pod tym wszystkim musi się kryć coś innego, coś na pierwszy rzut oka niezauważalnego. Może to wszystko, czas i przemijanie, składa się z warstw, które nakładają się na siebie, a ja w moich snach sięgam do tych spod spodu?

Czasami gdy się budziła tuż przed świtem, nie była pewna tego, czy jeszcze śni. Dotykała rozgrzanej skóry. Wydawała się realna, prawdziwa. Czuła w ustach gorzki smak po nocy, to też było prawdziwe. Zginała palce, stawy trzeszczały, lekki ból rozchodził się w dole pleców. Więc była tu, nabierała tej pewności. Ale tego, czy w nocy Nadzieja chodziła po ogrodzie i wołała psy, nie była już pewna.

Stawała przy zaparowanym oknie, ocierała szybę rękawem koszuli nocnej. Przyglądała się nieruchomym drzewom, między którymi wcześniej widziała siostrę, zresztą na pewno tam była, bo przecież nawet obudziło ją szczekanie psów. A jednak to nie tak, z każdą sekundą po przebudzeniu docierało do niej, że to nie mogła być Nadzieja. Bo prawdziwa Nadzieja leży na cmentarnej górcie obok Sławka, ciotki Hanuli, babci Jodełki i pradziadków Faberów.

Ale była też ta Nadzieja z ogrodu, jasna i księżycowa, która stała tam i patrzyła nieruchomo w okna domu. Im więcej Jaśmina miała tych snów, tym trudniej było jej odróżnić je od tego, co było jawą. Patrz na stopy, upominała siebie w myślach. Sprawdź, czy stopy dotykają ziemi.

Niekiedy nawet kilka godzin po przebudzeniu słyszała szczekanie Berbecia i nie zawsze od razu docierało do niej, że przecież nie może go słyszeć. Że to szczekanie ze snu, że musiało zostać w jej głowie, bo Berbecia przecież też już nie ma, a to jego zachrypły głos musiała słyszeć z za okna, bo Majonez spał w kuchni obok pieca. Tak samo nie mogła słyszeć stłumionego śpiewu, który ustawał, gdy tylko zdawała sobie sprawę z tego, że go słyszy. Śpiew studziennej panny ze snu, głos dochodzący z bardzo daleka, spod ziemi. Albo z innej warstwy czasu, z przeszłości, pomyślała i wystraszyła się tych myśli. Tego, że być może jej sny przeciekają do rzeczywistości.

Zaczęła się przyzwyczajać, że coraz częściej rzeczna panna z ustami pełnymi mułu prowadzi ją po sokołowskich bezdrożach. Chyba i ona, i Nadzieja chciały jej coś pokazać. W snach przemierzały podleśne łąki, niekończące się pola, bukowe komnaty Czarnego Lasu i ponure zakątki Lisiego Lasu, pełnego nor i powalonych drzew.

Zdarzały się noce, podczas których się wybudzała, zanim za oknami rozlewał się szarawy świt, i już nie mogła zasnąć. Jakaś ciężkość opadała na jej głowę i ramiona, cały dzień potem czuła otępienie po nieprzespanej nocy. To wtedy zaczęła rozumieć, że zdarza jej się mylić jawę ze snem. Na parapetach okien widywała

dziwne ptaki, a w ogrodzie zwierzęta, które znikwały, gdy tylko przymykała powieki. Nocami słyszała głosy w ogrodzie, choć nikogo w nim nie było. Coraz częściej zamiast spać, wymykała się tuż przed brzaskiem i chodziła między jabłonią i gruszą w samej koszuli nocnej. Czekala. To tu widywała widmowa Nadzieję ze stopami muskającymi czubki traw.

Biała sukienka

Świtało ledwie, jeszcze mgły nie zdążyły całkiem oderwać się od wilgotnej ziemi, kiedy wracający polami stary Kurzajka znalazł się przed kapliczką z sokołowską Maryjką. Wracal nie całkiem trzeźwy, bo to była niedziela, a w sobotę pod Szunowem odbywała się zabawa, na którą ciągnęli wszyscy z okolicy. Stanął i się przyglądał, przechylił nawet głowę, żeby mu się lepiej patrzyło, bo tak jakoś dwoiło mu się w oczach. Patrzył i patrzył, i nie mógł zrozumieć, co też dziwnego widzi w tej figurce, bo od pierwszego rzuconego spojrzenia wydała mu się jakaś inna.

Jakaś groza biła od świętej figurki. Wreszcie pojął, że Maryjna sukienka powiewa na wietrze, że nie jest to żadna gliniana rzeźba. Jak stał, tak padł na kolana i zaczął się modlić, pomyślawszy, że to sama Matka Boska mu się ukazała, aby skarcić go za pijaństwo. Bo czyż nie obiecywał umiarkowania, że przynajmniej na noc do domu będzie wracał, a nie jak zwykle jako ostatni z zabawy, kiedy porządni ludzie szykowali się na prymarię?

Kłęcząc, mamrocząc modlitwy, i nawet nie śmiał podnieść wzroku na Maryjną twarz, przeżegnał się tylko i poleciał do wsi, z tymi kolanami ubłoconymi i wódczanym oddechem. Gdy odespał trochę, udał się do księdza, bo co, jeśli to znowu cud jaki? Już jeden cud sokołowski mieli, więc czemu nie miałyby być drugiego do pary? Sołtys akurat jechał spod kościoła swoim polonezem, więc i ksiądz, i Kurzajka zabrali się razem z nim.

– No, zobaczymy, co tam się panu zwidziało, panie Kurzajka. – Ksiądz nie krył rozdrażnienia, bo jak wiadomo, za cudami nie przepadał.

Czy to cud był, czy też nie cud, różnie we wsi gadali, bo okazało się, że sokołowska Maryjka miała na sobie sukienkę...

– Marysi mojej... – Sołtys ujął rąbek sukienki w swoją rękę, wielką, spracowaną, o suchej i grubej skórze, tak niepasującą do delikatnego

materiału. – Toż to Marysi mojej sukienka! Hafcik ten sam i falbanka, Maciejewska jej szyła na zamówienie, na osiemnaste urodziny...

Sołtys popadł w rozpacz i nawet ksiądz wtedy nie za bardzo wiedział, jak go pocieszyć. Bo co tu powiedzieć? Sukienka Marysi, ale Marysi nadal nie ma. I ta figura święta, święta przeklęta, co się potem i sołtysowi, i księdzu śniła po nocach. A sokołowska Maryjka milcząca, smutna jakaś i straszna trochę, w tej sukience białej, nie swojej.

Przyjechali policjanci, porobili zdjęcia i zabrali sukienkę. Jeszcze Kurzajkę przesłuchiwali, ale Kurzajka, jak to Kurzajka, gdy popije, to nazwiska własnego nie pamięta. Potem znów przyjechała telewizja, wieczorem nadali reportaż, pokazali zdjęcie Marysi. W tej sukience. Cała wieś oglądała na bezdechu. A niebo tamtej nocy było ciemne, czarne prawie, ani jednej gwiazdy, jakby i ono przywdziało żałobę.

Grzebielucha powtarzała sołtysowi, że musi szukać, to nie czas na rozpaczanie. Szukali więc znowu, ale nic nie znaleźli, chociaż teraz to w całym powiecie szukali, każda wieś, miasto i miasteczko szukało. Była sukienka, nie było Marysi.

Był tylko pamiętnik Marysi, który trzymała pod obluzowaną klepką podłogi, a w nim wiersze, rysunki, zapiski niezrozumiałe dla nikogo poza nią. Szkice drzew, kwiatów i ptaków. W pamiętniku nie było dat, tylko rysunki i chaotyczne szlaczki słów, które nie zawsze układały się w sensowną całość.

– Damy komuś, niech się przyjrzy dokładnie, może znajdzie jakąś wskazówkę – powiedział sierżant Filip Filipowicz sołtysowi, choć sam nie wierzył w to, co mówi. – A my będziemy dalej szukać.

Nawet ci nowi, Kwiecińscy, którzy kupili pałac, pomagali. A kiedy pierwszy raz wyszli do ludzi, wydawali się jacyś bladzi i niemrawi. On siwy i chudy, ona stara i zbyt mocno umalowana. Uprzejmi, ale chłodni, tak jakby się czegoś bali. Może innych ludzi?

– Chyba źle im się w pałacu mieszka – mówiono we wsi. – Może coś ich tam nie chce?

I może tak właśnie było?

Rozległe pałacowe ogrody, które przez lata zdążyły całkiem zdziczeć, kryły w sobie wiele tajemnic, tak samo jak budynek. Pałac miał to do siebie, że bardzo często jego mieszkańcy popadali w różne stany. Stany szczególne. Dawniej, jeszcze za czasów panicza Floriana, nazywano to melancholią. Jeszcze wcześniej, kiedy mieszkała tam czarnooka dziedziczka Marianna, lekarze mówili

o kobiecej histerii, o wędrującej po ciele macicy, która sprowadza szaleństwo.

W czasach, których już nikt z Sokołowa nie pamięta, gdy pałac był dość młody, a jego ogrody bujne i schludne, w jego pokojach mieszkały smutne panny służące usługujące milczącym kobietom w długich sukniach i wiecznie pijanym mężczyznom lubiącym polowania w Czarnym Lesie. Pałac był nieustannie obleczony wilgocią z pobliskich stawów. Niektórzy mówili, że to dlatego Rytłowe dzieci, w szczególności panienki, są cherlawe i wyglądają, jakby były przezroczyste. Ale to nie tylko wilgoć pełna malutkich muszek i komarów sprawiała, że w pałacu częściej zapadało się na suchoty, że więcej dziewcząt odchodziło ze służby przed czasem, że niektóre z nich znajdowano omdlałe na kuchennej podłodze.

Najgorzej miały te, które pracowały w kuchni, bo podziemne korytarze piwnic, gdzie trzymano wina i mięsa, śniły im się potem w koszmarach snach. Szeptały między sobą, siedząc na stołkach i skubiąc kaczkę lub przebierając groch, jakie to w tych strasznych podziemiach widywały diabły albo kikimory bez twarzy. Albo rusałki.

Nie tylko służba czuła, że pałac ma więcej mieszkańców, niż mogłoby się wydawać, i nie chodziło jedynie o złośliwe upiory. Strych pełen był sów, nietoperzy i jaskółek, pod dachem wisiały tłuste i ciężkie osie gniazda. W szczelinach mieszkały szczury i zaskrońce, myszy przebiegały korytarzami jak pełnoprawni mieszkańcy domu. Nie radziły sobie z nimi chmary dzikich kotów, które chowały się po stajniach i nieużywanych pokojach. Nocą od strychu szły szmery, czasami podobno słyhać było, jak ktoś gra na rozstrojonym pianinie. Taki to był pałac. Działo się tak nawet teraz, po tylu latach, choć wydawać się mogło, że wszystko to wywietrzało wraz z czasem, który przeminął.

Nie tylko panny na służbie mieszkające w pałacu podupadały na zdrowiu, bo to samo działo się z panienkami w białych sukienkach. Sypialnie panienek znajdowały się na piętrze, a ich okna wychodziły na ogród porośnięty wisterią i różami. Jakiś cień opadał na dziewczęce dusze. Ostatnią, która zajmowała wyklejoną wzorzystą tapetą sypialnię z tarasem, była Marianna Rytel i to ona przyśniła się nowym właścicielom, którzy tamtej jesieni zamieszkowali jeden z pokoi jeszcze w czasie trwania prac remontowych. Stała nad nimi i wlepiła w nich swoje czarne oczy, takie same jak na grobowej porcelance, która sklejona przez niegdyś opiekującego się cmentarzem Mogiłka wciąż wisiała na starym grobie.

Kiedy przyszła zima, miejsce po wykopanej wiosce zasypał śnieg. Zniknęli archeolodzy, a nowi właściciele pałacu nie wyściubiali z niego nosa. Podobno odkrycie wioski pokrzyżowało ich plany, bo już wiosną mieli zacząć pracę nad odtworzeniem pałacowego ogrodu, łącznie ze stawem i z rozarium. Tym nikt się za bardzo nie przejął, inne zmartwienia zaprzętały ludzkie myśli. Wciąż nie było śladu po sołtysowej córce, ktoś mówił, że widziano ją w Szunowie, tylko ubraną inaczej, elegancko i bogato. Ktoś inny podobno słyszał, że to sam sołtys pogonił ją z domu za to, że się szlajała z Mirkiem Maślanką, ministrantem, ale i łobuzem. A inni mówili, że to wszystko bzdury i że Marysi na pewno stała się jakaś krzywda, bo to, że jej sukienkę znaleźli na figurze Świętej Panienki i że jej śpiew kilkakrotnie w lesie słyszano, może świadczyć tylko o jednym.

Teraz, kiedy o niej mówiono, starowinki żegnały się i zaczynały chlipać.

– Dusza biedna – mówiły. – Spokoju nie zazna bez pochówku w ziemi poświęconej.

Ale tak naprawdę nikt nie wiedział, gdzie się podziewała Marysia Miśtówna. Zdarzyło się nawet, że nowi mieszkańcy pałacu zatelefonowali do szunowskiego komisariatu, aby zgłosić, że widzieli kręcącą się niedaleko dziewczynę, najprawdopodobniej Marysię. Wprawdzie nie pamiętali jej dobrze, tyle co z fotografii, która wisiała na tablicy ogłoszeniowej obok sklepiku Noszczykowej, ale oboje się zaklinali, że to musiała być ona; w sukience, z rozwianymi włosami, bosa. Komendant Filipowicz natychmiast zjawił się w Sokołowie w towarzystwie mundurowych. Nie udał się do sołtysa, najpierw chciał sprawdzić zgłoszenie.

– Gdzie państwo widzieli dziewczynę? – pytał wystraszone trochę tą wizytą małżeństwo.

Słońce już zachodziło, wieczorne cienie kładły się pod nogami, obłądnie pachniał wiciokrzew. Kwiecińscy stali na schodkach prowadzących do pałacu. Filipowicz nie mógł się pozbyć wrażenia, że bardzo tu nie pasują. On długi i szary, ze zmęczoną twarzą, jakby składał się tylko z jednego koloru. Ona wręcz przeciwnie: pełna pomarańczów, czerwieni i błękitów, jakby definiowały ją te rude włosy, wzorzysta sukienka, mocno pomalowane powieki i usta.

– Tam. – Pani Kwiecińska podniosła rękę, zabrzączały bransoletki, i wskazała rząd drzew przy ogrodzeniu zaraz przy dole rozkopanym przez archeologów. – Tam chodziła. – Głos kobiety był niski, stłumiony, jakby bała się wypuścić go z gardła.

– Przy ogrodzeniu? – Sierżant zmrużył oczy. – Sprawdzimy, czy są jakieś ślady, chociaż już robi się ciemno. Jak coś, jutro wrócimy.

– Na pewno tam była. – Pan Witold odezwał się pewnym głosem, dudniącym, niepasującym do jego cherlawej sylwetki. – Oboje ją widzieliśmy.

– W to, że ją państwo widzieli, nie wątpię. – Filipowicz nie podniósł wzroku znad notesika, w którym notował coś skrupulatnie. – Ale czy to na pewno była ona?

– A kto inny?

– Nie mewacie tu innych... gości? Słyszałem, że chłopcy ze wsi przychodzą, wykopalisk ciekawi, skarbów chcą szukać. Może przyszli z dziewczuchami jakimiś, a wam się zdawało, że to ona?

– Nie zdawało nam się – odparła pani Józefa. – To musiała być ona.

– Kto inny chodziłby boso? Rozczochrany?

– Hm. – Filipowicz pokiwał głową, zapisał coś, ale już nic nie powiedział.

Przy osadzie nie znaleziono żadnych śladów poza odbiciami psych łap w wilgotnej glinie. Sierżant nakazał policjantom przeszukać teren wokół pałacu, ale oni znaleźli tylko kilka butelek po tanich winach i zmięte paczki po papierosach w miejscach, w których chłopcy ze wsi urządzali sobie nocne niasiadówki.

– To nie mogła być ona – powiedział do policjantów Filip Filipowicz, ale sam nie był pewien tego, co mówi.

Tego samego wieczoru pojechał pod sołtysowy dom z sercem ciężkim jak kamień. Musiał wspomnieć o zgłoszeniu, choć nie chciał rozbudzać złudnych nadziei. Sołtys zrozumiał, kiedy komendant powiedział, że nie jest pewien tego, kogo między drzewami widzieli Kwiecińscy.

– Oni już starzy. – Wzruszył ramionami. – Ludzi we wsi nie znają... Śladów żadnych nie było, a przecież gdyby kto chodził, to...

– Ale boso była?

– Niby boso.

– Zawsze boso latała! Com ja się nagadał, żeby chociaż sandałki włożyła.

Komendant zamilkł, wyjął z paczki mocnego, zapalił. Twarz sołtysa na moment zniknęła w siwym dymie.

– Martwię się, że jak tam gdzieś jest, to się rozchoruje – dodał sołtys i również sięgnął po papierosa.

W tym samym czasie w pałacu Kwecińscy pogasili światła i usiedli na szerokim parapecie. Któreś z nich powiedziało: „Może jeszcze przyjdzie”, wlepiając oczy w ciemny ogród. Potem jeszcze niejednokrotnie między drzewami widzieli jasny cień o dziewczęcym kształcie, ale za każdym razem, kiedy chcieli mu się lepiej przyjrzeć, ten rozplywał się jak mgła.



Jaśmina coraz bardziej martwiła się tym, że jej sny wylewają się do rzeczywistości. Któregoś szarego świtu znów obudziła się z dziwnym poczuciem, że ktoś na nią patrzy, jednak Mikołaj spał głęboko, a kotary były szczelnie zasłonięte.

Zbliżyła się do okna, z którego mogła zobaczyć przykryty śniegiem warzywnik i część sadu. Świat powoli szarzał, noc skraplała się w porannych mgłach. Ktoś stał między jabłoniami. Ruszyła na dół, schody trzeszczały okropnie, bała się, że obudzi śpiących domowników. W domu panował chłód, nikt jeszcze nie napalił w piecu, wszyscy spali.

W śniegu znalazła ślady wielkich butów, ktoś krążył wokół domu, między drzewami i uśpionymi na zimę roślinami. Szła, stawiając kroki w tych śladach i rozglądając się, czy w ogrodzie nadal ktoś jest, jednak kiedy doszła do jabłoni, nie było tam już nikogo. Zmarznięta wróciła do środka, zanim wsunęła się pod ciepłą pierzynę, wyjrzała raz jeszcze.

Stał tam. W kożuchu i czapie, z siwymi wąsami. Wystraszona obudziła Mikołaja, lecz gdy on wyszedł przed dom, nie zauważył nikogo, w śniegu nie było też żadnych śladów.

– Musiało ci się przyśnić – próbował ukryć poirytowanie, wchodząc z powrotem do wspólnego łóżka.

A ona nic nie odpowiedziała, tylko długo jeszcze leżała z otwartymi oczami, rozmyślając. Potem coraz częściej zdarzało jej się widzieć różne rzeczy, szczególnie zaraz po przebudzeniu, jakby coś z jej snów przeciekało do realnego świata. Zazwyczaj zaciskała mocno powieki, po czym je otwierała i zwidy znikwały. Jednak zdarzało się i tak, że choćby nie wiadomo jak mocno zamykała oczy, wbijała w skórę paznokcie czy gryzła do krwi wargę, to wciąż widziała majaki.

Najczęściej były to zwierzęta: lis chowający się między morwami, czarno-biały kot z długimi wąsami, pies, który wyglądał zupełnie

jak ten, którego pamiętała z dzieciństwa. Jak Berbec, pomyślała, przyglądając się siedzącemu pod starym platanem czarnemu psu, a kiedy się zbliżyła, ten podskoczył, wydał z siebie jakiś dźwięk i pobiegł na wskroś ogrodu w stronę domu Nadziei.

Jaśmina poszła za psem, pogwizdując na niego i zastanawiając się, skąd wziął się w Sokołowie ten przybłąda. Może komuś uciekł, może głodny, przebiegło jej przez myśl, jednak coś nie dawało jej spokoju. Pies pobiegł przez ośnieżone podwórko, lecz na śniegu nie było żadnych śladów. Przystanęła przy drugim domu i się rozejrzała. Nie było ani psa, ani śladów, tylko z wnętrza domu dobiegało coś jakby ciche kwilenie. To niemożliwe, żeby wszedł do środka, pomyślała. Którędy?

Rzeczywiście, wszystkie drzwi i okna były szczelnie zamknięte. Jedynie okienko na strychu nie dawało się domknąć, dlatego pod dachem mieszkały sowy, jaskółki i nietoperze. Ale cały parter był szczelnie zabezpieczony od ostatniego razu, kiedy dziewczynki weszły do środka, żeby się bawić lub myszkować, jak to miały w zwyczaju. Żadne duże zwierzę nie mogło się tam dostać. A jednak gdy Jaśmina się nachyliła i zmrużywszy oczy, spojrzała w głąb przez brudną szybę, zobaczyła, jak czarne psisko siedzi u podnóża schodów. Siedzi i patrzy na nią, jakby zapraszało, żeby także weszła do środka.

Jaśmina wstrzymała oddech – coś nierealnego było w tym wszystkim. Poczowała, jak skóra na ramionach pokrywa się gęsią skórą, widok psa przyprawiał ją o niepokój, którego nie potrafiła zrozumieć. Patrzył rozumnie i prosto na nią, a ona z każdą sekundą nabierała coraz większej pewności, że ten siedzący w opuszczonym domu pies to Berbec, zwierzę, które Nadzieja ukradła staremu pijakowi Moczarkowi i które umarło przed laty.

– Berbec – wyszeptała, po czym powtórzyła głośniejszym głosem: – Berbec!

Pies zastrzygł uszami i szczeknął, a ona, ledwie złapawszy oddech, odwróciła się na pięcie i zaczęła biec. Wpadła do kuchni zziębnięta i czerwona od chłodu, bo wychodząc z domu, nie włożyła nawet kurtki.

– A co ty taka rozebrana latasz? – Florentyna spojrzała na córkę i w tej chwili zwróciły się w jej stronę oczy wszystkich domowników.

Róża ugniatła ciasto, a Siemił siedział przy stole zatopiony w lekturze lokalnej gazety, udając, że pomaga dziewczynkom w odrabianiu lekcji.

– Nic, wydawało mi się, że coś widziałam w ogrodzie.

– To powód, żeby narażać się na zapalenie płuc? – Siemił podniósł wzrok znad gazety, po czym wrócił do czytania.

Zostało powiedziane to, co miało być powiedziane.

– Co niby widziałaś? – zwróciła się Róża do siostry.

Zawsze czuła, gdy coś było nie tak. Kiedy Jaśmina miewała koszmary, to zdarzało się, że i Róża śniła podobne sny, choć nie działo się to już tak często jak wtedy, gdy były małymi dziewczynkami. Teraz potrafiła rozpoznać, że w głowie jej bliźniaczej siostry panuje jakiś mętlik, o którym tamta nie chce wspominać.

– Jakiegoś psa – odpowiedziała Jaśmina. – Albo mi się wydawało.

Nie mogła przecież przyznać, że goniła przez cały ogród za widmem Berbecia, który schował się w zamkniętym na cztery spusty domu ich zmarłej siostry. Potem słyszała go jeszcze kilkakrotnie, jak szczekał pod rozpalonym gwiazdami zimowym niebem. Wstawiała, oddychając płytko, bojąc się tego, co może zobaczyć za oknem. Przyciskała twarz do zimnej szyby, żeby lepiej widzieć. Był tam, czarny i kudłaty jak kiedyś, wpatrzony w jej okno i najwidoczniej wzywający ją, żeby za nim poszła.

Wystraszona Jaśmina wracała do łóżka i przytulała się do śpiącego Mikołaja. Po Berbeciu zdarzyło jej się ujrzeć Borówkę i tego samego lisa co wcześniej. Podobnie jak poprzednio, po przebudzeniu w środku nocy w uśpionym niebieskim ogrodzie. Czy to mi się śni? Jaśmina zaczęła się trapić. Czy ja może zaczynam wariować? Nikomu jednak nie wspominała o tym pochodzie zwierząt do czasu, gdy pod starym orzechowcem nie zobaczyła siedzącej spokojnie i wpatrującej się w nią świni Marioli.

Nocą bała się wyglądać przez okno, przerażał ją widok ogrodu pokrytego śniegiem i księżycową poświatą. Czy one tam są, te wszystkie zwierzęta, które pochowaliśmy pod tym drzewem? Czego ode mnie chcą? Dlaczego tylko ja je widzę?

W końcu wspomniała o tym Florentynie, wystraszona, że coś się dzieje z jej głową, zawstydzona, bo nie wiadomo dlaczego ludzie wstydzą się przyznawać do chorób toczących umysł, a lubią mówić o tych toczących ciało. Florentyna postanowiła spędzić tę noc z córką, akurat Mikołaj z Piotrem wyjechali w interesach za zachodnią granicę na długie dwa tygodnie.

– Też chciałabym je zobaczyć, jeżeli tam są – powiedziała Florentyna.

– A co, jeżeli one są tylko w mojej głowie?

– To wcale nie musi oznaczać, że ich nie ma. – Florentyna z wiekiem mówiła w coraz dziwniejszy sposób. Czasami bliźniaczki zastanawiały się, czy starość nie poplątała w matczynej głowie zbyt wiele.

A w snach Jaśmina nadal widziała to samo. Znów chodziła po chłodnych i pustych korytarzach pałacu, gdzie ściany patrzyły na nią, jakby między szparami w tapetach znajdowały się dziesiątki oczu.

Potem biegła poprzez pola i podmokłe łąki, biegła nad rzekę, gdzie czekała na nią topielica zanurzona w rzecznej pianie z gnijącymi we włosach kaczeńcami. Podążała za nią, unosząc się nad lasem i wsią, mijając dymiące kominy na sokołowskich dachach, czubki świerków strzelających w mroczniejsze niebo. Im dalej płynęły w przestrzeni, tym ciemniejszy stawał się świat, aż gdy wreszcie dotarły nad niebieski ogród, wokół było już czarno, niemal grobowo.

Topielica zakręciła w powietrzu przy starej akacji rosnącej przy płocie, potem zawisła tuż nad dachem domu Nadziei, w końcu rozplynęła się w powietrzu. Została z niej jedynie zielonkawa mgła, która wpłynęła do komina. Wtedy z ogrodu wybiegły zwierzęta i ustawiły się w kręgu, otaczając Jaśminę. Lisy i wrony, Berbeć, Borówka, Mariola i kilka kocurów. Wszystkie wpatrywały się w zamknięte na klucz drzwi do starego domu.

Jaśmina z drżącym sercem ruszyła przed siebie, we śnie rozumiała, że i rzeczna panna, i zwierzęta chcą, aby weszła do środka. Wyjęła z kieszeni klucz (wiedziała od początku, że tam jest, w snach wie się takie rzeczy). Zaskrzypiało coś, pchnęła stare drzwi. Drewno było suche i zmieniało się w proch pod dotknięciem jej dłoni. W środku panował półmrok, tylko leniwe światło połowki księżyca wiszącego nad czubkiem drzew rozlało się po podłodze.

I w tym właśnie niedającym ciepła bladym świetle ujrzała ją, jak unosi się pośrodku pomieszczenia. Jej długie włosy spływały po ramionach, sięgając prawie do ziemi, i w tym upiornym świetle nabierały jakiejś nierzeczywistej barwy. Drapała ścianę i końcówki jej palców były pokaleczone. Oczy miała otwarte, jednak wyglądały na puste, nie było w nich żadnego blasku. Nadzieja patrzyła na nią tymi martwymi oczami. Stopami nie dotykała ziemi, kiedy sunęła w jej stronę.

Jaśmina poczuła odurzający zapach, coś roślinnego, paczulowego, ale jakby długo leżało pod ziemią. Serce w niej zamarło, gdy widmowa siostra wyciągnęła rękę, tę z zakrwawionymi od drapania ściany paznokciami, która do tego była biała i równie zimna jak śnieg

za oknem. I wtedy się obudziła. Kiedy wyjrzała przez okno, wydawało jej się, że znów widzi chudego lisa biegnącego przez ogród w stronę tamtego domu.

Nie zasnęła już tej nocy, a w ciągu dnia, gdy w porze obiadowej zrobiło się pusto, wywiesiła kartkę, że Czarodoro będzie nieczynne do środy, i zamknęła sklep. To nie brak snu jej doskwierał, tylko koszmary, które wydawały się tak boleśnie rzeczywiste. Pigułki od doktora Szwarca nie działały już tak, jak na początku, chociaż teraz brała ich więcej, czasami nawet kilka jednego wieczoru. Jaśmina postanowiła udać się do apteki i poprosić o coś na lepszy sen, jednak okazało się, że nie ma leków na nocne koszmary.

– Pani powinna iść do lekarza. – Farmaceutka zmierzyła ją nie do końca przyjaznym wzrokiem. – Takiego od głowy.

Jaśmina zacisnęła usta, żeby czegoś nie odburknąć, i wyszła bez słowa, bo gdzieś w głębi duszy wiedziała, że ta nieprzyjemna kobieta z ognistorudą trwałą ondulacją może mieć rację. Może rzeczywiście potrzebuję kogoś, kto znowu zajrzy mi do głowy, pomyślała i jeszcze tego samego dnia zarejestrowała się w szunowskim ośrodku do doktora Szwarca z zamiarem poproszenia go o zmianę leków.

Nowe tabletki jednak nie pomagały, bo w niebieskim ogrodzie Jaśmina cały czas widywała pełno cieni przybierających kształty, o których lepiej nie mówić.

Było ich coraz więcej, zupełnie jakby zima, zrzucając liście z drzew, odsłoniła wszystko to, co płące się między nimi. A zima przyszła mroźna. Śnieg trzeszczał pod stopami, trzeszczało też usiane zimowymi gwiazdami niebo. Ślady zwierzęcych łap zapętały się między drzewkami. Ruszyła wzdłuż nich, ostrożnie stawiając kroki w skrzypiącym śniegu.



Najpierw zelżał mróz, śnieg zamienił się w błoto, a potem roztopy długo parowały w zimnym jeszcze powietrzu. Rzeki przybywało. Groźnie wyglądała teraz taka wzbierająca, potężniejsza, jakby stała się zupełnie inną rzeką. Wylała na podmokłe już księżowskie łąki, po czym wróciła do swojego normalnego biegu. Wtedy jeszcze nikt nie wiedział, że to było ostrzeżenie, że rzeka mówiła: patrzcie i uczcie się.

Coś tak ciężkiego wisiąło w powietrzu i czuł to każdy, choć trudno było ubrać ten niepokój w słowa. Najlepiej chyba rozumiały go zwierzęta, ale one nie potrafią mówić, nie do ludzi. Ludzie wciąż mieli na językach zaginioną dziewczynę, teraz jej nieobecność stała się jakby namacalna. Szkoda było sołtysa, zapadł się w sobie zupełnie. Mówiono różne rzeczy i z tygodnia na tydzień coraz mniej ludzi wierzyło w to, że Marysia kiedykolwiek się odnajdzie.

Starowinki szeptały, że jej duch zamieszkał w lesie, częściej słyszano w nim dziewczęcy śpiew, choć nikogo nie można było zobaczyć. Niejeden zląkł się nie na żarty, idąc przez gęstwinę i słysząc, jak gdzieś nad nim unosi się dźwięczny głosik. A głos Marysi każdy znał, najpiękniej z kościelnego chóru śpiewała. „Krzywdę kto zrobił, ukrył w lesie tak, że już człowiek nie odnajdzie, więc błąka się bida i śpiewa, bo co ma robić tak bez grobu, bez pogrzebu” – tak mawiali we wsi.

A w kościele organista musiał radzić sobie bez Marysi, z resztą dziewcząt, które teraz całkiem posmutniały, tak że nawet ich głosy brzmiały smętnie i matowo.

– Co to za chwalenie Pana, kiedy brzmicie jak piłowane drewno – denerwował się Franciszek Kukła, a dziewczęta spuszczały wzrok, prychały.

Coraz częściej opuszczały próby chóru, nie chciały ćwiczyć śpiewu z organistą. Tylko młoda Rochaśka pojawiała się regularnie, ale i jej się obrywało od organisty, kiedy był w złym humorze. Proboszcz zauważył, że Franciszek Kukła stał się rozdrażniony i mrukliwy. Któregoś dnia nakrzyczał na ministrantów, którzy, jak to chłopcy, stroili sobie żarty, przygotowując się do mszy. Żaden z nich nie widział, że ksiądz jest już w kościele, żaden nie próbował kontrolować podniesionego głosu.

Organista krzyczał, a chłopcy spuścili wzrok, tylko Maślanka, najstarszy z nich, hardo patrzył mu w oczy i odwarknął, że on proboszcza słucha, a organista może mu naskoczyć. Kukła wściekł się, zaczął się jąkać, co tylko rozbawiło ministrantów. Zanim odszedł na swój balkon, powiedział coś do Maślanki, o czym ksiądz długo jeszcze myślał.

– Myślałeś, że mogła ciebie chcieć, a ona święta, nie dla takich pijackich pomiotów jak ty.

Maślanka nic nie odpowiedział, ale jego zaciśnięte pięści mówiły wszystko. Ksiądz jeszcze nigdy wcześniej nie czuł, żeby nienawiść pachniała tak mocno, żeby przebiła ciężką woń kadzidła.

Gdyby ktoś zapuścił się któregoś wieczoru skrajem lasu aż do rozstaju dróg na Lipną, mógłby zobaczyć, że w gołębniku u Kukły do późna pali się światło. Ale nikt tamtędy nie chodził, nie o tak późnej porze. Po drugiej stronie bukowego lasu, bliżej Sokołowa, stał dom Grzebieluchy, i to tam często chodzili ludzie z pobliskich wiosek.

Dom organisty stał na uboczu osłonięty rozłożystymi jesionami i jaworami. Nie zaglądali tu żadeni goście. Franciszek Kukła spędzał wolny czas, ćwicząc kościelne pieśni na starym pianinie albo rozmawiając ze swoimi gołębiami. Ostatnio coraz dłużej przesiadywał w gołębniku, pociągnął do niego kabel, na ścianie zawiesił lampkę, która wcześniej wisiała nad łóżkiem. Nie chciał siedzieć w ciemności, bo ciemności bał się tak samo jak piekła, zresztą nie bardzo potrafił odróżnić jedno od drugiego.

Odkąd zakopał w ogródku truchło starego psa, którego chował od szczeniaka, jeszcze gdy żyła babka Olga, był całkiem sam, nie licząc ptaków. Bracia go nie odwiedzali, czasami dostał od nich kartkę na święta, zresztą nie tęsknił za nimi ani trochę. Kiedy był małym chłopcem, jedynym, czego od nich zaznał, było upokorzenie, bo bracia na każdym kroku wykpiwali jego delikatność, zamiłowanie do sztuki i muzyki. Nazywali go babą, a on początkowo nie rozumiał, dlaczego uważają to wyzwisko za uwłaczające.

Nie miałby nic przeciwko temu, żeby urodzić się jeszcze raz jako dziewczyna, mógłby wtedy bez obaw oddawać się swoim zamiłowaniom, którymi według nich nie wypadało zajmować się chłopcu, i nosić piękne kolorowe stroje. Ale był Franciszkiem, chudym i przyszczatym jąkałą, z którego wyśmiewała się cała rodzina. Dlatego nie tęsknił za nikim, ani za braćmi, ani za ojcem, który wcześniej zmarł na marskość wątroby, a najmniej już za babką Olgą, która jeszcze długo po śmierci nawiedzała go w snach.



Jaśmina z dnia na dzień była coraz bardziej zmęczona, ociężała od trawiących jej umysł złych snów. Połykała cudowne pigułki, które trzymała w szufladzie szafki nocnej, i nawet nie zauważyła, że miesza zolpidem z tymi nowymi, niechętnie przepisanyymi przez doktora Szwarca. Sny znów były dziwaczne, jakby przyszło jej oglądać rzeczywistość w krzywym zwierciadle. Nie była nawet pewna, czy jej nocne pobudki były rzeczywiście pobudkami, czy też

je śniła, bo za każdym razem, kiedy w środku nocy otwierała oczy, zdarzało jej się widzieć coś dziwnego.

Już nawet nie przejmowała się widokiem skomlącego pod domem Nadziei Majoneza. Bał się czegoś? Widział coś? Sama widywała coraz więcej dziwnych rzeczy. Najpierw były to psy, koty i lis w ogrodzie oraz widmowa Nadzieja sunąca przez ogród. Ostatnio zaczęła widzieć dym unoszący się z komina starego domu siostry, choć przecież dom od lat stał pusty. Innej nocy była pewna, że zauważyła, jak na pięterku, tam gdzie kiedyś znajdowała się sypialnia Nadziei, pali się światło.

Niepewna tego, co się śni, a co dzieje naprawdę, weszła do domu, żeby to sprawdzić. Jednak dom był pusty i bardzo zimny. Od wychłodzonych ścian ciągnął ziąb, a pod sufitem rozkwitały plamy pleśni. Jaśmina weszła na górę po trzeszczących schodach, mając w pamięci to, co widziała w swoich snach. A może to nie były sny? To tu, na szczycie schodów, stała, a raczej unosiła się Nadzieja, przywołując ją bezgłośnie. Teraz w ciągu dnia ten sen nie wydawał się aż tak straszny, jednak Jaśmina i tak poczuła, że dreszcz niepokoju przebiega po jej plecach.

Jakiś chrobot dobiegał spomiędzy ścian. Możliwe, że na strychu zagnieździły się szczury, a może nawet inne zwierzęta. Oddychała szybko i płytko, była na siebie zła, że weszła do środka, jednak coś ciągnęło ją w te stare wnętrza. Zakręciło jej się w nosie od kurzu, jakimś zmysłem, który nie do końca był węchem, wyczuła znów zapach paczuli i kichnęła. Kiedy przetarła załzawione oczy, coś jasnego mignęło między oknem a ścianą korytarza. Poszła za tym przywidzeniem, choć serce zaczęło bić tak mocno, że aż się przestraszyła. Było nienaturalnie cicho, tylko podłoga skrzypiała tak głośno, że było ją chyba słychać w całym wszechświecie.

Między odłączającymi ze ścian tapetami i wonią butwiejącego drewna wyczuła coś jeszcze. Czyjaś obecność, która przejawiała się w ziemistym ziołowym zapachu przypominającym coś z przeszłości lub z głębi lasu, w cieniach układających się charakterystycznie na deskach podłogi, w powietrzu nieruchomym, a jednak jakby drżącym od niewidzialnych oddechów.

Jaśmina przetarła oczy. Znów złapała się na tym, że nie potrafi odróżnić snu od jawy. Kątem oka dostrzegła cień kładący się tuż przy oderwanym brzegu tapety. Cień poruszał się ledwie zauważalnie, przywodził na myśl jakieś małe zwierzątko. Co go rzuca? – przemknęło Jaśminie przez myśl, odwróciła się więc szybko, ale za

nią nie było niczego, tylko pustka schodów. Jedynie za oknem coś się piętrzyło, wzbierało, jakby szło na burzę. Zaciemniły się wszystkie szyby, granat spłynął szparami nieszczelnych ram, na parapetach zadrżały poczerniałe doniczki.

To, co w nich rosło, musi być martwe od bardzo dawna, pomyślała Jaśmina. Jak wszystko w tym domu. Cały korytarz tonął w kurzu, który wzbijał się w powietrze z każdym krokiem, do tego podłoga usiana była mysimi bobkami. A jednak nie wszystko było tu martwe.

Zatrzymała się przed dawną sypialnią Nadziei niepewna, czy da radę wejść do środka. To tam kumulowała się smutna pamięć – ubrania, książki, notatniki, wszystkie te drobne osobiste przedmioty, do których na co dzień nie przywiązujemy wagi, a które z czasem nabierają szczególnego znaczenia. Spinka do włosów jest przedmiotem niewartym uwagi, jeżeli widzimy ją wpiętą we włosy, ale jeżeli tego, kto ją nosił, już nie ma i została nam tylko ona, staje się jakby ucieleśnieniem tamtej osoby, naszej tęsknoty, miłości, rozpacz. Nabiera świętości i wartości.

Niektórzy wierzą, że przedmioty pochłaniają część duszy człowieka, do którego należą, że nawet po śmierci jakiś jej fragment pozostaje w nich zaklęty. Podobno są tacy, którzy dotykając takich przedmiotów, potrafią poczuć tych, których już nie ma. Jaśmina nie do końca w to wierzyła, jednak będąc tu, pośród tych wszystkich rzeczy, które należały do jej siostry, nie mogła się oprzeć wrażeniu, że coś czuje, że oprócz niej, myszy i nietoperzy na strychu jest tu ktoś jeszcze.

Czy to była Nadzieja? Przecież nie tylko ona mieszkała w tym domu. Jaśmina pamiętała opowieści o Krzysztofie, kuzynie Florentyny, który umarł jeszcze przed wojną. Stało się to w drugim budynku, tam gdzie zimą wszyscy się zbierali, w pokoju, który teraz należy do Malwy i Hani. Ciekawe, który pokój tutaj do niego należał.

Była jeszcze nieszczęsna Halszka ze strychu, której tupot słyszano nawet po jej śmierci. A także Sławek, którego Halszka pociągnęła za sobą. Jak mówili niektórzy, z zaświatów ruszyła jego ręką tak, że skaleczył się zardzewiałą siekierą przy wycinaniu pniaka, który przez długi czas był jej grobem. Nikt nie wiedział, kiedy Halszka umarła i jak długo leżała zasuszona w pustym pniu orzechowca.

Dom wybudowano na początku wieku, gdy Paweł miał się żenić ze Stasięnką, i od tego czasu nie remontowano go porządnie ani razu. Zmieniano tylko kolory ścian i tapety, wstawiano nowe meble, a stare wynoszono na strych. Jaśmina stała między starymi ścianami

i przyglądała się postępującemu rozkładowi. Czas nie oszczędził się z nimi łaskawie. Wilgoć, grzyb, spróchniałe drewno. Dom umierał.

Wdrapała się na strych, choć trochę obawiała się wchodzić tam sama. Po pierwsze, z komina powypadały cegły, dach był dziurawy i mógł w każdej chwili spaść jej na głowę. Po drugie, wiadomo, Halszka. Nadzieja, kiedy jeszcze żyła, upierała się, że jej duch nie wyniósł się ze strychu, na którym przemieszkała w ukryciu długie miesiące. Że wieczorami słyszała ją chodzącą po skrzypiącej podłodze.

Teraz było tu całkiem cicho, nawet myszy ucichły. Jaśmina przeraziła się widokiem strychu, ale nie ze względu na widma. Przez dziury w dachu wpadało światło i kładło się na podłodze. Gdzieś leżały roztrzaskane dachówki, komin był całkowitą ruiną. Większość starych mebli, które stały tu przykryte prześcieradłami, prawdopodobnie do niczego już się nie nadawała. Wszystko butwiało, zapach zgnilizny był mocny, agresywnie wdzierał się do nosa przy każdym oddechu. Wilgoć zakradła się tutaj w każdą szczelinę, całkowicie zawładnęła przestrzenią. To stąd, z rozmokłego dachu i podłogi przedostawała się na niższe kondygnacje. Wykwitała na ścianach w plamach pleśni, w grzybie, który powoli pożerał cały dom.

– Musimy wyremontować dom, bo inaczej nic z niego nie zostanie – powiedziała przy kolacji. – To będzie sporo kosztować, trzeba wymienić komin i położyć nowy dach.

– Jak trzeba, to trzeba. – Róża westchnęła i posłała spojrzenie Piotrowi, który od razu skinął głową, nic nawet nie mówiąc.

Tej nocy we śnie Nadzieja przyszła pod sam dom. Jaśmina wyrzała przez okno sypialni i widziała ją stojącą między purpurowymi krokusami, których łebki dopiero co przebiły ziemię. Światło księżycy było jasne i miękkie, wyglądało nierealnie, jakby oświetlało aktorkę na scenie. Nadzieja unosiła się tuż nad ziemią w tej plamie srebrzystego światła. Uśmiechała się i długą białą ręką wskazywała na dom za swoimi plecami. Wtedy Jaśmina zrozumiała, że może właśnie po to przychodziła do niej prawie co noc. Może chciała zwabić ją do starego domu, uzmysłwić jej, w jakim ten jest stanie, i go uratować. Kiedy obudziła się rano, poczuła pewność, że tak właśnie musiało być.

Teraz już prawie każdej nocy po przebudzeniu wychodziła na zewnątrz i szła długo przed siebie, nie myśląc, nie zastanawiając się nad tym, dokąd idzie. Może znów chciała zobaczyć Nadzieję, a może

po prostu ciągnęło ją coś tam daleko, w stronę wsi, lasów, księżycą. Lubiła tę porę, gdy wieś była opuchnięta od nocy, pełna czerni i granatu, nakrapiana złotem gwiazd. Domy stały wzdłuż drogi jak wielkie uśpione stworzenia i wydawać się mogło, że słyszała ich oddechy, pochrapywanie.

Nigdzie nie paliły się światła, ludzie w Sokołowie wstawali o świcie, dla nich więc noc zaczynała się wcześniej. Jedynie z daleka pobłyskiwały światła pałacu. Ci, którzy w nim mieszkali, chyba też nie sypiali zbyt dobrze. Kwiecińscy rzadko pojawiali się we wsi, czasem pokazywali się na nabożeństwie, raz w tygodniu robili zakupy w sklepiku u Noszczykowej. Cały czas jeździli między Sokołowem a Szunowem, wiecznie remontowali coś w pałacu, przerabiali, poprawiali, dobudowywali, zwozili młode drzewka, sadzili kwiaty, przycinali żywopłoty. Pozostałość po wykopaliskach zionęła czarną dziurą, jakby bali się ją zakopać, naruszyć świętość. Plany utworzenia stawu odsunęły się w czasie.

Dziwne to było małżeństwo, tak przynajmniej mówili o nich we wsi. Wycofani jacyś, cisi, grzeczni, to prawda, a nawet zbyt grzeczni. On jeszcze ani razu nie pojawił się w knajpie Na Rozstaju, podejrzewano więc, że może chory na serce, może po odwyku jak Tadek Badura, a może jeszcze gorzej, może abstynent. Na wsi nie ufa się takim, co nie zaglądną do kieliszka. Nic o nich nie było wiadomo tak naprawdę. Raz tylko w rozmowie z sołtysem pan Witold zdradził, że kiedyś pracowali w teatrze, ale już są na to za starzy, że chcą spędzić jesień życia w nowym miejscu i w całkowitym spokoju.

Nosili się też inaczej niż inni ludzie, on taki elegancki, w marynarce, szpakowaty, z włosami zaczesanymi jak u amanta filmowego, ona odpicowana, ufryzowana, zawsze w makijażu. Tylko Jaśmina podczas swoich nocnych wędrówek widziała, jak długo po północy jeszcze siedzą na tarasie, paląc papierosy. Pewnie duchy nie dają im spać, pomyślała, im też.

A Kwiecińscy powoli przyzwyczajali się do cieni za oknem, do trzeszczących nocą schodów i odgłosów kroków dobiegających ze strychu. Przed snem wsłuchiwali się w chrobot dobiegający zza ścian. Nie wiedzieli, jak ze sobą rozmawiać o tym, co zdarzało im się widzieć.

– Znowu coś chodzi po ogrodzie – mówiło jedno z nich, stając przy oknie, a drugie kiwało głową, odsuwało firankę, żeby lepiej się przyjrzeć, i wydawało tylko pomruk, który mógł oznaczać, że tak, coś

tam jest, ale nie zawracajmy sobie głowy, bo znów wystawimy się na pośmiewisko przy policjantach.

Po drugiej interwencji, w której komendant Filipowicz nie dopatrył się żadnych śladów jakiegokolwiek obecności na posesji Kwiecińskich, niektórzy zaczęli się z nich naigrawać. Wtedy pan Witold nawet się trochę zdenerwował, rzucił, że policji nie można zawracać głowy pierdołami, że może ducha widzieli, bo na pewno nie Marysię. Po tym już nigdy nie zatelefonowali, nawet jeśli coś jak dziewczęcy cień przemykało przez ogród.

– Może to rzeczywiście duch – zażartował, ale żadne z nich się nawet nie uśmiechnęło.



Wspomnienie po zimie topniało w błotnistych kałużach na drodze, z dnia na dzień robiło się coraz cieplej. Jaśmina wciąż cierpiała na senne koszmary, małe białe pigułki od doktora Szwarca nie zawsze odpędzały złe sny. Z tygodnia na tydzień coraz trudniej było jej odróżnić świat snów od realnego świata.

– Widziałam Nadzieję. Znów była w ogrodzie, a jej stopy nie dotykały ziemi – zdarzało jej się powiedzieć do Róży, która z coraz większą troską przyglądała się swojej siostrze. Jaśmina łapała się na tym, że mówi od rzeczy, że kolejny raz poplątała sen z jawą, ale tylko zagryzała wargi i dodawała nieco zmienionym głosem: – To znaczy śniło mi się, że ją widzę.

Ale sama nie była tego taka pewna. Po przebudzeniu zazwyczaj nie pamiętała niczego, przez większość nocy spała kamiennym snem pozbawionym obrazów. Teraz to w ciągu dnia zdarzało jej się widzieć różne rzeczy i potem nie miała pewności, czy po prostu tego nie wyśniła.

Kiedy na dobre zaczęły się porządki w starym domu, zaczęła widywać Nadzieję coraz częściej. Czasami zdawało jej się, że kątem oka dostrzega rąbek jej sukienki znikający na szczycie schodów, innym razem jakiś kosmyk rudych włosów zamajaczył między gałęziami rozrośniętych morw. Zdawała sobie sprawę, że czasami w ciągu dnia zdarza jej się przysypiać (co zapewne miało związek z tym, że nie przestrzegała dawek zaleconych przez szunowskiego lekarza, i bywały dni, w których łykała pigułki, jakby to były landrynki),

dlatego te przywidzenia nie martwiły jej aż tak bardzo. Pewnie śnię to wszystko, gdy tylko zmrużę oczy, tłumaczyła sama sobie.

Dopiero gdy zmniejszyła dawki (bo doktor Szwarz bardzo się zdenerwował, kiedy po kolejną receptę przyszła cztery tygodnie przed wyznaczoną datą), do jej umysłu zaczęły przeciekać inne obrazy, podobne do tych, które śniła ubiegłej jesieni. Sny o ogrodzie i studni, sny o pałacu i sny o wodzie. Siostra przywołująca ją skinieniem dłoni, prowadząca w górę starych schodów, które w tych snach ciągnęły się bez końca. Poluzowana poręcz, tynk odpadający ze ściany i kopający piec.

Ona naprawdę tu jest, pomyślała Jaśmina, gdy obudziła się któregoś ranka z głową pełną sennych obrazów i pewnością, że to Nadzieja próbuje jej coś powiedzieć. Starła się być uważna, przyglądała się wszystkiemu, nawet każdej swojej myśli, i w końcu zaczęła dostrzegać szczegóły, które łączyły prawdziwy świat z tym, o którym śniła po nocach.

Najpierw zauważyła na ścianie plamę wilgoci, zupełnie taką samą jak we snach – o specyficznych wystrzępionych krawędziach. Plama wykwitła na białej niegdyś ścianie i wyglądała dość obrzydliwie, jak wielki zielonoszary kleks. Jaśmina pamiętała, że we śnie plama ta niczym grzybnia łączyła się witkami z innymi plamami. Upstrzone zaciekami ściany pulsowały, jakby porastający je grzyb żył, oddychał. Tak było we śnie. W rzeczywistości pomieszczenia były głucho, nieruchome i sprawiały wrażenie martwych.

Tylko te lizaje wyglądały tak samo. Jaśmina przyglądała im się z bliska, wdychała ich zbutwiałe zapach. Zapach starości, przemijania. Tak pachną wszystkie stare domy. Kiedy bezwiednie wyciągnęła rękę i dotknęła wilgotnej ściany, poczuła, że na ułamek sekundy jej ciało ściał mróz, chłód tak przejmujący, że z bólu cofnęła dłoń. Na opuszkach palców został zielonkawy nalot, który z obrzydzeniem wytarła o spodnie. Na ścianie odbił się ślad po dłoni, co ją zdziwiło.

Wzięła do ręki miotłę, nie chcąc więcej dotykać ściennych wykwitów. Drewniany trzonek wszedł w zielonkawą maź bez problemu, spleśniała ściana poddała się naciskowi. Otwór się pogłębił, Jaśmina zaczęła w nim grzebać, jakby grzebała w otwartym ciele, w jego wnętrznościach. W myślach ujrzała drapiącą ścianę Nadzieję z zakrwawionymi opuszkami palców. Smród rozkładu się wzmógł. Po chwili Jaśmina stała naprzeciwko sporego otworu.

Przez sekundę wydawało jej się, że z postrzępionych brzegów sączy się coś ciemnego, ale to zniknęło, kiedy przymknęła oczy i ponownie je otworzyła. Zbutwiała ściana chowała coś w sobie, coś szarego i bezkształtnego. Coś owiniętego w szmaty, coś włożonego tu dawno przez czyjeś ręce. Coś, co kryło w sobie tajemnicę. Wyjęła zawiniątko drżącymi dłońmi i zaczęła je otwierać, czując, że jest to jeden z tych momentów, w których wszystko przestaje być takie, jakim było do tej pory.

II

O tym, skąd się biorą sny



Dni się wydłużyły i starowinki znów się ustawiały pod kościołem zaraz po wieczornej mszy, żeby móc zacząć udającego się na plebanie proboszcza. Ten, zmęczony liczbą wiernych, z jaką przychodziło mu się ostatnimi czasy spotykać, umykał przed ich wzrokiem. Czasami zdarzało mu się wyjść niepostrzeżenie drzwiami od strony zakrystii, tam gdzie nie sięgał wzrok staruszek zebranych pod krzyżem. Przygarbiony przemykał pod murkiem i zatrząskiwiał za sobą drzwi plebanii. Nie było mu z tym dobrze, właściwie to czuł ogromne wyrzuty sumienia, że zamiast być z wiernymi, przed nimi ucieka, ale zmęczenie brało górę.

Ksiądz zasypiał wczesnym wieczorem, a tuż przed zaśnięciem miał głowę ciężką i pełną obrazów. Twarze ludzi zebranych pod kościołem, rozmodlone, pełne wiary w to, że uleczą ich cuda zdarzające się w sokołowskim kościele. Krew, woda, wino. Zielna Maryjka, przed której obrazem klęczał co wieczór, modląc się i prosząc bezgłośnie o to, aby dana mu była taka sama wiara jak ta, którą miały zebrane pod drzwiami kościoła staruszki. Wiara może trochę bezmyślna, ale prawdziwa, ufająca, kojąca lęki.

Za każdym razem z niepokojem spoglądał w stronę aspensorium, bo bał się, że znów zobaczy wino zamiast wody, że znów przyjdzie mu się mierzyć z cudem, z czymś, co go przerasta; przerasta jego postrzeganie rzeczywistości. Przypominał sobie słowa tej kobiety ze wsi, Róży od Dziubów, z którą kiedyś zamienił kilka zdań na cmentarzu. Tej rodziny nigdy nie widział w kościele, może poza pasterką, a nawet wtedy spotykał tylko mężczyzn.

– Ksiądz mówi jak nie ksiądz.

I tak właśnie się czuł, jak nie ksiądz. Czuł się winny, że nie docenia świętości, z jaką miał do czynienia, i obiecywał sobie, sobie i Zielnej Maryjce z sokołowskiego ołtarza, że zmieni to, że stanie się prawdziwym pasterzem dla swoich wiernych, że żadna woda przemieniona w wino go nie wystraszy. Wpatrywał się w jasną twarz na malowidle, o której myślał potem, leżąc już w swoim wąskim łóżku w małym pokoiku na pięterku plebanii.

Dziwna wydawała mu się Matka Boska z sokołowskiego ołtarza. Efemeryczna, o twarzy raczej nimfy niż świętej. Ksiądz Sabaczyński sporo podróżował i widział wiele maryjnych portretów, jednak żaden z nich nie przypominał tego w małym kościółku w Sokołowie. Widział

Maryjki czeskie, o jaśniejszych złotem twarzach i włosach, wciśnięte w ciasne kapliczki na rozstajach dróg. Pamiętał słowa staruszek, które przychodziły na modły do drewnianego kościoła w Zvelinach, gdzie jako młody ksiądz zaraz po prezbiteracie spędził całe lato. „Natura ma lekarstwo na wszystko”, mówiły babički i przynosiły mu w koszykach zebrany z morawskich łąk dziurawiec.

Widział też inne Maryjki, cieszyńskie, o twarzach ciemnych i surowych, a także Madonny pomorskie ze złotymi koronami. Sokołowska Zielna Panienka miała we włosach wianek z koniczyny i rumianku. Wiele lat temu opowiadano, że stojące pod ołtarzem bukiety kwiatów podobno nigdy nie więdły, że całą zimę stały w wazonach puszyste piwonie, złocienie i margerytki.

Ksiądz Sabaczyński myślał o jednym ze swoich ulubionych apokryfów opowiadającym o śmierci Maryi. Złożone w trumnie ciało czekało, aż Święty Tomasz niedowiarek ujrzy je na własne oczy. Kiedy w końcu do niego dotarł i otworzono trumnę, nie było w niej żadnego ciała. W środku były kwiaty, pachnące lilie i zioła.

Sokołowska Zielna Maryjka zaprzętała myśli proboszcza, raz nawet przyśniła mu się idąca wśród słonecznych łąk z naręczem piotunu i macierzanki. Jej twarz wydawała się dziwnie znajoma. Trochę przestraszył się tego snu, bo zazwyczaj proboszcz nie śnił o niczym. Za to dużo myślał. Myślał o wykopanej spod ziemi pradawnej osadzie, o zapomnianym kulcie, który panował tutaj, kiedy Czarny Las był jeszcze młodym lasem. Gdyby drzewa mogły mówić, ile można by się od nich dowiedzieć...

Myślał o twarzy pogańskiej figurki, Zielnej Maryjki i zaginionej Miśtówny. Myślał też o księdzu, który przed laty spłonął w kościelnej wieży, i zastanawiał się, czy to prawda, co o nim opowiadali. Że zawładnęło nim Złe. Myślał i bał się coraz bardziej, że i jego kiedyś opęta coś, przed czym nie zdoła uciec, bo jego wiara najwidoczniej była słabsza niż wiara wiejskich starowinek.

Tego roku wczesnie zakwitły olchy i leszczyny. Pylły już w środku marca, kiedy pamięć o zimie ledwie zdołała przeminąć. Wszystko budziło się z zimowego snu i tylko Jaśmina wydawała się wciąż otępiała, jakby nie potrafiła wynurzyć się z tych majaków, które coraz gęściej kotłowały się w jej głowie.

Jednak na odpoczynek nie było teraz wiele czasu. Po zamknięciu sklepu, a także w wolne dni wciąż sprzątała stary dom Nadziei. Wkrótce Piotr z Mikołajem mieli wrócić z zachodniej granicy. Od jakiegoś czasu próbowali się zająć handlem, rozkręcić interes, ale

różnie im szło. Po powrocie wraz z wynajętym od Kaziuków chłopakiem planowali rozpocząć remont dachu i komina.

Po tym, jak znalazła zamurowane w ścianie zawiniątko, Jaśmina sprzątała uważnie, nie omijając żadnego kąta. Podświadomie liczyła na to, że znajdzie coś jeszcze, jednak to była jedyna rzecz, jaką stary dom z siebie wypluł.

– Co to może być? – Postawiła puzderko na kuchennym stole i spojrzała w stronę rodziców. Róża podeszła do stołu i się skrzywiła. – Znalazłam, kiedy sprzątałam. To było w ścianie! – dodała, zniżając głos.

– Jaśka, nie rzucaj brudów, tu się je.

– Popatrzcie. – Jaśmina z przejęciem wyjęła coś z porzewiałej skrzyneczki. – To jakieś papiery.

Siemił stanął nad nią i przyglądał się przez chwilę przyniesionym rzeczom.

– Może ktoś przed wojną chował? Jak Ruscy szli.

– Kto? – Jaśmina z obawą wyjmowała poźółkłe papierzyska. – Mamo, co to takiego?

Florentyna pochyliła się nad rozłożonym na stole znaleziskiem, jednak te stare dokumenty nic jej nie mówiły. Nigdy wcześniej nie widziała ich na oczy.

– Pokaż. – Róża przysunęła sobie krzesło do stołu. Straciła zainteresowanie gotującym się na kuchni obiadem. – Czy tu są jakieś zdjęcia?

– Chyba tak... – Na półeczki Jaśminy wypełzły rumieńce. – I jakieś dokumenty...

Teraz każdy pochylał się nad starą szkatułką z szerzej otwartymi oczami. Jaśmina rozłożyła na stole całą jej zawartość i przez dość długą chwilę patrzyli na to wszystko w milczeniu, zaciekawieni, zmieszani trochę tym niecodziennym odkryciem.

– Dziwnie napisane. – Róża podniosła poźółkłą kartkę. – Sprzed wojny?

– Chyba jeszcze sprzed pierwszej wojny. Popatrzcie na stempel. – Siemił wziął od Róży dokument. – Wygląda na starą książeczkę legitymacyjną, paszport może. A to chyba metryka chrztu, a może akt urodzenia.

– Skąd to wzięłaś? – Róża spojrzała na Jaśminę.

– Przecież mówię, znalazłam przy sprzątaniu. Było zamurowane w ścianie przy poręczy schodów. Śniłam o tej ścianie, Nadzieja mi ją pokazała.

– To od Faberów. – Róża stuknęła palcem w papiery. – Jest nazwisko, o tutaj.

– Rozalia Faber...? – Jaśmina zmrużyła oczy. – Nie widać dobrze, napisy wyblakły.

– A tutaj? – Róża sięgnęła po najlepiej zachowany dokument. – Mamo, kto to Grzegorz Faber? Na pewno ktoś z rodziny.

– Grzegorz Faber? – Florentyna zamrugła kilkakrotnie. Coś majaczyło w otchłani jej pamięci, jednak nie potrafiła tego wyłowić.

– Przecież nasz dziadek to był Mateusz, tak? Babcia Jodełka to Maria Faber. – Jaśmina patrzyła na matkę z nadzieją, że tym razem nie zawiedzie jej pamięć. – A kim był Grzegorz?

Jednak Florentyna zamilkła.

– Był – powiedziała tylko. – Był Grzegorz. I było wiele smutku – dodała, jakby coś sobie przypominała, jakieś dawno wypowiedziane słowa, po czym wstała i odeszła od stołu cały czas zamyślona.

Bliźniaczki chciały ją zawołać, bo było jeszcze wiele pytań do zadania, ale Siemił je powstrzymał:

– Zostawcie ją. – Spojrzał za znikającą w kuchennych drzwiach żoną. – Wiecie, że jak mamie coś się przypomina, to trzeba dać jej czas. Pokażcie resztę tych papierów. To nieprawdopodobne!

Jaśmina podążyła wzrokiem za Florentyną, która po tym dniu znowu nie mogła zasnąć. Leżała rozbudzona jeszcze długo po północy, nie spała też, kiedy tłusty księżyc zatoczył koło nad dachem Dziubowego domu i zajrzał do środka. Zastał tam Florentynę opartą o puchowe poduchy z twarzą zwróconą ku oknu, tam gdzie w ciemności nocy rozciągał się horyzont Czarnego Lasu.

Od jakiegoś czasu łapała się na tym, że o wielu rzeczach zapomina, a niektórych nie potrafi umiejscowić w czasie.

– Zupełnie jakby mi ktoś wsadził do głowy łychę i zamieszał – skarżyła się Siemiłowi.

Czasami wspomnienia były żywe i pełne szczegółów, zdarzało się, że potrafiła sobie przypomnieć wzór na starej sukience, kształt plamki na pyszczku kota, którego miała jako mała dziewczynka, albo zapach perfum, jaki poczuła przed wielu laty od aktorki, która wraz z teatrem objazdowym odwiedziła Sokołów. Nie pamiętała natomiast, czy zgasiła ogień pod piecem ani czy spakowała suszone zioła, które potem Jaśmina sprzedawała w swoim szunowskim sklepie Czarodoro.

Teraz wysilała pamięć, żeby przypomnieć sobie coś, co mogłoby wytłumaczyć, czym były znalezione przez córkę papiery. Jednak

głowa pozostawała pusta jak ususzona makówka. Dziwne, że pamięć człowieka taka wybiórcza, pomyślała, patrząc na jaśniejący na sokołowskim niebie księżyc. Ty wiesz wszystko, zwróciła się do niego w myślach, bo wszystko widziałeś, takie z ciebie ciekawskie чудо. Czemu mi nie podpowiesz?

W tym samym momencie w starym domu między trzeszczącymi ścianami zahukała sowa. A może odezwało się zupełnie co innego? Tej nocy Florentyna nie spała, ale Jaśmina śniła o niebieskim ogrodzie i nawet gdy wybudziła się jeszcze długo przed świtem, słyszała śpiew. To w mojej głowie czy naprawdę ktoś śpiewa?

Głos szedł od strony drogi, tam gdzie rosną pokrzywy i niezapominajki. Tam gdzie przed laty stała studnia. Wstała po cichu i wyszła przed dom, wiedząc, że i tak nie uda jej się na powrót zasnąć. Poszła w stronę płotu, tego od głównej drogi, bo coś ze snu chciało, żeby właśnie tam poszła. Zatrzymała się, zobaczywszy, że w wysokiej trawie stoi ktoś nieruchomo. To była Florentyna. Tkwiła tam cała w szarościach przedświt, otulona ledwie oderwanymi od ziemi mgłami. Wyglądała nierealnie, jak wyjęta ze snu, i przez chwilę Jaśmina rzeczywiście myślała, że oto znów pojawiają się przed jej oczami jakieś mamidła. Ale po chwili ujrzała, że matka się poruszyła, zaszeleściło coś pod jej stopami.

Już chciała podejść, zapytać, co tu robi, ale wtedy dostrzegła, że Florentyna nachyla się i coś szepcze. Z kim ona rozmawia? – przebiegło przez myśl Jaśminie i dopiero po chwili zrozumiała, że matka mówi do porośniętej trawą ziemi, że jej usta dotykają wilgotnych od rosy źdźbeł, a dłonie wczepiają się w nie jakby z pieśczętą, jakby łapały czyjeś włosy. Jaśmina cofnęła się, chcąc pozostać niezauważona. Cokolwiek robiła Florentyna, z kimkolwiek próbowała rozmawiać, powinno to pozostać między nią a tym kimś. Nawet jeśli to była studzienna panna, która przecież rozplynęła się w czasie.



Sny o ogrodzie i studni były zamglone, niewyraźne, trudno było je zrozumieć. Umysł Jaśminy znajdował się za mgłą, opanowany przez zmęczenie i zbyt silne leki. Po nich znów nastąpiły sny o brudnej wodzie. Jaśmina nie lubiła ich, były nieprzyjemne i zawsze kiedy je śniła, budziła się zmarznięta.

Czasami pojawiała się w nich topielica, czasami nie, ale zawsze rzeka groźnie w nich rosła, piętrzyła się i wzbierała. W ostatnim śnie wystąpiła z brzegów i podpłynęła, jakby była żywym, myślącym organizmem, pod Dziubowy ogród. Tu opłotła zimnymi falami dom oraz drzewa w sadzie, przykryła rosnące pod płotami malwy i czeremchę. Cała rodzina siedziała przy kuchennym stole, patrząc, jak za oknem woda podnosi się tak, że w ciągu krótkiej chwili nie było już nic widać. Została tylko szarość.

Prądy przynosiły rzeczne zwierzęta, za oknem pływały raki i minogi.

– Zamknijcie okna, bo mułu naniesie – powiedziała znad obiadu Florentyna, ledwie podnosząc głowę, nie przejmując się tym, że nagle cały świat znalazł się pod wodą.

Jaśmina patrzyła na nią, na Siemiła, na Różę, na Piotra, na Mikołaja i dzieci i nie mogła się nadziwić, że nawet nie przerywają jedzenia. Woda za oknem była szara, z zielonkawymi refleksami, unosiły się w niej wodorosty i małe ślimaczki.

– O, patrzcie, topielica! – wykrzyknęła uradowana Malwa i pomachała do zagląającej przez okno postaci o pociągłej białej twarzy. Topielica odmachała, jej puste czarne oczy patrzyły nieruchomo.

Pigułki od doktora Szwarca chyba przestawały działać, więc Jaśmina znowu połykała ich więcej, niż powinna. Potem zasypiała szybko i głęboko, ale budziła się z ciężką głową, jakby wewnątrz niej, tuż za oczami, kłębiła się mgła. Zdarzało się, że do południa wypijała trzy kawy, żeby tylko się ocknąć z tego stanu. W końcu opowiedziała o swoich snach Mikołajowi, o tym, że czasami widuje w ogrodzie Nadzieję i psy, że raz zobaczyła siedzącą pod drzewem świnię Mariolę, która przecież dawno już leżała zakopana obok psów i kotów pod starym platanem.

– Po czasie wiem, że to tylko mamidła, że pewnie znowu lunatykowałam, tak jak wtedy, gdy byłam mała. Ale w danej chwili naprawdę myślę, że one tam są... Że błąkają się po ogrodzie, tylko my ich nie widzimy – powiedziała, wzdychając nad kolejną kawą.

Jej ręce się trzęsły, a powieki drżały – to nadmiar kofeiny wypłukiwał z organizmu magnez. Wiedziała o tym i łykała suplementy, które nie pomagały, bo jedyne, czego naprawdę jej było potrzeba, to kilka nocy zdrowego snu, nienapędzanego żadnymi lekami. Ale bez nich nie potrafiła już zasnąć.



Któregoś ranka Florentyna sięgnęła po klucz od stryszku, ten sam, który tak wiele lat temu podkradała, żeby ze swoją kuzynką Katarzyną buszować po zakazanym poddaszu.

Było wcześniej, Siemił jeszcze spał, gdyż całą poprzednią noc spędził na obserwowaniu komety. Róża krzątała się w kuchni, dzieci uczyły się czegoś nowego w szkole. Tylko mały Wojtek bawił się klockami na podłodze. Jaśmina była już w sklepie, a Piotr i Mikołaj jeszcze nie wrócili do Sokołowa. Dom więc stał cichy, nie do końca wybudzony po nocy. W takiej ciszy słychać każdy chrobot, każde skrzypnięcie. Florentyna stąpała ostrożnie. Te schody zawsze tak skrzypiały, pomyślała. Szczególnie ten jeden stopień, który zazwyczaj próbowała omijać. Przekroczyła go, tyle lat czekał na naprawę, że przestał być potrzebny.

Udała się w sam kąt poddasza, gdzie zgromadzono rzeczy jeszcze po jej rodzicach. To wszystko, czego żał wyrzucić, choć wiadomo, że i tak na nic się nie przyda. Brzydkie pstrokate chustki po Jodełce i ślubny welon, teraz już całkiem pożółkły i zżarty przez mole. Gdzieś tam w drewnianym puzderku był ten zwitek starych fotografii, których nikt nie chciał znieść ze strychu, aby wkleić w rodzinne albumy. Bo miejscem przeszłości jest strych.

Florentyna od dawna nie myślała o tych fotografiach, odkąd próbowała wyciągnąć od Hanuli na ich temat jakieś informacje. I teraz, po tym niecodziennym znalezisku w starym domu, przypomniała sobie o nich.

– To Franciszka, pierwsza żona mojego tatka. Waszego dziadka. – Usiadła przy kuchennym stole, rozkładając na nim przyniesione ze strychu zdjęcia. – Franciszka Faber.

Róża wytarła ręce w ściereczkę i ostrożnie podnosiła fotografie, przyglądając im się zmrużonymi oczami.

– Skąd to masz?

– Ze strychu. O, na tym jest data, tysiąc osiemset dziewięćdziesiąt pięć.

– Raczej tysiąc osiemset osiemdziesiąt pięć, tam jest plamka na ósemce. – Róża zmarszczyła brwi. – Co to za zdjęcia, mamo?

– Już zdążyłam o nich zapomnieć... To takie dziwne, zapominać i przypominać sobie. – Florentyna wbiła wzrok w sepiowe odbitki. – Grzegorz Faber był bratem mojego tatka, ale znałam go.

– Bratem? Pierwsza żona? – Róża zmarszczyła brwi i przyglądała się matce przez dłuższą chwilę. – A dlaczego nic z tego nie kojarzę?

– Bo o tym się nie mówiło. To znaczy, gdy teraz o tym myślę, to przypominam sobie to imię, musiało się przewijać w rozmowach... – Florentyna wodziła palcem po twarzy kobiety ze zdjęcia. – Ale gdyby nie Hanula, to w ogóle nie wiedziałabym o tamtej żonie.

– Nie rozumiem.

– No widzisz, Różyczko, ja też nie. – Smutny uśmiech spłynął na Florentynowe usta. – Nikt w tym domu nigdy nie wspominał o tym, jak żył mój ojciec przed ślubem. Nawet moi świętej pamięci bracia. Może sami nie wiedzieli? A tatko zniknął, gdy byłam całkiem mała, a i wcześniej mało się do mnie odzywał. Ja myślę, że coś niedobrego musiało się tutaj stać. Może tatko nic nie mówił, bo czasami człowiekowi się wydaje, że jak się o czymś nie mówi, to się o tym łatwiej zapomina i w końcu to przestaje istnieć?

Od tego dnia myśli wszystkich mieszkańców Dziubowego domu krążyły wokół starych fotografii i odnalezionych dokumentów. Kto je zamurował i dlaczego? Wypowiadano imiona, których nie wypowiadano wcześniej. Smakowano je w ustach jak pyszny, choć niedozwolony smakołyk. Grzegorz, Franciszka, Rozalia jakby z tymi wypowiedzianymi słowami narodzili się na nowo.

Wieczorami Dziubowie siadywali przy stole, a Siemił rozlewał pachnącą jesienią nalewkę z dzikiej róży. Rozmawiali o przeszłości, o starym Sokołowie. Najwięcej pytań zadawały bliźniaczki.

– Mamo, przypomnij sobie więcej – poganiała Róża. – Jak się skupisz, na pewno sobie przypomnisz.

Więc zatapiała się Florentyna w otchłani czasu, który zawsze wydawał jej się czymś dziwnym, bo nie można go opisać ani nazwać. Wracła tam, gdzie na rozstaju polnych dróg stała kapliczka z bezgłowym świętym, gdzie na podwórku słychać było śpiew dochodzący ze studni, gdzie w pałacu mieszkał smutny dziedzic, a w jaskini mądry starzec Jutrowoj, o którym mówiono, że był szaleńcem, choć może i świętym, a pewnie i jednym, i drugim.

Florentyna mówiła i z każdym wypowiedzianym słowem czas jakby się kurczył, bo bliżej teraz było wszystkim do tego starego Sokołowa. Czuli nawet, jak pachniało tamto lato, gdy po raz pierwszy zakwitły niebieskie kwiaty. Poczuli też swąd spalenizny nadlatujący znad Lisiego Lasu, kiedy spłonęła wieźmia chatka podpalona przez chłopów chcących się zemścić na mieszkających w niej kobietach za porwanie chłopca ze wsi.

– Kto wybudował tamten dom? – zapytała Jaśmina, gdy nie było już o czym opowiadać, kiedy na chwilę wyczerpały się zasoby pamięci Florentyny.

– Tatko i Paweł.

– To pewnie któryś z nich zamurował tę szkatułkę.

– Tylko po co?

– Albo żeby czegoś się pozbyć, coś ukryć, albo żeby coś bezpiecznie przechować.

– A może i jedno, i drugie? – Florentyna zamilkła nad stołem zawalonym papierami. Między nimi leżały rozrzucone fotografie, które przyniosła ze stryżku.

– Myślicie, że ten akt urodzenia dotyczy tego dziecka ze zdjęcia z Franciszką? – Róża wpatrywała się w stary portret z wypiekami na twarzy. – Który tam jest rok?

– Tysiąc osiemset osiemdziesiąty pierwszy. Możliwe – przyznał Siemił.

– Rozalia – powiedziała Florentyna trochę pytająco, a trochę nie, bo coś jej mówiło, że to właśnie była dziewczynka siedząca na kolanach pięknej pierwszej żony jej ojca. Wraz z wypowiedzeniem na głos tego imienia coś się zmieniło.

Tej nocy Jaśmina śniła o jasnowłosej śpiewającej dziewczynce, która biegła po ogrodzie między rozkwitającymi gruszami i jabłonią. To był ich ogród, ten sam, nie inny, ale żaden kwiat nie był w nim niebieski. Rano przy śniadaniu opowiedziała swój sen, po raz pierwszy od dłuższego czasu znów mówiła o tym, o czym śni. Było tak jak kiedyś, gdy jako młoda dziewczyna opowiadała nad grzanką z marmoladą o rzeczach, które wydarzą się we wsi. O tym, że Florentyna zatruje się grzybkami albo że umrze stary pocziwy ksiądz Strąk. Tylko że teraz opowiadała o tym, co już się wydarzyło.

A potem ta dziewczynka śniła jej się już regularnie, chyba że akurat połknęła trzy białe pigułki, wtedy ze snów nie pozostawały żadne wspomnienia.

Franciszka Faberowa

Kiedy Franciszka wyszła za mąż za sporo starszego Mateusza Fabera, miała dziewiętnaście lat i myślała, że jej życie właśnie się skończyło. Był rok 1880, w Krakowie odbywał się drugi pochówek Długosza, a ona czuła, jakby to ją chowano, wioząc do tej zapadłej

wsi na końcu świata. Bała się, że już nigdy nie zobaczy żadnego wielkiego miasta.

Potem udało jej się jeszcze odwiedzić dalekie kuzynostwo w Warszawie. Pojechała w pożyczonej sukience i bardzo się tego wstydziła. W tej samej sukience w Warszawie w zakładzie fotograficznym zrobili jej pamiątkową fotografię.

Z rodzinnego domu nie przywiozła wiele, bo majątek ojca przepadł. Dlatego musiała wyjść za mąż i to za kogoś, komu nie wadziło, że nie wnosi właściwie żadnego posagu. Faberowie byli dość zamożni, mieli zakład stolarski słynny na całą okolicę, murowany dom, rozległe pola. Przed wzięciem Franciszki za żonę Mateusz pobielił wszystkie ściany, wykopał nową studnię, urządził sypialnię, jakiej nie powstydziłaby się panienka z miasta.

Jednak dla Franciszki nie miało to żadnego znaczenia. Od pierwszych chwil, kiedy postawiła stopę w Sokołowie, nienawidziła tej wsi, swojego nowego domu i swojego męża. Mateusz starał się dogodzić młodej żonie, jednak ona cały czas chodziła naburmuszona, nie odzywała się do nikogo i przez pierwsze tygodnie prawie nie wychodziła z sypialni.

Gardziła prostymi teściami, nie smakowało jej jedzenie, a kiedy sama próbowała gotować, nic jej nie wychodziło. Nie podobał jej się dom, choć nikt nie miał tak pięknego obejścia ani w Sokołowie, ani w Lisiej Norze, ani nawet w Krasnej. Denerwowały ją zwierzęta, kury i kaczki, dwie krówki, pies i kilka kotów mieszkających w stodole. Franciszka dużo wtedy płakała.

Po kilku miesiącach zaczęła się jednak przyzwyczajać do nowego życia, bo zrozumiała, że nie ma wyjścia, co najwyżej mogłaby iść nad Nieme Stawy i rzucić się w ich zimne wody. W pierwszych tygodniach małżeństwa rozważała to, ale nie potrafiła wyrzucić takiej krzywdy swojemu ojcu, który razem z nią cierpiał przez to zaaranżowane, fatalne małżeństwo. Ojciec, niegdyś bogaty kupiec, wyjechał z dawnym wspólnikiem w głąb Rosji, w nadziei, że za kilka lat uda mu się odbudować choć część utraconego majątku. Jednak czas mijał, a listy przychodziły coraz rzadziej.

Pewnego dnia przyszedł ostatni, zaadresowany nieznanym charakterem pisma. To wspólnik ojca zawiadamiał o jego śmierci, o tym, że ciało musiało zostać natychmiast pochowane z powodu panującej zarazy, że mu przykro, iż córka nie miała możliwości ani uczestniczyć w pochówku, ani się z ojcem pożegnać. Franciszka została sama. Pograżona w żałobie myślała, że już nigdy się nie

uśmiechnie, że nie ma na świecie takiej rzeczy, która mogłaby zwrócić jej radość. Jednak kiedy przyszła wiosna, zazieleniły się leszczyny, w ogrodzie rozkwitły kwiaty sadzone przez starą Faberową, jakoś lżej zrobiło się na sercu Franciszce.

Chodziła wtedy prawie co dzień do sokołowskiego kościółka, gdzie modliła się za dusze ojca i matki. Czasami prosiła Boga, żeby zabrał od niej męża, a potem przeproszała za te prośby. Mateusz był dla niej dobry, zauważała, że bardzo się starał, aby podobało jej się w nowym domu.

– Jak ci czego brakuje, powiedz tylko, ale wiesz, że to jest najlepsze życie, jakie mogę ci dać, i najlepsze, jakie w tej sytuacji możesz mieć – powiedział kiedyś, a ona rozumiała i choć wiedziała, że mówił to ze szczerego serca, to trochę go za te słowa znienawidziła.

Bo to było tak, jakby nie miała wyjścia, będąc po prostu na jego łasce. Jednak powoli przyzwyczajała się do roli żony, zaczęła nawet doceniać to, że Mateusz był mężczyzną dość przystojnym, silnym i prostolinijnym. Już myślała, że Bóg wysłuchał jej modlitw i zesłał na nią spokój. Coraz częściej zaczęła się budzić w dobrym nastroju, polubiła lekko zdziczały ogród wokół domu, nowe meble, które Mateusz specjalnie dla niej zrobił na wzór tych, które zobaczyła w szunowskim sklepie. Tylko gdy widziała z daleka panienki z dworu, coś ścisnęło jej serce, a lepka czerń zalewała oczy tak, że przez chwilę nie widziała niczego. Mogłabym żyć jak one, myślała wtedy, przyglądając się im, kiedy kłusem przeprowiały się na swoich pięknych koniach przez łąki przy Niemych Stawach.

Zażyczyła sobie konia, a Mateusz przystał na jej prośbę. I to właśnie wtedy, pędząc na grzbiecie Kasztanka przy Maciejowych polach, natrafiła na tego dziwnie wyglądającego mężczyznę, który szedł otoczoną lipami drogą od strony Szunowa. Przystanął, kiedy ją zobaczył, i uśmiechnął się trochę kpiąco. Wyminęła go lekko zawstydzona, sama nie rozumiejąc dlaczego. Jakież było jej zdziwienie, gdy zobaczyła go ponownie, jak wchodzi na ich podwórko, z zaciekawieniem przygląda się nowo postawionej stajni i pobielonym ścianom domu. Z sieni wyszła stara Faberowa i na jego widok się rozplakała.

– Grzegorz! – wykrzyknęła. – Grzegorz wrócił!



Kiedyś młyn mełł nieustannie. Mełł zboże na mąkę, mełł czas, dni, miesiące, lata. Mełł za dnia, a nocami łapał oddech, sapał, odpoczywał. Potem przyszła wojna, ziarna było mniej, a po wojnie młynarz umarł.

Katarzyna została sama z młynem i trójką dzieci, w tym dorosłym już Jasiem. Ten przejął ojcowiznę, ale nie radził sobie tak, jak nieboszczyk Wróbel, poza tym wtedy każdego młodego ciągnęło do miasta. Oprócz młyna zostało im kilka mórg ziemi i z tego głównie żyli, a potem Jasiak znalazł robotę w PGR i młyn zamknięto na cztery spusty. Czasami tylko Katarzyna przychodziła tam i wspominała, jak to w pierwszych latach małżeństwa przesiadywali tutaj, jak przynosiła mężowi i chłopcom od roboty chleb z kiełbasą, twaróg i miód, jak patrzył na nią wdzięczny, że taka dobra z niej gospodyni, że mu wszyscy we wsi jej zazdroszczą.

A potem przestała przychodzić, bo nie mogła już prawie wcale ruszać nogami. Całymi dniami leżała w pokoiku przy kuchni i tylko synowe donosiły jej to herbatę, to budyń, który tak lubiła, albo zmieniały kanały, bo na starość Katarzyna nie odrywała wzroku od telewizora, od niekończących się seriali o ludziach z innego świata.

Najpierw padło jej na nogi, a potem na głowę. Niełatwo było się dogadać z Katarzyną, bo najczęściej nie wiedziała, z kim rozmawia. Zapominała imiona i twarze albo to, że starego Wróbla dawno już nie ma. Bywało, że wpadała w panikę i próbowała zerwać się z łóżka, ale się przewracała, bo nie potrafiła już ustać o własnych siłach.

– Niemcy idą! – krzyczała wtedy. – Ziarno trzeba schować, trzy worki Talarek pod sianem przywiózł! – I pytała: – Gdzież Rychu? Pójdź pod młyn i zagwiźdź, on będzie wiedział!

A synowe tylko dolewały herbaty i uspokajały ją, że ziarno już zmielone i Talarek zapłacił, że pomarańcze przyniósł.

– Chce mama pomarańczę?

I wtedy jej twarz tężała na chwilę, po czym nagle przenosiła się w czasie i już nie było ani wojny, ani Niemców, ani pochowanego przed nimi ziarna do zmielenia. Ciamkała potem tę pomarańczę bezzębnymi dziąsłami, bo proteza ją uwierała i odmawiała jej noszenia.

Katarzyna nie poznawała Florentyny, gdy ta od czasu do czasu zjawiała się z córkami w Krasnej. Dla niej Florentyna pozostała małą dziewczynką, która pałętała się po domu i zadawała głupie pytania. Czasami witała bliźniaczki, ale ich imiona zawsze myliła, chociaż

Jaśminę i Różę łatwo było rozróżnić po tym, jak się ubierały i jakie nosiły fryzury.

– Takie same, a jakie inne – dziwiła się często Florentyna, przyglądając się córkom.

Kiedy bliźniaczki były mniejsze, Katarzyna często zabierała je do siebie. Wtedy Michał, jej pierwszy wnuk, który urodził się z włosami białymi jak śnieg i z takimi samymi brwiami i rzęsami, straszył je duchem ze starego młyna i lipami przy drodze, na których podczas wojny powiesili chłopców z partyzantki. Jaśmina pamiętała to dobrze, bo któregoś razu Róża nie chciała pojechać do Krasnej i wpadła wtedy w straszną histerię, doprowadzając ojca do szału.

Nie powiedziała, dlaczego nie chce jeździć do ciotki Katarzyny, która nie była tak naprawdę ich ciotką, bo była córką Macieja, brata Florentyny. Ale Jaśmina wiedziała. Ona nie bała się opowieści Michała, tym bardziej że domyślała się tego, iż on nie mówi prawdy. Nie było żadnego ducha w młynie. Choć czasami, kiedy wieczorową porą przechadzało się lipową alejką, to przechodziły człowieka po plecach jakieś ciarki.

– Jakby sam diabeł pogiłgotał – mawiała Katarzyna i się żegnała.

Opowiadała dziewczynkom różne historie o Krasnej, ale później, kiedy one dorosły, a ona zdziwaczała i potem zachorowała, w jej gadaniu nie było już wiele sensu. Tym bardziej więc zdziwiła się Jaśmina, kiedy kolejnym razem przy odwiedzinach u rodziny w Krasnej Florentyna wyjęła poźółtkie fotografie i kładąc je na stole, tuż pod nosem Katarzyny, zapytała:

– Pamiętasz je?

Kobieta przybliżyła twarz do blatu stołu, choć przecież mogła wziąć zdjęcia do ręki. Chwilę patrzyła na nie, po czym lekko podniesionym głosem powiedziała:

– Po co je brałaś ze strychu, jak twój ojciec zobaczy, to się może wściec!

– Dlaczego? – Florentyna głęboko odetchnęła. Zrozumiała, że Katarzyna znów przeniosła się w czasie, tym razem do dnia, w którym kiedyś bez pozwolenia weszły na strych przy sprzątnięciu domu przed Wigilią. To była ta Wigilia, podczas której zniknął ojciec Florentyny. – Dlaczego się wścieknie?

– Coś ty, głupia? To pierwsza żona twojego ojca, on o niej nie chce mówić, więc lepiej mu nie przypominaj. A w ogóle nie wolno nam chodzić na strych, wyda się, żeśmy były i szperały!

– Nie wyda się.

– Ja nie chcę mieć z tym nic wspólnego, zanieś je na strych, zanim ktoś zobaczy!

W drodze powrotnej, kiedy już zmierzchało i długie cienie kładły się na drodze, wszyscy milczeli. Milczała Florentyna, zamyślona i smutna. Milczała Jaśmina, ciekawa tego, co może pamiętać stara Katarzyna, i milczała Róża, zmartwiona całkiem już ogłupiałą ciotką. Tylko Hania i Malwa szeptały coś między sobą.



Jaśmina wyśniła wielką, straszną wodę i kilka dni po tym śnie w radiu usłyszano pierwsze ostrzeżenia. Komunikaty o ulewnych deszczach i podtopieniach dotyczyły wprawdzie południowo-zachodnich terenów kraju, jednak Jaśmina kiwała głową, słysząc głos spikera.

– Nam do Odry nie tak daleko, powinniśmy się przygotować.

– Nic nam nie grozi. Nie ma się czego bać – odpowiadał jej Mikołaj, podobnie jak Siemił i Róża, a nawet sołtys Miśta i komendant Filipowicz, do którego udała się zatroskana.

W Sokołowie wiedzieli, że Jaśmina miewa te dziwne sny. Sny, w których widzi przyszłość, jednak ludzie nie zawsze brali je na poważnie. Bo przecież i w Centrum Zarządzania Kryzysowego, i w Instytucie Meteorologii i Gospodarki Wodnej uspokajano, że nawet jeśli spadną obfite deszcze, to powiat szunowski pozostanie bezpieczny.

Kiedy przyszły pierwsze ulewy, ludzie się trochę zaniepokoiili, ale sołtys Miśta ucinał niedorzeczne gadanie.

– Gdyby było źle, to wojewoda kazałby otworzyć tamy za Lipną – mówił. – A że nie kazał, to znaczy, że nie ma się czego obawiać.

W lesie tymczasem coraz częściej słyszano dziewczęcy śpiew i coraz więcej ludzi wierzyło, że to duch Marysi Miśtówny. Coś się porobiło z sołtysiem, chyba przez to, że w ogóle nie spał, tylko nocami wysiadywał przed domem. Palił i czekał. Cekał na Marysię, na jakieś wieści, dobre lub złe. Już miał dość niepewności. U Grzebieluchy bywał, owszem, i już nawet nie wstydził się tego, że go ktoś u niej na okadzaniu może zobaczyć.



Franciszek Kukła mówił do swoich gołębi, bo tylko one go słuchały, białe i czarne gołębie krótkodziobe, białki i mewki. Wieczorami siadał pod gołębnikiem i opowiadał. Mówił o tym, o czym nikt nie chciał słuchać: o pianinie, które widział jako chłopiec w szunowskim sklepie, ale było zbyt drogie, żeby ojciec mógł mu je kupić. O lekcjach muzyki, na których nauczycielka biła go po palcach, kiedy wygrywał fałszywe nuty. O tym, jak bardzo chciał jej wtedy oddać, jak wieczorami marzył o różnych złych rzeczach, które mógłby jej zrobić za to wszystko, co spotykało go z jej strony.

Bo Franciszek Kukła był dziwnym dzieckiem, nawet w jego rodzinnym domu traktowano go jak odszczepieńca, choć oczywiście nikt by się do tego nie przyznał. Babka Olga Kukłowa była sroga, trzymała dom twardą ręką, a dla małego Franciszka miała srogość szczególną. Bo Franciszek był inny niż dwóch starszych braci, inny niż reszta chłopców, których znała, i wymagał specyficznej surowości.

Ojciec był, ale jakby go nie było. Kiedy matka Franciszka zmarła w połogu, to tak, jakby zniknął. Przewijał się wprawdzie tu i ówdzie, niby siadał czasem przy stole, niby wychodził na pole, wracał zmęczony, niby był, ale naprawdę go nie było. Babka załamywała ręce, płakała, potem krzyczała, a na samym końcu nawet biła pięściami otępiatego syna, ale nic to nie dawało. Jak grochem o ścianę.

Potem ojciec zaczął wracać do domu pijany, nawet nie jadł, od razu kładł się do łóżka, zasypiał i spał tak aż do rana, śniąc smutne sny. Najchętniej wcale by się nie budził, nie wstawał, ale sam bał się trochę babki Olgi, która strzelała wokół spojrzeniami pełnymi burzy i piorunów.

Na najmłodszego syna nie mógł patrzeć, za bardzo przypominał mu o zmarłej żonie, udawał więc, że go nie ma, nie przyjmował do wiadomości jego istnienia. Franciszek rósł więc sam sobie, trochę zapomniany przez wszystkich. Dopiero gdy skończył siedem lat, w domu zauważono, że jest, że jest osobny, że nie stanowi tylko przedłużenia rodziny, jest prawdziwym odrębnym bytem. Ale wtedy było już za późno, żeby coś z nim zrobić, bo jak zauważył najstarszy z braci, było z niego straszne dziwadło.

– Jak ojciec dupy pasem nie złoł, to co z ciebie wyrośnie? – biadoliła babka. – Ręki męskiej nad sobą nie masz, dlategoś taki, takie nie wiadomo co.

Bo Franciszek jako mały chłopiec odmawiał noszenia spodni po starszych braciach, a raz poprosił babkę o spódnicę, taką samą, jak

ona nosiła, albo jeszcze lepiej – bardziej kolorową. Babka Kukłowa najpierw zaniemówiła, ale potem wpadła w taką furję, że mały Franciszek już nigdy więcej nie śmiał wspominać ani o spódnicach, ani o pstrokatych chustach, które tak mu się podobały. Wtedy po raz pierwszy usłyszał o piekle, nie takim zwykłym, gdzie diabły gotują ludzi w smole, ale takim specjalnym, dla odmieńców, od których babka Kukłowa zaczęła mu wymyślać.

– Małe toto, a już tyle w nim grzechu – mówiła z pogardą. – Ja widzę, o czym myślisz, bezwstydniku.

Franciszek milczał zatroskany, bo wtedy nie myślał o zbyt wielu rzeczach, miał dopiero siedem lat i zbyt małą głowę, żeby pomieścić w niej myśli, o których mówiła babka Olga. Bał się tego spojrzenia, które najwyraźniej potrafiło czytać w jego głowie, próbował więc myśleć o czymś innym niż dotychczas, skoro babka twierdziła, że jego myśli są złe. A najczęściej myślał po prostu o ładnych rzeczach. Albo o muzyce, którą słyszał w kościele lub na odpuście. Najbardziej lubił ładne rzeczy oraz muzykę i tak już zostało.

Starsi bracia śmiali się z Franciszka, bo w przeciwieństwie do nich był cherlawy i mało urodziwy. Dopiero gdy skończył piętnasty rok życia, wystrzelił w górę i wtedy przerastał o głowę prawie wszystkich w szkole. Ale nadal był bardzo chudy niezdrową chudością, niemal nienaturalną. Kiedy popatrzyło się na niego, to jakiś lęk człowieka brał. Tym bardziej że wraz z ciałem rosło w nim coś strasznego, ciemnego. Coś, co czasami można zauważyć na dnie spojrzenia. Jakaś druga dusza, czarna i smutna. Być może była to ta prawdziwa dusza lubiąca ładne rzeczy, stłamszona przez babkę i braci, wyśmiana przez świat. Dusza, którą chłopiec musiał ukryć głęboko w sobie.

Franciszek dorastał więc z dwiema duszami, ale ta nowa tłamsiła go, uwierała jak zbyt ciasna koszula. I wciąż się bał, że ta druga dusza w nim jest, że żywi się jego grzechami, których miał w sobie tak wiele. Nocami śnił o piekle z babcynych opowieści. A babka o piekle mówiła cały czas:

– Tam o, jak popatrzysz w górę, Droga Mleczna się rozwidła. Jedna część do nieba prosto, druga zawraca do piekła, do głębi, tam gdzie czarno. Będę patrzeć na ciebie z góry, cholero, jak cię diabły będą żywym ogniem przypalać.

Choć wydawać się mogło, że Franciszek, dorastając, zmężniał, to nadal wyglądał, jakby mógł się łatwo połamać, i nawet już w dorosłym życiu, kiedy został organistą w sokołowskim kościele, dziwnie się

patrzyło na niego wchodzącego po schodach na chór, zgarbionego, pochylonego. Tylko te ręce wisały mu po bokach, długie, nieruchome, jakby doczepione.

Grał pięknie, ale kiedy zaczynał śpiewać, to ludzie czasem się wzdrygali, bo jego niski, świdrujący głos miał w sobie coś zwierzęcego. Ale przyzwyczaili się do Kukły i ten już ósmy rok przyjeżdżał z Lipnej na rowerze pod sokołowski kościółek. Zimą podwozili go ludzie, bo przez Lipną nie jeździł żaden autobus. Czasami nawet sołtys przyjeżdżał po niego na prośbę księdza swoim polonezem.

Podczas podróży Kukła mało się odzywał. Sołtys musiał zagadywać, pytać go o różne rzeczy, bo dziwnie mu się tak jechało w milczeniu. Ale po którymś razie przestał rozmawiać, bo bywało i tak, że kiedy Kukła wreszcie zaczynał o czymś mówić, to mówił takie rzeczy, że nie wiadomo było, czy śmiać się, czy płakać. Opowiadał pewnego razu na przykład o tym, że lubi zbierać różne dziwy i ma pokaźną kolekcję obciętych paznokci, które trzyma w słoikach, oraz wszystkie swoje zęby, które wypadły mu od czasów, kiedy był dzieckiem.

Ale to nie wszystko, bo organista poza tym zbierał kości do gry, ptasie pióra, papierki po gumach do żucia i pudełka od zapalek, a także znalezione w lesie poroża.

– To imponujące hobby, panie Kukła – stwierdził sołtys, a organista się rozpromieniał i opowiadał dalej o innych zainteresowaniach i pasjach. Mówił tak, jakby nigdy wcześniej nikt go nie słuchał.

– Zbieram też rozmowy – powiedział wtedy, a sołtys zdziwił się i zapytał:

– Jak to, zbiera pan rozmowy, a czy to da się tak zbierać rozmowy?

– A ow-ow-szem. Da się – odparł, prawie wcale się nie jękając. – Gdy zdarzy mi się interesująca rozmowa, zapisuję ją słowo-słowo w słowo i czasami czytam sobie, kiedy... wie pan, kiedy siedzę sam, a akurat porozmawiałoby się z kimś.

Sołtys się uśmiechnął i pokiwał głową. Nie patrzył wtedy na Kukłę, bo poczuł się dziwnie zażenowany, poza tym zrobiło mu się szkoda mężczyzny.

– Dziwak, bo dziwak, ale też człowiek – mówił potem do księdza, który trochę się skarżył na swojego organistę.

Że za długo po mszy zostaje, że krzyczy na dziewczynki z chóru, kiedy zapominają słów, że się kręci po kościele, jakby ten do niego należał.

– A czy kościół nie należy do nas wszystkich? – zapytał wtedy sołtys, a ksiądz przytaknął, machnął ręką i zaprosił sołtysa na plebanię, gdzie wypili po kieliszku lawendowej nalewki od Florentyny Dziubowej.

– Prezent od pani Róży – pochwalił się ksiądz. – Przyniosła któregoś dnia, że ponoć każdy we wsi już próbował, tylko nie ja.

W tej chwili wyglądali tak samo jak przed laty ksiądz Strąk i Mogiłek popijający różane wino. Sołtys wzdychał, ale z każdym łykiem lżej mu się robiło na duszy. Ksiądz mówił zbyt dużo, chaotycznie, po trzecim kieliszku trochę plątał mu się język.

– Panie sołtysie, albo my to wiemy, dlaczego Bóg zsyła na nas cierpienie? Może jest w tym jakaś nauka, lekcja dla nas?

– Też mi nauka! – prychnął sołtys i wychylił jednym haustem zawartość kieliszka.

– Może w tym wszystkim chodzi nie o to, co nam się przytrafia, ale jak na to reagujemy? – Ksiądz nalał po kolejnym kieliszku.

– Że jak?

– No bo widzi pan. – Ksiądz wyprostował się na krześle. – Nie mamy wpływu na to, co nas spotyka, ale mamy wpływ na to, jak do tego podchodzimy. Pan żyje teraz w ogromnym bólu, ale mimo wszystko nie wyrzekł się pan życia.

– Jestem potrzebny. – Sołtys wzruszył ramionami. – Córkom, wnukom... Ludziom we wsi.

– No właśnie – potwierdził ksiądz z uśmiechem i skinął głową w kierunku butelki. – Rzeczywiście, wyśmienita ta nalewka.



Mijały dni i tygodnie, a życie w Sokołowie płynęło tak, jak zawsze płynie życie w takich miejscach. Słońce wisało coraz wyżej i dni się wydłużyły.

Siemił przesiadywał na stryszku lub w ogrodzie, znów wypatrując komety Hale'a-Boppa, która pojawiła się w maju i miała być widoczna nawet gołym okiem przez następne miesiące.

Pod koniec czerwca wieczory zrobiły się gorące i parne. Ksiądz raczył się lawendową nalewką, już drugą butelką, bo tak mu posmakowała. Sołtys nurzał się w smutku po utracie córki, a Jaśmina śniła sny o wodzie i o studni, a także myślała o Franciszce ze starych

fotografii. Franciszek Kukła słuchał gruchania gołębi i zdarzało mu się nieraz zasnąć pod gołębnikiem.

Wrócili archeolodzy, ale już niczego nie udało im się wykopać spod pałacowej ziemi. Chodzili teraz po lasach, wchodzili do jaskiń i rozmawiali między sobą o tylko im wiadomych rzeczach. Podobno odkryty pradawny kult był nie byle czym, podobno mieli zamiar badać więcej, choć już nie było nic do badania.

Nawet wtedy, gdy przypadkiem któryś z nich wszedł z ciekawości do kościoła i zobaczył tam sokołowską Zielną Maryjkę. Spływające falami długie włosy i coś w układzie twarzy od razu skojarzyło mu się z wykopaną figurką, z innymi wizerunkami tej samej pogańskiej bogini, o której właściwie historia nic nie wiedziała. Młody archeolog pytał księdza Sabaczyńskiego o pochodzenie ołtarza, ale daremnie.

– Ja tu od niedawna jestem. Kogo innego musi pan pytać.

Ale w Sokołowie nie było już nikogo, kto by cokolwiek pamiętał, bo małowidło zlecił ksiądz opiekujący się parafią jeszcze za czasów Królestwa Polskiego. Kiedyś ludzie mówili o tym więcej, ale wiadomo, że takie ludzkie gadanie przeżywa ludzi nie na długo. Mijał czas, zmieniały się pory roku, ludzie rodzili się i umierali, zmieniali się księża w sokołowskim kościele, wybuchały i gasły wojny. Legendy umierają tak jak ludzie, a ta o księdzu zauroczonym leśną rusałką umarła już dawno. Może tylko Grzebielucha pamiętała jej skrawki z bajania swojej babki, która podobno była najprawdziwszą szeptuchą.



W Czarnym Lesie często rozbrzmiewał śpiew Marysi, i choć na początku mało kto dawał temu wiarę, to z czasem coraz więcej ludzi przyznawało, że naprawdę słyszeli dziewczęcy głos dobiegający gdzieś z głębi lasu, spomiędzy drzew, z wysoka.

– Więc to na pewno dusza biednej nieboszczki – przyznała z płaczem stara Minclowa, która usłyszała śpiew, kiedy po raz pierwszy tego roku zbierała poziomki.

Słyszeli go też Tatarek, Rosiakowa, młody Noszczyk, Juchowe dzieciaki, które zarzekały się, że nie kłamią. Słyszał nawet sam ksiądz proboszcz. Od tego czasu ludzie zaczęli się trochę obawiać lasu. Bo nawet jeśli Marysia była dziewczyną o gołębim sercu, to wiadomo, że po niegodnej śmierci – a to musiała być zła śmierć,

szeptaly starowinki, bardzo zła – dusza tutaj została i błąka się między drzewami.

Różnie może być z tą duszą. Bo dusze mogą się przemienić w upiory, nawki, rusałki i wąpierze. Mogą zamieszkać w korzeniach starych drzew albo przybrać postać sowy lub wilka. Mogą się stać leśną mgłą i unosić się leniwie nad mchami, oplatać ludzkie stopy, dusić małe zwierzęta. Mogą też się skropić jak brudna woda, a wtedy są i mgłą, i deszczem, i gradem, i śniegiem.

Mogą w mżawce przypląć nad dachy domów i wdzierać się do środka przez kominy, mogą namalować coś mrozem na okiennych szybach, osiąść szadzią na gałęziach, roślinach, rzęsach. Czasami takie dusze unoszą się z wiatrem, wtedy są niezauważalne, bo nie można ich ani zobaczyć, ani dotknąć. Można jedynie poczuć ich chłód, kiedy wejdą pod koszulę, dotkną skóry. To tylko powietrze, a jakby trupia ręka dotykała.

Minęło tyle miesięcy, a po Marysi nie było śladu. Tylko ta sukienka na świętej figurze. I śpiew między drzewami Czarnego Lasu. Sołtys zaczął się nawet modlić o to, aby się okazało, że córka uciekła. Niechby nawet z tym przeklętym Maślanką, myślał. Choćby z nim! Że poszła w świat, tak jak kiedyś jej matka!

Powoli zaczął tracić nadzieję na odnalezienie Marysi. Siedział teraz przed domem, kurząc papierosa za papierosem, a na jego twarzy malował się spokój. Spokój smutny, bolesny, jaki przychodzi do ludzi, kiedy wiedzą, że już nic od nich nie zależy.



Ciotka Katarzyna wypła dwa kubki kawy, zjadła trzy kawałki ciasta i zaczęła mówić. Chyba jej się wydawało, że rozmawia z kimś innym, że naprzeciw niej siedzi nie Jaśmina, lecz jakaś zupełnie inna osoba. Kto? Być może myślała, że rozmawia z młodszą Florentyną, bo do Florentyny, która siedziała tuż obok, zwróciła się „babciu”, więc zapewne wzięła ją za Jodełkę. A potem patrzyła, jakby w ogóle ich nie знаła. Patrzyła przez nie, jej wzrok sięgał dalej, poprzez ich ciała, poprzez ścianę domu, stary młyn, niekoszone łąki za nim. Poprzez czas.

– Stara Juchowa wszystko wiedziała. – Katarzyna zniżyła głos, teraz mówiła tak cicho, że trzeba było się nachylać, żeby cokolwiek usłyszeć. – Podśluchałam, jak rozmawiała z tatkiem i on ją prosił, by

nic nikomu nie mówiła, że już tyle lat minęło, a poza tym stary Juch mu wtedy pomagał. „Ani mi to w głowie, Macieju, kara przyjdzie. Pan Bóg nierychliwy, ale sprawiedliwy!” Tak powiedziała, pamiętam. Powiedziała jeszcze, że była tutaj, gdy to się wydarzyło.

– Kiedy co się wydarzyło? – zapytała Florentyna, a Jaśmina wstrzymała oddech.

– No kiedy Grzegorz chciał uciec z Franciszką, ale ta mała im się schowała, wybiegła z domu i się zgubiła, a w dziadka Mateusza wtedy wstąpił diabeł.

– Co się stało? – Florentyna oddychała płytko i szybko. Przed oczami miała obrazy ze starych fotografii, te obce twarze oraz twarz ojca, która też była obca, bo przecież mało go pamiętała. – Co się stało, co mówiła Juchowa? – Florentyna przypomniała sobie starą Juchową, która zmarła przed wielu laty.

– No... – Katarzyna zamrugnęła szybko. – Była Wigilia, mróz ściął wszystko, kolędnicy akurat chodzili po wsi. Mateusz znalazł ślady w śniegu i poszedł za nimi. – Katarzyna cmoknęła, zapatrzyła się gdzieś daleko, w myślach przesunęła się do czasu, kiedy siedziała skulona przy piwnicznych drzwiach, podsłuchując, jak ojciec rozmawia ze starą sąsiadką. – Tak. Strasznie wtedy powariował dziadek Mateusz, twój ojciec.

– Co się stało z Grzegorzem? I z dzieckiem?

– Z jakim dzieckiem? – Katarzyna zmarszczyła brwi, patrząc na Florentynę. – Haneczko, mamy jeszcze ciasto? Podałabyś, tak mi się jakoś słabo zrobiło, cukier mi spadł.

– Zjadła mama trzy kawałki! – dobiegł z kuchni głos synowej. – Herbaty mogę dorobić.

– A co mi po herbacie! – Katarzyna pokręciła głową i zwróciła się do Florentyny i Jaśminy. – Widzicie, we własnym domu ciasta zjeść nie dają.

– Ciociu, mówiłaś coś o Franciszce... Pamiętasz? – zapytała Jaśmina.

– Franciszce? Jakiej Franciszce?

– Od mojego ojca. – Florentyna spojrzała w oczy Katarzyny, które znów zaczynały patrzeć gdzie indziej, jakby zwróciły się w głąb, wewnątrz człowieka, tam gdzie drzemie cała pamięć.

– Florciu, nie zajmuj się tym, bo twój tatko nie będzie zadowolony. – Katarzyna pogroziła palcem. – I nie chodź więcej sama na strych, dobrze?

Tego dnia Katarzyna nie powiedziała już nic więcej, ale to wystarczyło, żeby tajemnica z przeszłości nagle nabrała innych kolorów, żeby napuchła czernią, dymem, pajęczynami, zgnilizną i czerwiemi toczącymi martwe ciała. Florentyna po tej wizycie zmarkotniała, często teraz przesiadywała w samotności. Jaśmina i Róża patrzyły na nią zatroskane, nigdy wcześniej nie widziały jej takiej. Chodziła po ogrodzie ze spuszczoną głową, przyglądała się płotowi coraz bardziej kładącemu się ku ziemi, jakby ciężar czasu go przygniatał.

Siadywała w trawie, tam gdzie kiedyś była studnia, a wieczorami w miejscu, w którym siedziała, wyrastały nowe pędy niezapominajek.

– Coś albo ktoś nie chce dać o sobie zapomnieć – powiedziała w końcu do siebie, zabrała zdjęcia oraz dokumenty i zawołała Jaśminę.

Czasami, żeby zajrzeć w przeszłość, potrzebne są daty i fakty, nie tylko sny.



W domu trwała krzątanina, Florentyna dawno nie była nigdzie poza Sokołowem, a teraz Jaśmina miała zawieźć ją do szunowskiego urzędu. Właśnie wtedy, zanim jeszcze wyszła z domu, Jaśmina zobaczyła przez okno, jak przy starym domu Nadziei krząta się jakaś postać. Wychyliła się, żeby się lepiej przyjrzeć, i aż zamarła. Pod płotem stała Marysia Miśtówna. Jaśmina krzyknęła, tak głośno, że wystraszyła małego Wojtka, który zaczął płakać. Mikołaj już nie spał, ubierał się, ale kiedy usłyszał głos żony, przybiegł do wspólnej sypialni.

– Co się stało? – zapytał.

– Popatrz! Znalazła się!

Odrzuciła Mikołaja i zbiegła po schodach, budząc cały dom. Wyszli za nią do ogrodu i patrzyli, jak zdeorientowana biega między jabłoniąmi, jak przystaje przy warzywniku, jak podchodzi pod płot i dopiero tam zaczyna machać rękami i krzyczeć.

– Kogo wołasz? – Róża stanęła za siostrą, jej brwi były ściągnięte, twarz poważna.

– O, tam jest! – Jaśmina siłowała się z zamknięciem furki, które nie chciało ustąpić. – No, Marysia! – Wskazała głową na udeptaną drogę, która prowadziła od Maciejowych pól aż do Czarnego Lasu.

Akurat kwitły jeżynowe krzewy i leszczyny, nieco w tym roku spóźnione. Droga była skąpana w świetle, choć słońce dopiero wspinało się po niebie. Pod butami szeleścił piasek. Na drodze nie było nikogo. Jaśmina stała odwrócona, bez ruchu. Róża położyła jej rękę na ramieniu, ścisnęła lekko. Skóra siostry była szorstka i chłodna, lekko zaczerwieniona jakby od jakiegoś uczulenia.

– Jaśka, tam nikogo nie ma – powiedziała. – Chodź, zrobię ci kawy.

Ręce Jaśminy się trzęsły, gdy podnosiła do ust filiżankę. Siedziała milcząca, trochę zawstydzona, czekając na to, co powiedzą Róża, Florentyna, Siemił i Mikołaj. Czuła się brudna pod ich spojrzeniami, brudna i winna, jakby zrobiła coś złego, ale przecież ona w niczym nie zawiniła.

– Naprawdę wydawało mi się, że ją widzę. Może tam była, tylko szybko uciekła? Pójdziemy poszukać? Może schowała się w krzakach przy drodze? – odezwała się pierwsza, nie mogąc znieść skierowanych na nią spojrzeń pełnych troski.

– Nie. Nie było jej tam. Nie ma jej od miesięcy, całą zimę jej nie było. To niemożliwe, żeby się ukrywała lesie. Żeby przeżyła na zewnątrz przy tych mrozach. – Róża siedziała obok, dotykała jej pleców. – To nie pierwszy raz, kiedy coś widziałas, prawda?

– Sama nie wiem... – Jaśmina opuściła głowę.

– To przez te leki, mówiłem ci już tyle razy! – Mikołaj siedział po drugiej stronie stołu obok Siemiła. – Nie możesz ich brać.

Mikołaj otworzył szufladę w nocnej szafce żony i przeraził się na widok kilkunastu kartoników i porzrzucanych po dnie szuflady maleńkich pigułek. Wyglądały tak niewinnie, jak maleńkie cukierki, jednak ich nazwy wcale nie kojarzyły się z landrynkami. Alprazolam. Zolpidem. Nitrazepam. Relanium.

– I to wszystko przepisał ci ten lekarz? – Mikołaj pokręcił głową. – Sprawdzał chociaż, jak to na ciebie działa?

Jaśmina tylko wzruszyła ramionami. Jeszcze tego samego dnia pojechali do prywatnej przychodni po poradę do innego lekarza. Ten polecił stopniowo odstawiać leki. Na drzwiach Czarodoro wywiesili informację, że sklep pozostanie zamknięty do przyszłego tygodnia.

– Popatrz, co się z tobą dzieje! Musisz odpocząć, doprowadzić się do porządku. – Jeszcze nigdy nie słyszała, żeby Mikołaj był tak stanowczy. Nie podobało jej się to, ta surowość, prawie całkiem obrana z troski. – Niedługo znowu wyjeżdżamy z Piotrem, nie możesz biegać za zjawami. Masz dziecko. I tak Róża wychowuje je bardziej niż ty – dodał na koniec i chyba od razu pożałował, bo

podszedł do żony i pocałował ją w czoło. – Przepraszam – powiedział. – Wiem, że ciężko pracujesz, masz sklep na głowie.

Zabolało. Odwróciła się i postarała się nie rozplakać.

Została w aucie, kiedy Mikołaj wysadzał Florentynę pod urzędem. Poszli razem, a ona patrzyła na zakurzoną szunowską ulicę, brudne szyby w sklepowych witrynach, porozstawiane na chodnikach kosze świeżych warzyw i owoców sezonowych. O, są truskawki, ucieszyła się i wysiadła z samochodu. Kupiła dwie kbiałki, żeby starczyło dla wszystkich, może potem upiecze ciasto z bezą, chociaż raz wyręczy w tym Różę. Po urodzeniu Wojtka Róża zdecydowała, że zajmie się domem, a Jaśmina przejęła sklep. To był ich układ, dobry, sprawdzał się.

Nie mogła zasnąć tej nocy. Kiedy usłyszała pochrapywanie Mikołaja, otworzyła szufladę w nadziei, że znajdzie tam jakąś zagubioną w szczelinie pigułkę, jednak mąż wszystko wyczyścił. Wydzielał jej teraz po jednej pigułce wieczorem, dokładnie według zaleceń lekarza. Dopiła wystygłe już zioła zaparzone przez Florentynę, ale wciąż miała w sobie jakiś niepokój. Brak leków zażywanych od miesięcy i do tego te dokumenty z urzędu, na które czekała z rozbudzoną ciekawością. Urzędniczka chciała zbyć Florentynę, jednak dobry przyjaciel Mikołaja pracował w urzędzie, więc obiecał, że poszuka w dokumentach informacji na temat ich rodziny. Powiedział, że odezwie się jeszcze przed końcem tygodnia, bo w archiwach jest bałagan, dopiero wprowadzają cyfryzację.

– Na pewno jest gdzieś księga wieczysta, ale co w ogóle chcecie sprawdzić? – zapytał, wyjmując notatnik i długopis.

– Wszystko, co pan znajdzie – odezwała się Florentyna. – O domu i wcześniejszych właścicielach. Sokołów sześćdziesiąt dziewięć. Mateusz Faber, Maria Faber, Grzegorz Faber i Franciszka Faber. I Rozalia – dodała na koniec ciszej, jakby bojąc się głośno wypowiadać to imię.

– Faber? – upewnił się mężczyzna.

– To moje panięńskie nazwisko – wyjaśniła Florentyna. – I mój dom.

Kiedy wszyscy już spali i wydawało się, że cały dom trzeszczy, pochrapuje, Jaśmina usiadła przy kuchennym stole, oparła łokcie na blacie i podparła brodę dłońmi. Potem ukroiła kawałek truskawkowego ciasta, naląła do kieliszka matczynej lawendowej nalewki i cichutko włączyła radio. Z głośnika popłynęła znajoma melodia – to grała Mała Luna.

Na zewnątrz niebo iskrzyło się od gwiazd, coś obijało się o okienną szybę. Jaśmina nie wstała, żeby to sprawdzić, bo wiedziała, że zobaczy albo Nadzieję, albo Miśtównę i że żadna z nich nie może być prawdziwa. Tej nocy znów śniła o duchach.

Sen o Franciszce

Dom był tym samym domem, a jednak wydawał się zupełnie innym miejscem; ten sam korytarz, schody na piętro, kuchnia i piec, jednak tutaj ściany były bielsze i wisały na nich obrazki ze świętymi. Ogród też był tym samym ogrodem, choć nie był niebieski, lecz całkiem zwyczajny, ot, czerwone malwy przy płocie, puszyste piwonie, aksamitki, dalej młode jabłonie i grusze rosnące w wysokiej, dawno niekoszonej trawie. Z drugiej strony platany i orzechy włoskie, a wszędzie bujna trawa, dymnica i bodziszek.

Płot stał prosto i miał kolor świeżo ciosanego drewna, tak samo jak okiennice, ściany warsztatu i niewielka stajnia. Od frontu – od furki aż po drzwi do domu – ciągnęła się usypana z małych kamyczków ścieżynka, w rogu przy płocie widniała studnia. Dalej kilka metrów trawy i płot oddzielający ogród od ogrodu sąsiadów. Za płotem biegła bita droga, a po obu jej stronach rosło zielsko. Gdy patrzyło się w prawą stronę, ciągnęła się w nieskończoność, tylko ona, ta droga, i wysokie lipy po obu jej brzegach. Gdy patrzyło się w lewą stronę, droga niknęła między innymi domami posadowionymi niezbyt gęsto, żeby sąsiad sąsiadowi nie mógł zaglądać do okien.

W oddali widać było wieżę kościoła, nie za wysoką, niezbyt strzelistą, skromną. Za nią, jeszcze dalej w tle, majaczył horyzont starego lasu, a za nim wzgórza, do których jednak było bardzo daleko. W przeciwnym kierunku droga prowadziła do dolnej części wsi, za którą rozciągał się inny las, trochę dziksz i mniej przystępny dla człowieka. Gdyby skręcić przed lasem dróżką prowadzącą nieco pod górę, można by dojść do cmentarzyka. Zbacząc z tej dróżki, doszłoby się do stawów i pałacu.

Jaśmina wiedziała, że jest w Sokołowie, jednak był to zupełnie inny Sokołów niż ten, który znała. Nie był to jej Sokołów, należał do kogoś, kto był tu dużo wcześniej niż ona. Patrzyła na wszystko z nieznanego sobie dotąd perspektywy i początkowo nie potrafiła zrozumieć dlaczego, dopiero po chwili dotarło do niej, że nie jest sobą, że widzi wszystko oczami, które nie należą do niej. Biegała między domem

i ogrodem, jednak nie kontrolowała ani swoich ruchów, ani słów, ani nawet wszystkich myśli. Była jak niemy świadek uwięziony w czyjejs g łowie.

W domu w fotelu siedziała piękna pani. Podeszła do niej i się przytuliła. Pani spojrzała na Jaśminę smutnymi oczami i kazała jej iść się pobawić do ogrodu. Poszła więc. Siedziała tam całymi godzinami, bawiła się z kotami, kurami, kaczkami, a nawet ze ślimakami. Nie miała innych przyjaciół, piękna pani zabraniała jej się bawić z dziećmi, które czasami stawały za płotem. Mówiła, że są brudne i może przynieść od nich wszy. A ona była bardzo ciekawa tych wszy, zastanawiała się, czy z nimi też mogłaby się bawić.

Pewnego więc razu zawołała stojącego po drugiej stronie płotu chłopca i zapytała go, czy ma wszy.

– No, mam – odpowiedział. – Wszyscy mają.

Ale ona nie miała, nie wiedziała nawet, jak one tak naprawdę wyglądają. Wyobrażała sobie, że na swoich robaczych ciałkach mają maleńkie kocie pyszczki. Przyglądała się innym dzieciom i trochę zazdrościła im tego, że mogą się bawić, z kim chcą, no i tych wszy. Nie wolno jej było się zbliżać do warsztatu, do miejsca niebezpiecznego dla małych dziewczynek. Dlatego patrzyła z daleka, jak ojciec się krząta, nosi drewno, wychodzi na papierosa. Stryj Grzegorz pomagał mu teraz, ale wcześniej byli tylko ojciec i młody chłopak Antoś. Czasami popołudniami przyjeżdżał ktoś z miasta po gotowy mebel.

Meble od Fabera były takie same jak te, które można było kupić w szunowskim sklepie, a jednak sporo tańsze. To dlatego ojciec miał tyle roboty, że siedział w warsztacie od rana do wieczora. Piękna pani, matka, nudziła się wtedy. Dziadkowie umarli nie tak dawno, jedno po drugim, choć ledwie ich pamiętała, i teraz dom wydawał się bardzo pusty. Tylko ich trójka i stryj, który wrócił z wojny i tułaczki. Ojciec kpił trochę z jego opowieści:

– Co, z Turkami walczyłeś? I coś wywalczył?

Jednak Franciszka lubiła słuchać jego historii o żołnierzach z Królestwa Polskiego, o dzikiej Rosji, o dziwach, które widział w dalekich krainach.

– Wprawdzie myśmy walczyli po jednej stronie, ale musieliśmy się mieć na baczności, bo taki Rosjanin to jak zwierzę, nie wiadomo, co takiemu do łba strzeli – opowiadał. – Choć nawet nie jak zwierzę, bo zwierzę nie bywa ani złośliwe, ani pijane.

Franciszka ożywiła się w tych dniach, a Mateusz udawał, że nie zauważa, jak patrzy na Grzegorza wzrokiem, jakim nigdy nie patrzyła na męża.

Przeszłość Sokołowa przesączała się do snów Jaśminy z każdym snem coraz bardziej, zupełnie jakby jej świadomość z nocy na noc przepuszczała coraz więcej tego świata. Może mój umysł jest dziurawy? – zastanawiała się. Może ma tyle dziur, że przeciekają przez niego myśli i wspomnienia innych ludzi? Bo one cały czas tu są, wiedziała to – są w tej ziemi, w drewnie kilkusetletnich drzew, w splątanej pamięci grzybni, w zastałym powietrzu niewietrzonych strychów i komórek, w mysich dziurach, w polnych kamieniach, w dźwięku kościelnego dzwonu, w korzeniach roślin, w odradzających się corocznie owocach, w kolorze oczu dziedzicznym po ludziach, których nawet nie znaliśmy.

Jaśmina w snach widziała wszystko, nawet myśli ówczesnych ludzi, tych, którzy chodzili tymi samymi drogami, kiedy jej jeszcze nie było. Czytała w nich, w tych myślach, w tych twarzach. Widziała wyraźnie twarz Franciszki, Mateusza i Grzegorza, jedynie twarz Rozalii pozostała tajemnicą, bo we śnie była nią, nie mogła więc widzieć samej siebie. Ale widziała przecież jej fotografię, choć na niej dziewczynka miała zaledwie jakieś cztery latka. We śnie wydawało się, że jest nieco starsza.

– Czy ty chcesz mi coś pokazać? – zastanawiała się głośno, a coś wewnątrz niej mówiło, że tak, że to właśnie ta dziewczynka z przeszłości odnalazła jakoś drogę do jej snów, chcąc coś powiedzieć.

A może odnalazła ją dzięki Nadziei, która prowadziła śniącą Jaśminę między mury starego domu? Między mury, w których ktoś schował tę tajemnicę sprzed lat?



Na początku lipca wezbrały wody w rzece za łąkami i w Niemych Stawach. W Krasnej rzeka wystąpiła z brzegów i podmyła młyn. Z radia dobiegały komunikaty o wielkiej wodzie, która zalała południowo-zachodnią część Polski. Ludzie w Sokołowie z przerażeniem oglądali transmisje z zatopionych miast, czekając, kiedy woda zjawi się i u nich.

Wprawdzie Sokołów nie leżał na południowym zachodzie, ale nie znajdował się znowu tak daleko, żeby się całkiem nie bać. Grzebielucha każdego ranka stawała nad płynącym nieopodal jej chałupy strumykiem, przyglądając mu się w napięciu.

– Wody się boicie? – zagadał zbliżający się od strony drogi Franciszek Kukła.

– Tylko głupi się wody nie boi – odparła Grzebielucha i wyciągnęła naznaczony w kilku miejscach patyk. – O, wczoraj mniej jakby było, teraz już tu sięga, do tej kreseczki. Odczyniać przyszedł? – Odwróciła się do mężczyzny.

– Tak, babko. Wodę święconą mam. – Kukła poprawił zsuwające się z nosa okulary. – M-m-miód też przyniosłem, od Budzyniowej.

– A, dobrze, dobrze, Budzyniowa ma najlepszy, lipowy.

Franciszek Kukła poszedł za Grzebieluchą. Pod stopami czuł, że gleba zrobiła się dziwnie miękka, jakby rzeczywiście jakaś wilgoć wychodziła na zewnątrz, prosto z wnętrza ziemi. On nie bał się powodzi, jego dom stał na górcie przy kalinowym lasku, zaraz przy drodze, która z Lipnej wiedzie przez Krasną aż do Sokołowa.

– Bo ja się bardzo piekła boję – rzekł do krzątającej się po izbie Grzebieluchy. – Piekła i ciemności trochę. Wody się nie boję.

– A czemuż piekła się boi? Człowiek o dobrym sercu nie ma co się bać piekła.

– Jak się nie bać? – Spojrzał na kobietę tak jakoś, że ciarki przeszły jej po plecach.

– Zamknie oczy. – Grzebielucha zbliżyła się ze świecą, wosk kapał i spływał po jej ręce, jednak ona albo tego nie zauważyła, albo w ogóle się tym nie przejęła. – A dlaczego to się piekła boi?

– D-d-dlaczego, dlaczego! – Mężczyzna stał się niecierpliwy. – Jak się nie bać, gdy diabeł kusi. Pod-podpowiada złe rzeczy, z-zwodzi.

– Zwodzi?

– A zwodzi. Od tego jest diabeł!

– Ano, od tego jest.

– Niech no babka odczynia. – Mężczyzna zamknął oczy i westchnął głęboko, jakby chciał wciągnąć całe powietrze, jakie znajdowało się w pomieszczeniu.

Grzebielucha przypatrywała mu się ze ściągniętymi brwiami.

– Ciemno w tobie – oświadczyła, okadzając jego głowę palonymi ziołami i żywicą.

Potem ten zapach unosił się nad nim, poszedł za nim aż pod samą Lipną i tam dopiero rozpląnął się w powietrzu. A Grzebielucha nie

spała długo tej nocy, bo po Kukle przyszedł sołtys Miśta, a potem, gdy już zaczęło się robić ciemno, zauważyła garbatego Wieczorka sunącego drogą między Krasną a Sokołowem. Spoglądał w stronę jej chałupy, ale wstydził się przyjść. Nie miał czym zapłacić, chociaż ona przecież nie brała pieniędzy za swoją pomoc, ot jakieś jajko wzięta, bochen chleba, pętko kiełbasy. Zawołała Wieczorka, który przydreptał z ogromnym zmęczeniem rysującym się na nieładnej twarzy.

– Niech siada. Co go gryzie? – zapytała starucha.

– No, tego... – Mężczyzna nie podniósł oczu, wpatrywał się w zapaloną świecę, rozlany wosk na blacie stołu, muchy przysiadające na brzegu pustych szklanek po herbacie.

– Bo gryzie, widzę przecież.

– Grzech mnie straszny gryzie, babko. – Wieczorek z trudem opanował drżenie ramion.

Grzebielucha nachyliła się nad nim, poczuł jej zapach: stęchłych ziół, zleżalego drewna, wilgoci i niemytych włosów.

– Jak grzech, to do księdza – powiedziała.

– Do księdza nie pójde.

– Ja mu grzechów nie odpuszczę przeca, do księdza niech pójdzie.

– Nie pójde.

W oczach mężczyzny na chwilę pojawił się błysk, bardzo nieprzyjemny błysk. Grzebielucha odsunęła się, usiadła po drugiej stronie stołu i nieświadomie zacisnęła szczęki, aż coś chrupnęło. Garbaty Wieczorek siedział nieruchomy, ogromny, jakby niezgrabnie wyciosany z wielkiej bryły, za duży. Za dużo miał ciała jak na swoją duszę, przerosło go, nie miał go czym wypełnić. Czasami wydawało mu się, że w środku jest go nieproporcjonalnie mało w stosunku do tego, co widać na zewnątrz. Bo był wielkim chłopem, prawie metr dziewięćdziesiąt, o byczych ramionach, długich rękach i nogach. Stąd ten garb, bo od zawsze chciał się skulić, schować w samym sobie.

– Ziół mu dam. – Grzebielucha wstała i nasypała do torebki zasuszonych liści i maleńkich łebków kwiatów. – Zaparzy, jak wróci do domu, i wódką popije.

– A co z moim grzechem? Nic na to nie ma?

– Spowiedź! – parsknęła Grzebielucha. – Twój grzech, toś ty powinien wiedzieć najlepiej.

Poszedł garbaty Wieczorek w noc, a Grzebielucha stała w oknie i patrzyła. Sierp księżycy haczył o czubki drzew, rzucał pod nogi jasne smugi światła, w nim kładł się garbaty cień, który powoli niknął wraz z Wieczorkiem na końcu drogi. Grzebielucha cmoknęła,

pokiwała głową, jakby sama sobie chciała coś powiedzieć. Coś dziwnego było w tym garbusie i trochę żałowała, że wypuściła go tak bez dociekania, co zżerało jego sumienie.

Grzechów do wyboru mnogo, pomyślała. Są lekkie, ciężkie i śmiertelne. Ale po lekkich nie ma się takich oczu, jak te jego. Przeżegnała się, dmuchnęła na świecę i podreptała do izdebki, w której stało jej łóżko. Przed snem zerknęła tylko na strumyk za oknem, którego znów wydawało się nieco więcej.



A garbaty Wieczorek wziął sobie do serca słowa Grzebieluchy, bo tak jak wcześniej rzadko widywano go w kościele, tak teraz przychodził co niedzielę, a czasami nawet częściej. Kręcił się koło konfesjonatu, rzucał długie spojrzenia za księdzem Sabaczyńskim, jednak do spowiedzi nie poszedł. Grzebielucha kilka razy go widziała, gdy siedział w ostatniej ławie, zamyślony i smutny, przygarbiony jak to on. Widziała też organistę patrzącego z góry na modlących się ludzi, jakby spoglądał z tronu. Wyraz twarzy miał zupełnie inny niż wtedy, gdy do niej przychodził, a na dodatek kiedy śpiewał, nie jąkał się już wcale.

– Tylu grzeszników przychodzi do kościoła, że czasami chciałbym, żeby zawalił się nad nimi dach – powiedział kiedyś, gdy przyszedł do niej na odczynianie uroku.

Czy teraz, patrząc na ludzi zebranych w kościelnych ławach, myślał o tym samym? Grzebielucha odpędziła od siebie myśli o organiście, zwróciła twarz ku sokołowskiej Maryjce i pograżyła się w modlitwie.

– Od zarozumiałości wybaw nas, Maryjo! Od nienawiści wybaw nas, Maryjo! Od złościwości wybaw nas, Maryjo! Od nikczemności wybaw nas, Maryjo! Od kłamstwa wybaw nas, Maryjo...! – modliła się długo i zawzięcie, aż korale jej różańca zrobiły się gorące, prawie parzyły palce.

Coś niepokoiło Grzebieluchę, źle się we wsi działo. Jeszcze nigdy wcześniej nie widziała tyle ciemności w tych, którzy przychodzili do niej na oduroczanie. Wiadomo, że ludzie są różni, zawsze znajdą się tacy, w których wygrywa ciemność. Jednak teraz wydawało się, że w niektórych ta ciemność aż kipi, wylewa się kącikami oczu.

Ciemność wylewała się także z przeszłości, z jakichś niewidocznych szczelin w czasie. Gdy Mikołaj położył na stole kserokopie dokumentów znalezionych przez jego przyjaciela w archiwum urzędu, wszystkie te osoby, które do tej pory były niczym postaci z kart powieści, nabrały realnych kształtów. Choć wciąż pozostały zjawami w umysłach pochylonej nad dokumentami rodziny Dziubów. To było jakby coś spoza czasu i pojawiło się nagle między nimi.

Akt zawarcia związku małżeńskiego między Mateuszem Faberem a Franciszką z domu Kupała, akt sprzedaży ziemi podpisany przez Grzegorza Fabera. Kolejny akt zawarcia małżeństwa, tym razem między Mateuszem Faberem a Marią Miłek, babcią Jodełką. Nic na temat jakiegokolwiek rozwodu czy śmierci pierwszej małżonki. Nic na temat Rozalii.

– Miałam nadzieję dowiedzieć się czegoś więcej... Że wyjechała stąd, miała swoje dzieci, naszą daleką rodzinę, którą moglibyśmy odnaleźć. Ale ona jakby rozplynęła się w powietrzu.

Nikt się nie odezwał, tylko powietrze zgęstniało nieco od jakiegoś smutku i rozczarowania.

– Musieli stąd wyjechać, bo w Sokołowie nie pozostał po nich żaden ślad. – Siemił spojrział na Florentynę, jakby ona miała to wiedzieć. – Z waszych najstarszych grobów na cmentarzu są tylko pradziadkowie, ale może coś dałoby się znaleźć w kościelnych księgach?

– Zapytam księdza – wtrąciła Róża. – I tak obiecałam mu butelkę nalewki.

Siemił pokiwał głową. Trochę dziwił się tej afektacji, jaką jedna z jego córek obdarzała nowego proboszcza. Wiedział, że od czasu do czasu udaje się do niego a to z nalewką, a to z jakimiś ziołami, zupełnie jakby szukała wymówki, żeby go zobaczyć. Bo do kościoła nie chodziła przecież, jedynie na chrzty, śluby i pogrzeby, które nie zdarzały się tak często. Może po prostu potrzebowała powiernika? – pomyślał Siemił. Tacy jak ona nie lubią okazywać swoich słabości przy bliskich, nie lubią rozmawiać z nimi o tym, co ich gryzie. Wiedział, że Róża właśnie taka jest, bo taka sama była jego matka.



Czas ma to do siebie, że nie czeka. Płynie, tak czy inaczej, nie ociąga się, nie zwleka. Wydawać by się mogło, że płynie na przekór nam, choć to śmieszny pomysł, tylko niedoskonała ludzka percepcja potrafi odbierać czas w ten sposób.

Franciszka na przykład nie cierpiała upływu czasu, tego, że mijają i nie zmieniają nic, może prócz jasności jej twarzy, jędrności skóry, lekkości sylwetki. Była jeszcze młoda, ale już widziała, jaka będzie za kilka, kilkanaście lat. Przerażała ją wizja zestarzenia się w Sokołowie, przy boku Mateusza. Wiedziała jednak, że nie może walczyć ani z tym, ani z czasem, dlatego w końcu przyzwyczała się do bycia panią Faberową, do bycia matką. Kiedy urodziła Rozalię, wiedziała, że nie ma dla niej innego miejsca na świecie niż to, w którym akurat była.

I wtedy wrócił Grzegorz, tak różniący się od jej męża. Zamieszkał z nimi, zajął swój dawny pokój, a ona za każdym razem, przechodząc obok jego drzwi, nie mogła się powstrzymać, żeby choć na chwilę nie przystanąć, nie ponasłuchiwać. Coś takiego było w tym mężczyźnie, że po prostu lubiła mu się przyglądać. Tak się zaczęło, od patrzenia.

Grzegorz był młodszy, postawniejszy niż Mateusz, na pierwszy rzut oka widać było, że służył w wojsku. Wyprostowany, dumny, nawet gdy pracował w warsztacie, wyglądał dostojnie, jakby znalazł się tam przez przypadek, jakby mógł znaleźć się gdziekolwiek indziej, gdyby tylko chciał. Do tego uśmiechał się podczas mówienia, a Mateusz zawsze był poważny. Tak naprawdę Franciszka jeszcze nigdy nie widziała, żeby mąż się uśmiechał prawdziwie oprócz momentów, kiedy się bawił z małą Rozalią. W jej mężu były pokłady ukrytego smutku, który czasami wylewał się z jego oczu, ust, oddechu.

Mateusz miał za złe Grzegorzowi, że ten opuścił dom, gdy rodzice byli już starzy, a pracy w warsztacie i w polu było tyle, że musiał zatrudniać obcych do pomocy.

– Przygód mu się zachciało! – kpił, ale gdzieś w głębi duszy chyba trochę zazdrościł bratu tego, że potrafił tak po prostu zdecydować, co chce robić, i nie bacząc na nic, zrobić to.

Grzegorz po powrocie nie robił nic. Podczas pierwszych dni długo spał, wieczorami wychodził gdzieś i znikał. W soboty jeździł na zabawy do Krasnej albo jeszcze dalej. Wracał nad ranem, czasami nawet później następnego dnia, jeszcze pijany, zataczając się. Często przychodził z podbitym okiem, posiniaczony, w porwanej koszuli. Śmiał się jednak z tego.

– Jak raz człowiek pójdzie na wojnę, to potem całe życie nosi wojnę w sobie – mówił.

Kiedy przychodził taki sponiewierany, wydawał się bardzo zadowolony, nawet jego oczy nabierały zdrowszego blasku. Mateusz zaciskał usta, patrząc na brata.

– Wstydu nie masz!

A Grzegorz śmiał się, śmiał się głośno, prosto z brzucha, z serca, śmiał się prawdziwie, tak, jak Mateusz nigdy nie potrafił się śmiać. Franciszka bardzo lubiła ten jego śmiech. We wsi mówiono o nim, że zawsze taki był, że ciągnęło go tylko do bitki, butelki, młodych dziewcząt, że tylko to miał w głowie. Ale czasami, gdy siadywał przed zmierzchem w ogrodzie i zapatrywał się w czerwieniejącą łunę za wzgórzami, Franciszka widziała, że jest w nim coś więcej. Że nosi w sobie ogromną tęsknotę, a te jego zabawy i popijawy są tylko po to, aby uśpić w nim jakąś żalność.

Rozumiała go. Sama tęskniła za innym życiem, innym światem, w którym mogłaby się stać kimś innym, prawdziwą sobą. Los z niej zdrwił i tak samo drwi z Grzegorza, bo oni oboje stworzeni są do innego życia niż to w zapadłej wsi. Franciszka zaczęła współczuć Grzegorzowi tak samo, jak współczuła samej sobie.

Chyba od tego to wszystko się zaczęło. Od tego współczucia. Sama nie wiedziała, kiedy to się stało, gdy zaczęła czekać, aż szwagier wróci z warsztatu czy z pola. Jeśli nie przychodził do domu po zabawie, nie spała. Zagryzała wargi, odwracała się plecami do męża i nasłuchiwała. Niekiedy schodziła na dół, mówiąc, że musi naparzyć ziół, że potrzebuje melisy i rumianku, które trzymała w blaszanej puszcze obok herbaty, że inaczej nie zaśnie.

Grzegorz czasami kładł się w pokoju przy kuchni. Gdy wracał bardzo pijany i nie chciało mu się wchodzić na górę, a może wołał nie budzić domowników ciężkimi krokami, zasypiał na małej wersalce przykryty kocem i spał tak nieraz aż do południa. Nie przeszkadzało mu krzątanie się w kuchni ani popiskiwanie Rozalii.

Po takiej nocy miał zmęczone czerwone oczy. Na widok Franciszki uśmiechał się szeroko, trochę kpiąco. A może tylko tak jej się wydawało?

– Jak bratowa pięknie dziś wygląda! Gdy dziedziczka zobaczy bratową w kościele, to padnie trupem z zazdrości.

Miał piękne białe zęby, zęby wilka. Franciszka czerwieniła się lekko pod tym jego uśmiechem zwierzęcia. Kiedy zostawali w domu sami,

bo Mateusz jeszcze był w warsztacie, a Rozalia bawiła się na zewnątrz, Franciszka prosiła go, aby opowiadał o wojnie.

– Chcę słyszeć o wszystkim, co nie jest tym.

– Tym? – pytał.

– Tym. – Zakreśliła ręką coś na kształt półkola. – Tym domem, tym ogrodem, tą wsią.

– Bratowa nie lubi Sokołowa?

– Nie idzie o to, że nie lubię – ucinęła. – Bo co tu lubić czy nie lubić? Każda wieś taka sama, każda ma lasy, kościół, proboszcza i cmentarz. Każda ma dworek, kowala, młyn. A mnie tęskno do takich miejsc, gdzie wszystko jest inaczej.

– Ale do jakich miejsc? Skoro wszędzie tak samo...

– A właśnie ja wiem, że nie wszędzie tak samo. Są miasta tak ogromne, że nie sposób człowiekowi ich przejść w ciągu jednego dnia. Są kościoły, gdzie wieże naprawdę sięgają nieba, tam chyba musi być bliżej Boga?

– Powiem bratowej, że byłem w niejednym mieście, ale w żadnym mi bliżej do Boga nie było.

– Też coś. – Udawała, że się obraża.

Zaczynał wtedy opowiadać o miejscach, które widział podczas wędrówki. O wsiach, miasteczkach, innych krajach. Mówił o śmiesznie brzmiących nazwach rzek, dziwacznych potrawach, ludziach, nad którymi ciąży moc innego boga niż tego tutaj. Opowiadał o kapiących złotem cerkwiach daleko na wschodzie, o świętych zamieszkujących stare drzewa, o kapliczkach, o lasach krzyży, między którymi nocami przechadzają się dusze.

Mówił, a ona się zastanawiała, o jakich rzeczach nie wspomina. Czy podczas swojej tułaczki miał łatwe kobiety, takie, co to lubią się położyć w trawie z żołnierzem? Czy może zostawił za sobą po tych wsiach, w których byli, jakieś płóche, rozkochane, jasnowłose dziewczki? Czy tęsknił za jaką, czy obiecywał, że wróci? Słuchała i stawała się zazdrosna o te wszystkie niewypowiedziane słowa, o przeżyte chwile, w których jej nie było. A przecież nie miała prawa czuć zazdrości, ganiła siebie w myślach, jednak myśli to jedno, a serce to drugie, nie zawsze im po drodze.

Chciała zapytać o te kobiety, nakarmić swoją ciekawość, podsycić zazdrość, bo ta sprawiała jej dziwnie bolesną przyjemność. Czasami, kiedy leżała sama w łóżku, dotykała się, myśląc o Grzegorzku i tych kobietach. Wyobrażała je sobie, chciała być na ich miejscu. I któregoś razu, kiedy znów siedzieli sami, bo chyba specjalnie

schodzili do kuchni, gdy wiedzieli, że nikogo innego nie ma w domu, spojrzął na nią tak, iż zrozumiała, że i on o niej myśli. Bo w tym spojrzeniu było wszystko, czego nie wypadało im ubrać w słowa. Zawstydziała się, jednak nie odeszła.

– Opowiedz mi o swoich kobietach – poprosiła, a on najpierw się zdziwił, potem zaśmiał z niedowierzaniem, a gdy zobaczył, że jej twarz jest poważna, wyczekująca, zapytał:

– Ale co mam opowiedzieć?

– To, czego nigdy nie opowiedziałbyś żonie.

Kiedy mówił, na jej policzkach wykwiwały rumieńce, oczy się szklily. Zamknęła je, żeby lepiej rozumieć jego słowa. Ściszył głos, zdziwiony sam sobą. Nie mógł oderwać od niej wzroku. Po tym już nie mogło być tak, jak dawniej. Nie potrafili udawać obojętności. Nie chcieli. W tych dniach, kilka miesięcy po powrocie Grzegorza do domu, Franciszka po raz pierwszy poczuła się dobrze w Sokołowie.

Tylko Rozalia widziała, jak bardzo jej matka się zmieniła. Nie miała już tej burzowej chmury nad oczami, nie trzeba było jej wywlekać rano z łóżka, przestała mówić, że z kurami to tylko inne kury powinny wstawać. Teraz budziła się pierwsza, jeszcze zanim zeszła do kuchni, czesała włosy, obmywała w miednicy twarz i dekolc zimną wodą. Pachniała potem różanym mydełkiem i Rozalia bardzo lubiła się do niej wtedy przytulić, wchłaniać ten zapach. W kuchni szykowała śniadanie dla wszystkich, nucąc pod nosem.

– Widać, że bratowa to nie wiejska dziolcha, przy której na śniadanie tylko byśmy żur jedli – śmiał się Grzegorz, a Franciszka pąsowiwała.

Rozalia pomagała sprzątać ze stołu, wpuszczała z podwórka koty, które od razu mościły się koło pieca. Bawiła się z nimi, głośno się śmiejąc. Tylko Mateusz siedział cicho, nabijał fajkę tytoniem, po czym zniknął w warsztacie na długie godziny.



Tamtego lata Mirek Maślanka upił się tanim winem na zabawie w Krasnej i pobił się z chłopakami z Lipnej. Zaczęło się od tego, że zobaczywszy ich, krzyknął, że to zabawa dla normalnych ludzi, z normalnych wsi, nie dla takich, co to mają zboczeńców u siebie. Chłopcy, też już nietrzeźwi, podeszli do niego od razu, a najwyższy

z nich splunął mu w twarz, mówiąc, że nie będzie wysłuchiwał obelg od takiego zrobionego po pijaku wypierdka.

Bójka nie trwała długo, bo szybko ich rozdzielono, jednak któryś z chłopców tak niefortunnie uderzył Maślankę, że ten stracił przytomność. Trzeba było wezwać karetkę, ponieważ Mirek leżał bez ruchu, a krwi mu poszło tyle, że na sam widok ludziom robiło się słabo. Chłopców z Lipnej przeszedł strach, bo każdy widział, kto się z kim bił, nietrudno było wskazać sprawcę. Na szczęście Maślanka oprzytomniał w szunowskim szpitalu. Podobno kiedy się obudził, powiedział:

– Szkoda, że mnie nie zabili.

Tak powtórzyła komendantowi Filipowiczowi pielęgniarka.

– Co jeszcze mówił? – zapytał policjant, ale ona tylko wzruszyła ramionami.

Potem rozmawiał jeszcze z chłopcami uczestniczącymi w bójce, którzy wystraszeni odpowiadali na każde zadane pytanie. Coś wzbudziło jego zainteresowanie. To coś o zboczeńcu, podobno rzucone przez Maślankę podczas bójki.

– Kogo miał na myśli? – zainteresował się sierżant, a chłopcy tylko popatrzyli po sobie.

– Chyba organistę. Ale co mamy z nim wspólnego prócz tego, żeśmy z jednej wsi?

Od tej pory coś Filipowiczowi nie dawało spokoju. Bójki między chłopcami z różnych wsi zdarzały się zawsze, tak już jest urządzony świat, że czasami o niechęci decyduje to, po której stronie między znajdzie się człowiek. Myślał o Maślance, z którego było niezłe ziółko, i o tym, czy naprawdę miał na myśli kościelnego organistę. A jeżeli tak, to z jakiego powodu.

Znać się musieli dobrze, bo przecież Maślanka był ministrantem. Sierżant Filipowicz postanowił odwiedzić proboszcza Sabaczyńskiego, ale na razie nieoficjalnie, nie chciał bowiem nikogo spłoszyć. Udał się na późną niedzielą mszę, po której został, chcąc porozmawiać z księdzem, jednak zauważył, że duchowny próbuje się wymknąć z kościoła. Na zewnątrz znów zebrał się niemały tłumek starowinek, które rozmodlone pod krzyżem czekały, aż ksiądz się pojawi. Filipowicz poszedł za proboszczem.

– Jak cuda? Jakież nowe się wydarzyły? – zagaił policjant.

– Nie. Cuda wciąż te same – odparł ksiądz zdziwiony widokiem idącego za nim sierżanta. – Woda w wino.

– Znowu?

– Nie, tylko dwa razy. Od ostatniego przemienienia nie zdarzyło się nic nowego.

– A to szkoda.

– Szkoda?

– Chyba im więcej cudów, tym lepiej?

– Czy to o cudach chce pan władza ze mną rozmawiać?

– Właściwie to nie, ale teraz nie jestem na służbie. Możemy gdzieś usiąść, tak żeby nikt nas nie widział?

Filipowicz zapytał wprost o Maślankę, o organistę i czy kiedykolwiek wydarzyło się między nimi coś dziwnego i choć nie usłyszał zbyt wiele, to dowiedział się tyle, żeby postanowić przyjrzeć się organiście bliżej. Podobno Maślanka kilka razy wygrażał Kukle za to, jak traktuje dziewczęta z chóru, ale ksiądz nie zauważył niczego niestosownego, tylko to, że Kukła czasami bywa zbyt surowy, potrafi krzyknąć i się zdenerwować. Ale nikt nigdy się nie poskarżył, żadna z dziewcząt nie przysłała do księdza, żadna nic nie powiedziała. Ale czy to coś znaczy, rozmyślał Filipowicz, nawet gdy się krzywdą dzieje, to dziewczęta milczą, bo się boją. Każdy wiedział, że Maślanka miał słabość, odwzajemnioną zresztą, do Marysi. Co, jeśli taką samą słabość miał organista?



Tymczasem w Czarnym Lesie wciąż słyszano dziewczęcy głos i wieczorami ludzie unikali wchodzenia między gęstwiny, do czasu aż któregoś razu przechadzający się ścieżyną między starymi bukami młody Juch przystanął zmęczony, oparł się o drzewo i też usłyszał śpiew.

Początkowo się wystraszył, zamarł i wsłuchiwał się w dźwięki dolatujące nie wiadomo skąd. Płynęły z góry, spomiędzy gęstych gałęzi, i zdawało się, że z różnych stron. Juch stał i słuchał, rozglądając się, ale wokół nie było żywej duszy. Tylko malutki szpak usiadł na gałązce tuż nad jego głową i wtedy Juch zrozumiał, że to ta drobina wyśpiewuje jakby dziewczęcym głosem. Od razu poszedł po sąsiedzku do Dziubów.

– Ludzie tacy głupi, zabobonni, śpiew ptaka za głos zjawy brali – powiedział, a Siemił na to pokiwał głową.

– Tak, to w końcu nic dziwnego, szpaki naśladują różne dźwięki, tak jak i ludzkie głosy. – Zamyślił się. – Ale przecież to oznacza, że

ten śpiew musiał gdzieś usłyszeć.

– Co chcesz przez to powiedzieć? – zwróciła się do ojca Jaśmina, która z zaciekawieniem przysłuchiwała się rozmowie.

– Tylko tyle, że ptak powtarza to, co usłyszał.

– Czyli słyszał Marysię? W lesie? – Jaśmina uniosła brwi. – Czyli ona może gdzieś tam być?

– Marysię albo kogoś innego, kto śpiewał.

– Kto inny śpiewałby, jak nie ona? Tylko ona łąziła wszędzie, wyśpiewując. – Juch rozłożył ręce. – Dziwne to.

Ludzie w Sokołowie jednak bardziej byli skłonni wierzyć w błąkającą się Marysiną duszyczkę niż w śpiewającego dziewczęcym głosem szpaka. Sołtys uprosił mężczyzn o zorganizowanie kolejnych poszukiwań. Nikt jednak nie miał nadziei na to, że uda się odnaleźć dziewczynę. Przecież szukano jej, nawet z psami, już przed tamtą jesienią. Mimo to znów poszli za bagna, do Lisiego i Czarnego Lasu. Na drodze, która prowadziła do Krasnej, natknęli się na garbatego Wieczorka.

– Na darmo szukają, przecież ona święta, zniknęła, rozplynęła się w lesie – mruknął ni to do siebie, ni to do nich.

– Co mówicie? – zapytał Juch.

– A nic. Że ducha prędszej złapiecie niż ją.

– Co to za gadanie! Lepiej pomógłbyś szukać. – Juch machnął ręką i poszedł dalej.

Wieczorek postać chwilę, popatrzył za nimi kaprawymi oczkami i powlókł się w stronę Krasnej. Mijając ścieżynkę, która skręcała w stronę chałupy Grzebieluchy, przystanął na moment. Starucha ostatnim razem mu nie pomogła. Te zioła, które mu dała, mogłaby sobie wsadzić w dupę, pomyślał. Co pomogą takie zioła na to, co męczy jego biedną duszę?

Mężczyzna wiedział, co się stało z Marysią. Wiedział, ale nie mógł nikomu powiedzieć o tym, co się wydarzyło tamtego popołudnia, kiedy skradał się za nią, gdy wracała z próby chóru. Szedł akurat w stronę Krasnej, ale nie drogą, tylko ścieżyną przy łąkach, które rosły wzdłuż Czarnego Lasu.

To był początek jesieni, najśłodsza pora roku. Dni ciągnęły się jeszcze długie i ciepłe, wieczory jasne, bursztynowe, pełne cieni. Las pachniał obłędnie. Marysia miała na sobie białą letnią sukienkę, zbyt cienką na tę porę roku. Szła, podśpiewując, uśmiechając się lekko do swoich myśli. Skręciła tam, gdzie za wąskim strumykiem rozrasta się buczyna.

A on poszedł za nią prosto w las. Sam nie wiedział, dlaczego za nią idzie, tak dobrze mu się na nią patrzyło, tak dobrze się za nią szło. Chciał iść i oglądać ją w tej białej sukience, z rozwianymi włosami, śpiewającą. I szedłby tak aż do końca świata albo do końca lasu, gdyby nagle Marysia się nie odwróciła, usłyszawszy, jak pod jego stopami łamią się suche gałązki. Spojrzała na niego, a w tym spojrzeniu nie było już uśmiechu. Przechyliła głowę, przypatrując mu się, a on stał, wielki, niezgrabny, zawstydzony samym sobą.

Wieczorek rzadko rozmawiał z ludźmi, jeszcze rzadziej z kobietami, a co dopiero z takimi, które wyglądały jak wróżki z bajek. Nic nie powiedział, patrzył tylko na Marysię, a ona kurczyła się pod tym spojrzeniem. Nie podobał jej się ten wzrok, te oczy, które wwierały się w nią zbyt natarczywie. Zmarszczyła brwi, machnęła ręką i pokręciła głową. Chyba powiedziała coś, ale raczej tylko do siebie.

Zrobił kilka kroków, teraz widział ją już z bliska. Była jasna, jakby przejrzysta, trochę jak Zielna Maryjka na sokołowskim ołtarzu. Miała zaczerwienione policzki, skórę gładką, młodą, taką, której chciało się dotykać. Wieczorek zrobił krok w jej kierunku, a ona zrobiła krok do tyłu, cofając się pod jego spojrzeniem. Nie chciał, żeby się go bała. Zdenerwował go jej strach. Chciał tylko patrzeć, może dotknąć, pogłaskać tę skórę. Nigdy wcześniej nie widział tak gładkiej twarzy, jego była pełna ospowatych blizn i wągrów.

Wyciągnął rękę, uśmiechając się, jego palce były grube i żółte od papierosów. Marysia zachwiała się, gestem nakazała mu odejść, ale on jakby w ogóle tego nie zauważył. W tamtej chwili istniała dla niego tylko ta gładka skóra. Zbliżył się z wyciągniętą ręką. Dziewczyna oparła się o drzewo, a kiedy jej dotknął, wykrzywiła twarz z obrzydzeniem.

Nie spodobało mu się to. Znów poczuł się mały, choć jego ciało było wielkie, dwa razy większe niż ciało Marysi. Chciał dotknąć jej włosów i wtedy go ugryzła, z całej siły zaciskając szczęki na jego dłoni. Krzyknął z bólu i odruchowo uderzył ją w twarz. Zaczęła się miotać, piszczeć i wtedy coś w niego wstąpiło. Nie chciał, żeby ktoś ją usłyszał. Wprawdzie byli w lesie, ale droga na Krasną znajdowała się niedaleko stąd.

Poczuł złość, niesprawiedliwość, bo przecież nie chciał zrobić nic złego, tylko poczuć tę miękkość skóry i włosów. Tego mu brakowało, bo w jego życiu wszystko było twarde i brzydkie, kanciaste

i niezgrabne. Życie garbusa. Zatkał jej usta dłonią, tą wielką łapą, która przykryła jej niemal całą twarz. Wciąż próbowała gryźć.

– Nic ci nie zrobię – powtarzał. – Cicho, cicho.

Chciał, żeby się uspokoiła, więc uderzył jej głową o drzewo, o które się opierała. Trochę za mocno. Osunęła się bezwładnie. Przykucnął przy niej nieco wystraszony. Teraz mógł dotknąć tej twarzy. Ręka mu się trzęsła, gdy zbliżył ją do zaognionych policzków dziewczyny. Były gorące, takie miękkie. Wieczorek nie do końca pamiętał, jak długo z nią siedział, jak długo dotykał tej skóry i włosów, co jeszcze robił. Wpadł w trans, z którego wyrwały go jakieś odgłosy. Ktoś szedł w jego stronę, może jakieś zwierzę, może człowiek.

Marysia leżała pod drzewem jak jasna plama na tle lasu. Nie sprawdził, czy oddycha, nawet o tym nie pomyślał. Nagle jej widok wydał mu się upiorny, najstraszniejszy. Zapłakał, jego potężne plecy drżały od spazmów. Uderzył sam siebie w twarz, potem jeszcze raz, z całej siły. Na jego policzku wykwitła plama czerwieni i taką samą czerwień widział teraz pod powiekami, kiedy na chwilę przymknął oczy. Miał nadzieję, że kiedy je otworzy, Marysi nie będzie, ale ona wciąż tam leżała, taka biała i nieruchoma. Wyrzut sumienia.

Chciał ją ratować, naprawdę chciał to naprawić, ale nie było już czasu. Ktoś się zbliżał od strony drogi, musiał stąd uciekać. Nawet jeśli powie, że nie chciał zrobić nic złego, nikt mu nie uwierzy. Będzie jak wtedy, gdy był jeszcze małym chłopcem, a na ich podwórko przyszła tamta dziewczynka... Stop, tego nie było, nie myśl o tym, upomniał siebie w myślach.

Wstał i się rozejrzał. Musiał być tu już długo, zmierzch powoli rozlewał się między gałęziami. Odwrócił się i zaczął szybko iść w głąb lasu. Na opuszkach palców wciąż czuł ciepło Marysi, jej miękkość.

Kiedy następnego dnia wrócił do lasu, Marysi nie było już pod drzewem, a potem doszło do niego, że cała wieś jej szuka. Las zaroił się od policjantów, mieszkańców Sokołowa i okolicy. On też szukał. Chodził między drzewami zdziwiony jej brakiem. Wstała i poszła? Zastanawiał się, dlaczego nie wróciła do domu.

Po kilku dniach bezskutecznych poszukiwań zrozumiał, że Marysia się nie odnajdzie. Przypomniał sobie jej twarz, podobną do twarzy sokołowskiej Maryjki. Pomyślał, że gdy ktoś tak znika, to tylko w jeden sposób: musiało to być wniebowstąpienie, bo przecież ona była taka czysta. Przeraził się, że to z jego winy. Chcąc odkupić swój grzech, podchodził pod chatę Grzebieluchy, ale ta nie potrafiła mu pomóc. Nakupił więc zniczy i narwał kwiatów, potem długo płakał

i modlił się pod tamtym drzewem. Może Marysia mu wybaczy? Przecież nie chciał zrobić nic złego.



Od czasu odstawienia leków Jaśmina źle sypiała. Długo wierciła się w łóżku, przewracała z boku na bok, a potem, jeśli śniła, to sny miała chaotyczne, pozbawione sensu, bezbarwne. Wiedziała, że jej organizm powoli dochodzi do siebie, pozbywa się substancji, którymi miesiącami go raczyła.

Ostatni sen, w którym przyszła do niej Nadzieja, pamiętała jak przez mgłę. Siostra stała pośrodku niebieskiego ogrodu z tą dziewczynką ze starych fotografii, tyle że we śnie dziewczynka był nieco starsza. Przywoływały ją gestem, patrzyły prosto na nią, bez mrugnięcia. Dziewczynka zaczęła iść, ale Nadzieja została w miejscu, tylko lekkim skinieniem głowy zdawała się mówić: „Idź za nią”. Poszła więc między krzewy prusznika, wysoką trawę, kostropate jabłonie. Minęła akację i platan, pod którym pochowane były zwierzęce truchła.

Dziewczynka szła, nie odwracając się, aż wyłoniła się po drugiej stronie ogrodu i stanęła przy płocie. Tam usiadła pośród pokrzyw i niezapominajek, które zaczęły ją obrastać, aż po krótkiej chwili zniknęła pod nimi, rozplynęła się całkiem.

Jaśmina przeczesywała kwiaty, wrywała je z korzonkami, ale pod nimi nie było nic, tylko czarna ziemia.

– Śniła mi się ta dziewczynka – powiedziała rano przy śniadaniu, uciskając skronie.

Sen nie wywietrzył jeszcze z jej głowy, wciąż czuła zapach kwiatów, które przeczesywała we śnie.

– Jaka dziewczynka? – zapytała Florentyna.

Wszyscy zwrócili oczy na Jaśminę.

– Ta ze zdjęcia.

– Co ci się śniło?

– Najpierw była z Nadzieją, a potem zniknęła w ogrodzie, pod kwiatami. Pod niezapominajkami, tymi przy płocie.

– Dziwny sen – stwierdził Siemił i od razu wrócił do wertowania gazety.

– Myślę, że one chcą mi coś powiedzieć – odparła Jaśmina.

– One, czyli Nadzieja i ta dziewczynka? – Róża uniosła brwi.

– Tak. Przecież to Nadzieja naprowadziła mnie na te dokumenty ukryte w ścianie. Najwidoczniej jest coś jeszcze.

I rzeczywiście było. Ksiądz Sabaczyński obiecał Róży, że przejrzy stare księgi oraz dokumenty i znajdzie jakieś informacje dotyczące rodziny Faberów. Obietnicy dotrzymał, choć nie rozumiał, dlaczego Róża chciała grzebać w tej przeszłości, w czymś, czego już nie było. Gdy się zagłębił w stare księgi metrykalne i konsystorskie, poczuł, jak powoli pochłania go cały miniony czas. Na pożółkłych stronach widniały nazwiska i imiona należące do ludzi, których już dawno nie było, co najwyżej jakieś resztki ich ciał ostały się pod pochyloną wierzbą na cmentarzyku.

Te nic niemówiące mu przecież zlepki imion i nazwisk były kiedyś ludźmi, miały swoje życie, marzenia, troski, wady, zalety. A teraz były jedynie wykaligrafowanymi dwoma słowami w starych księgach i sumariuszach. Nawet nie wiadomo, jak wyglądali.

Ksiądz przycupnął w małym pokoiku, gdzie przechowywano wszystkie stare dokumenty. Sokołowska plebania nie miała prawdziwej kancelarii, była zbyt skromna i oprócz rozmodlonych starowinek nie było tu żadnych interesantów, których proboszcz mógłby przyjmować, choć po cudzie przemienienia wody w wino trochę się to zmieniło.

Siedział więc teraz w zakurzonej kanciapce przy małej migoczącej lampce, bo stale zapominał o zmianie żarówki w lampie u sufitu, i wertował księgi strona po stronie. Z każdą przewróconą kartką pograżał się w coraz większej zadumie. Czytał nic niemówiące mu imiona i nazwiska, choć niektóre pokrywały się z tymi noszonymi przez ludzi we wsi, i wyobrażał sobie tych parafian. Kim byli, jak wyglądali, co lubili robić, jakie potrawy jadali? Po całym długim życiu jedynie to zostało, dumał. Dół na górcie i dwa słowa w kościelnych księgach. Wreszcie natrafił na Faberów w księdze metrykalnej. Akt zawarcia małżeństwa między Mateuszem Faberem a Marią Miłek. Ale to nie o to prosiła pani Róża. Szukał dalej.

Liber Mortuorum i Liber Sepultorum

Daty w starej księdze zmarłych i księdze pochowanych sięgały XIX wieku, a ich pożółkłe strony były teraz cieniuchne jak motyle skrzydła. Tylko w parafii ukrytej przed światem, jak ta sokołowska, mogło się zachować coś takiego, pomyślał ksiądz zdumiony i podekscytowany

i zszedł na dół zaparzyć sobie dzbanek herbaty. Czekala go długa noc i babranie się w czasie, które nagle wydało mu się nieco magiczne.

Imię, nazwisko, przyczyna zgonu. Wszystko po łacinie, oprócz polskich imion i nazwisk. Ksiądz Sabaczyński wodził wzrokiem po zapisanych stronach i w myślach tłumaczył sobie obco brzmiące słowa. *Nomen, cognomen et conditio mortui*. Tadeusz Pliszka, puchlina brzuszna. Eugeniusz Kołaczek, zapalenie płuc. Józef Noszczyk, zgorzel. Aniela Płużek, gorączka poporodowa. *Morbus et qualitas mortis*. Okoliczności zgonu. *Mortuus inventus* – znaleziony martwy.

A vulnere. Śmierć od ran. Grzegorz Faber. To na pewno zainteresuje panią Różę, pomyślał z zadowoleniem. A także to, że księgi wspominały również o Franciszce Faber i Rozalii Faber, choć w księdze zmarłych nie znalazło się ani jedno słowo na ich temat. Tylko Grzegorz i niejasna notatka o pochówku, który odbył się jeszcze na starym cmentarzu, za kościołem. Tam od lat nie chowano już nikogo. Część grobów zapadła się jeszcze przed wielką wojną.

Większość napisów na nagrobkach, które się ostały, była w zasadzie nieczytelna. Pod nagrobkami, na których litery wciąż można było odczytać, leżeli między innymi niegdyś służący w parafii księża (oprócz księdza Strąka, który według własnego życzenia został pochowany na cmentarnej górze). Groby, nad którymi postawiono drewniane krzyże, już dawno rozpuły się w krajobrazie cmentarza, zarosły trawą i bluszczem. Jedynie niewielkie zgrubienie w ziemi świadczyło o tym, że kiedyś była tu mogiła. Te znajdujące się przy samym murze zniknęły bez śladu.

Gdzieniedzie zachowały się kamienne nagrobki ze startymi literami, ledwie się trzymające pokruszone tablice. Kiedy umierał ostatni z rodziny, grobem nie było się komu zająć, więc powoli popadał w zapomnienie, aż po jakimś czasie już nikt nie wiedział, kto leży pod takim czy innym krzyżem. Teraz mało kto miał groby na przykościelnym cmentarzu, w Zaduszki przychodzili tu tylko ci od Noszczyków, Miśtów i Omachilów. Oni pamiętali, że w przykościelnej ziemi leżą kości ich zmarłych, że są ciałami z ich ciał, krwią z ich krwi. Reszta grobów pozostawała w niepamięci. Między nimi ten, w którym leżał Grzegorz Faber. *Mortuus inventus*.

Ksiądz Sabaczyński nie znalazł już nic więcej na temat rodziny Faberów, księgi milczały na temat Franciszki. Był tylko akt zawarcia związku małżeńskiego między nią a Mateuszem oraz akt chrztu

Rozalii Faber. Za to w starym sumariuszu natrafił na niezwykle zapiski, które ktoś naniósł rozedrganą ręką. Ledwie czytelne notatki lub kilka słów na marginesie, czasami coś dłuższego. Między kartkami znalazł włożone luźno strony zapisane drobnym maczkiem tym samym charakterem pisma. Najwidoczniej należał on do proboszcza, który urzędował w parafii jeszcze przed rokiem 1880.

Toż to prawdziwy skarb, pomyślał ksiądz Sabaczyński. Dlaczego nikt nie zabezpieczył tych ksiąg? Zagłębiając się w notatki, próbował odgadnąć ich sens. Ówczesny proboszcz pisał o Świętej Panience, którą spotkał w lesie. „Piękna ona a zwiewna, dom ma w drzewie”. Dalej znalazły się zapiski dotyczące nowego malowidła na ołtarzu. Od tej pory ksiądz Sabaczyński, przechodząc koło ołtarza sokołowskiej Zielnej Maryjki, nie mógł się uwolnić od dziwnego niepokoju. Wydawało mu się, że ona patrzy na niego, uśmiecha się, a nawet lekko z niego drwi. I że jest bardziej dzika niż święta.

Nowi lokatorzy pałacu też widywali twarz podobną do tej z sokołowskiego ołtarza. Czasami im się śniła, innym razem wydawało się, że wygląda zza pnia grubego drzewa lub stoi pośrodku ogrodu. Potem się okazywało, że to tylko gra cieni albo zgrubienie w korze, które ułożyło się w ludzkie rysy.

Powoli przywykli do tego, ale nie czuli się dobrze w pałacu. Przed wszystkim nie mogli spać. Przez pół nocy włączyli się długimi korytarzami, oglądali nocne programy w telewizji, czytali opasłe powieści, których kilka kartonów przywieźli tu z sobą z poprzedniego życia, palili papierosy na tarasie. Zasypiali tak zmęczeni, że budzili się dopiero około południa, z ciężkimi głowami pełnymi dziwnych snów. Śniła im się sokołowska Maryjka, która wychodziła spod ziemi, z miejsca, w którym znaleziono pozostałości prastłowiańskiej wioski. Bali się tej części ogrodu, nie podchodzili zbyt blisko nawet podczas przechadzek (to tam przed miesiącami zdawało im się, że widzą sołtysową Marysię).

Po nocy mieli wrażenie, że ktoś patrzył na nich, gdy spali, że ktoś chodził między pokojami, przestawiał przedmioty, zamykał książki otwarte w miejscu, w którym poprzedniego dnia kończyli czytać. W kuchni zastawali nadgryzione kromki chleba i plamy herbaty na obrusie, niedomknięte drzwi lodówki, wypite mleko, naniesione z podwórza błoto na podłodze w korytarzu. Siadali w milczeniu między niedopitymi herbatami, których przyrządzenia poprzedniego wieczoru nie potrafili sobie przypomnieć.

– Może przejdziemy się nad stawy? – proponował pan Witold, zapalając papierosa.

Nie mówił głośno tego, o czym myślał: że kiedy wróca, duchy będą już spać, a wtedy oni będą mogli się cieszyć nowym domem aż do nocy, w której prawowici lokatorzy znów się zbudzą, aby harcować.

– Tylko się umaluję. – Pani Józefa wstawiała od stołu i ruszała do sypialni. Nikomu nie pokazywała się bez makijażu.



Kiedy Franciszka patrzyła na rosnącą Rozalię i w jej rysach dostrzegała coraz więcej Mateusza, zastanawiała się, jak by to było, gdyby wyszła za męża nie za niego, lecz za Grzegorza. Czasami wyobrażała sobie, że Rozalia jest jego córką, w końcu była podobna bardziej do Faberów niż do niej. Wieczorami, kiedy mała już spała, a Mateusz wciąż był w warsztacie lub na flaszcze u sąsiada, przygotowywała kolację, stawiała talerz przed Grzegorzem, a sama siadywała naprzeciwko niego.

Myślała o tym, że to on powinien być jej mężem. Los z niej zakpił, z wygodnego życia pełnego dostatku przeniósł ją tutaj, na koniec świata, w ramiona mężczyzny, który był jej obojętny, a nawet ją mierzył. Coś musiało się pomylić tam w przestworzach, gdzie układano ludzkie losy, bo to nie ten brat, który powinien, wziął ją sobie za żonę.

Franciszka chodziła teraz codziennie ufryzowana, nawet w domu nosiła najlepsze spódnice i bluzki. Zakładała też rubinowe kolczyki, które przywiozła z poprzedniego życia. Musiała chować je przed windykatorem, który na poczet długów ojca zabrał wszystkie należące do niej kosztowności. Podczas swoich pierwszych dni spędzonych w Sokołowie, gdy nikt nie widział, wyjmowała kolczyki z ukrytej pod prześcieradłami szkatułki i wpatrywała się w nie z melancholią.

Tak niewiele zostało jej z dawnego życia. Kilka sukni, spinek, błyskotek, kapeluszy i właśnie te kolczyki. Po raz pierwszy założyła je do kościoła i potem kilka wiejskich bab gadało za jej plecami, że Faberowa wystroiła się w rubiny jak kokota. A przecież nikt nie mówił tak o nowej dziedziczce z dworu, która do kościoła też przychodziła w pięknej sukni, a w jej uszach szklily się maleńkie szmaragdy. Tylko

Franciszce wypominano to, że chce być kimś, kim nie może być. Nienawidziła za to tych kobiet ze wsi, ich kipiących zazdrością oczu.

Ona z kolei zazdrościła dziedziczce, serce bolało ją za każdym razem, kiedy widziała jej powóz, zwiewne suknie, jasną twarz o oczach czarnych jak grudki węgla. Franciszka nie wiedziała, że dziedziczka Marianna Rytłowa jest równie nieszczęśliwa jak ona, bo szczęścia nie można przecież zmierzyć w karatach.

Rozalia zaczęła jej przeszkadzać. Kochała córkę, ale za każdym razem, kiedy na nią patrzyła, widziała Mateusza. Dziecko było ucieleśnieniem całej jej rozpacz, przypominało jej o życiu, którego nie chciała. Życiu pełnym tęsknoty za młodością spędzoną w domu ojca, gdzie była rozpieszczana i gdzie niczego jej nie brakowało. Życiu, które zaczynało się skoro świt oporządzaniem domu i ziemi oraz tych niewielu pozostałych zwierząt. Życiu z dniami ciągnącymi się monotonicznie, w cichej rozpacz, i z wieczorami spędzonymi z dala od męża, który ją nudził, nad kartami romantycznych powieści przynoszących jej chwilowe zapomnienie.

Franciszka nienawidziła takiego życia. Ale do tej pory było to jedyne życie, jakie miała. Wraz z pojawieniem się Grzegorza coś się zmieniło. Nagle przestała czuć opór przed wstaniem rano z łóżka, włożeniem sukienki, uczesaniem włosów. Łapała się na tym, że przygotowując śniadanie, piekąc chleb, nuci pod nosem. Zaczęła dbać o wygląd domu, który nagle wydał jej się swojski i przytulny. Wiosną i latem ustawiała wazony z kwiatami, więc gdy wchodziło się do kuchni, pachniało łąką. Jesienią siadywała na ławeczce pod domem, wdychała zapach opadłych liści, robiła z nich czerwono-żółte bukiety. Zimą, kiedy było mniej pracy, przesiadywała w kuchni, gdzie uczyła się pieczenia ciast. Chciała, żeby dom pachniał wanilią, był ciepły i czysty.

Mateusz zauważał to i coraz częściej się uśmiechał. Przywoził jej z Szunowa podarunki, czasami naprawdę cenne, wyręczał w pracach domowych, których nie lubiła, przesiadywał z Rozalią nad książeczkami, ucząc córkę liter. Nie wiedział, że ta zmiana nie ma nic wspólnego z nim, z jego oddaniem. Na początku małżeństwa usłyszał od matki, żeby dał Franciszce czas.

– Zobaczysz, przyzwyczai się, to i pokocha.

Czekał na to zbyt długo, zdążył nawet się pogodzić z oziębłością żony, z tym, że nigdy nie zobaczy w jej oczach miłości. A tu nagle coś się zmieniło. Miała matka rację, pomyślał. Ale jedna rzecz nie dawała

mu spokoju. Wtedy jeszcze nie wiedział, że ten nowy ogień w oczach Franciszki płonie nie dla niego, lecz dla jego brata.

Franciszka coraz rzadziej zajmowała się Rozalią, która podrosła na tyle, że nie potrzebowała już ciągłej opieki. Dziewczynka była zamknięta w sobie, cicha i trochę nieśmiała. Jedynie przy ojcu trąkotała, opowiadała o przeżywanych w ciągu dnia przygodach w ogrodzie, śmiała się głośno, tak że było ją słychać w całym domu. Gdy Mateusz zmęczony po ciężkiej pracy w warsztacie zasypiał, Franciszka wciąż siedziała w kuchni. Kładła się później niż on, od lat nie zasypiali razem.

Grzegorz przychodził do niej, kiedy dom był już całkiem cichy, jedynie za oknem słychać było w oddali szczekanie psów. Nasłuchiwali odgłosów z piętra, trochę bojąc się tego, że nagle na schodach pojawi się rozespana Rozalia albo co gorsza Mateusz. Franciszka zaczęła więc wychodzić wieczorami pod pretekstem zaczerpnięcia świeżego powietrza, mówiąc, że cierpi na migrenę albo że musi narwać ziół, które zbiera się tylko po zachodzie słońca.

Z dala od domu w umówionym miejscu czekał Grzegorz. Spotykali się w głębi ogrodu osłonięci gęstwiną krzewów lub nad strumykiem, który płynął tuż za dróżką prowadzącą do lasu. Świat w nocy był zupełnie innym światem, pachniały w nim jaśmin i tuberozy. Księżycowe światło zmieniało wszystko nie do poznania i nawet Franciszka nie poznawała wtedy siebie. Zapach nocnych kwiatów ją oszałamiał, hipnotyzowały gwiazdy rozsypane na granacie nieba. Nie mieli wiele czasu, spieszyli się, żeby się sobą nacieszyć. Taka miłość w pośpiechu była jednak lepsza niż żadna.

Franciszka tak wyczekiwała wieczorów, jak czeka się na coś najcenniejszego, na coś, co ma prawo się wydarzyć tylko raz w życiu. Dni ciągnęły się, dłużyły, a ona właśnie wtedy zaczęła się pogrążyć w pracy. Robiła wszystko, żeby czas płynął szybciej. Oby do wieczora, do nocy. Z większym zapałem wykonywała domowe obowiązki, zajęła się ogrodem, zwierzętami, poletkiem od strony drogi na Szunów. Kiedy Grzegorz szepnął jej któregoś razu: „Ucieknijmy stąd”, najpierw się zaśmiała, a potem pokręciła głową.

– Dokąd? Za co? Nic nie mamy.

Leżeli w wysokiej trawie pod gruszami. Grzegorz nie patrzył na nią, jego wzrok przebijał się przez noc, ślizgał się po oblanych księżycowym światłem gałęziach.

– Sprzedam ziemię. Lasy – powiedział.

– To nie twoja ziemia.

- Taka moja, jak i jego.
- Ale to wszystko, co macie.
- Jest jeszcze warsztat.
- A co z Rozalią?
- Zabierzemy ją ze sobą.
- Nie wiem... – Franciszka usiadła. W ciemności nie widział jej twarzy, tylko poświatę księżycy we włosach.
- Myślałem, że tego chcesz. Uciec stąd. Do miasta.
- Chcę.
- To pomyśl o tym, bo ja i tak pojedę. Z tobą albo bez ciebie.



Grzebielucha nie czuła się dobrze w ostatnich dniach. Głowa jej ciążyła, jakby ktoś nasypał do niej gorących kamieni. Ciało przeszywały dreszcze. Siedziała pod pierzyną pomimo zaczynających się upałów, popijając ziołowe wywary mające zbić gorączkę. Już trzeci dzień nie wychodziła z domu, odprawiała też tych, którzy przychodzili do niej.

– Choróbsko mnie wzięło. – Uchyliła drzwi sołtysowi, ale nie wpuściła go do środka. – Wróci za dwa dni, bo jeszcze się zarazi.

Nie wpuściła Majakowej, która przyjechała z Krasnej na rowerze. Powiedziała, żeby przekazała innym, aby nie nachodzili jej przez kilka dni. Majakowa zostawiła chleb i twaróg.

– Czegoś wam trzeba? – zapytała, odchodząc.

Ale Grzebielucha nie potrzebowała niczego, tylko świętego spokoju. Wiedziała, że pod jej domem kręcił się Kukła. Pewnie, że go widziała. Organista tak już się przyzwyczaił do odczyniania, że bywał u niej regularnie, czasami nawet raz w tygodniu.

– To lepsze niż spowiedź – mówił. – Znikają złe myśli, lżej się jakoś człowiekowi robi na sercu.

Kukła musiał cierpliwie poczekać do następnego tygodnia, ale kiedy pod jej dom znów przyszedł Wieczorek, roztrzęsiony, z obłędem w oczach, wpuściła go do środka. Nie chciała się nim zajmować, ale było w nim coś takiego, co ją przeraziło. Jakaś czerń wylewała się z jego spojrzenia.

– Babko, czy macie coś na grzechów odpuszczanie?

– A czy ja ksiądz jestem? – odparła Grzebielucha.

– No nie, ale różne sekrety znacie. – Wieczorek spuścił wzrok, czekając, aż Grzebielucha coś powie. Ta jednak milczała. – Nic nie poradzicie?

– A co tu radzić na grzech? Grzech grzechowi nierówny. Do spowiedzi iść, pomodlić się, prosić o przebaczenie. Jak się ma winę jaką, to trza ją odkupić.

Wyszedł od niej jeszcze bardziej zgarbiony. Długie ręce bezwładnie wisały wzdłuż ciała, nogi leniwie odrywały się od ziemi. Strasznie pokraczny był Wieczorek, kiedy tak szedł pustą drogą w stronę horyzontu czerwieniejącego od wieczornego słońca.

W tych dniach Wieczorek często chodził po lesie i któregoś razu Maślanka wracający na przełaj przez Czarny Las do Krasnej zobaczył go, jak pod drzewem zapala znicz. Przystanął i zaczął się przyglądać, bo wydało mu się to bardzo dziwne. Ani to cmentarz, ani to kościół. Garbus mamrotał coś pod nosem. Modlił się?

Całkiem pomyłony, stwierdził w duchu Maślanka i poszedł dalej, ale potem długo o tym myślał. Wracał do niego obraz klęczącego pod drzewem mężczyzny, tej żalości na jego brzydkiej twarzy. Nie dawało mu to spokoju. Kolejnego dnia wrócił więc w to samo miejsce. Pośród liści i gałązek znalazł kilka dopalonych zniczy, różaniec, zwiędłą różę. Coś śliskiego przebiegło mu po plecach. Poczucił się, jakby stał nad rozkopanym grobem, a przecież znajdował się w środku lasu, do tego jeszcze był dzień, nawet upalny, pora zupełnie niestraszna.

Nie usłyszał kroków, tylko trzask łamanej gałązki. Kiedy się odwrócił, stał za nim garbus. Miał takie dziwne oczy.

– Ona tu jest. Śpiewa. To było drzewowstąpienie. Święta Marysia sokołowska.

Maślanka odszedł z niesmakiem, oglądając się za siebie kilkakrotnie. Coś bardzo dziwnego było w tym człowieku. Coś ciemnego. Zwlekał cały dzień, zanim udał się do księdza Sabaczyńskiego. Nie wiedział, co myśleć o dziwactwach garbatego Wieczorka, ale czuł, że musi się tym z kimś podzielić.

– Powiedział, że ona tam jest?

– Tak, proszę księdza.

– To rzeczywiście dziwne, może on wie coś więcej? Może ją widział? – Ksiądz podrapał się po brodzie. – Trzeba dać znać sierżantowi Filipowiczowi.



Garbaty Wieczorek wydawał się jeszcze bardziej garbaty, pochylony i pokraczny, kiedy komendant Filip Filipowicz zadawał mu pytania.

– Podobno mówiliście, że Marysia Miśtówna jest w lesie, żeście ją widzieli?

– Komu żem tak powiedział?

– A Maślance.

– Nie pamiętam, panie milicjancie.

– Policjancie, Wieczorek, policjancie. Podobno jakieś znicze paliliście w lesie przy drodze do Krasnej?

– Może paliłem. Pomodlić się każdy może, panie policjancie.

– Ale dlaczego pod drzewem? Toż przecież kościół macie do modlenia.

Wieczorek milczał i patrzył przed siebie szeroko otwartymi oczami. Ręce skubały obszarpany materiał brzegu koszuli. Jego twarz była pozbawiona wyrazu, blada i płaska, jakby należała do wypchanej, brzydkiej lalki.

– Wieczorek, wy mi tu zaraz mówcie, co wiecie, bo inaczej pogadamy!

– Ale co ja mam powiedzieć?

– Zrobimy tak. – Sierżant Filipowicz wyprostował się, zaciągnął papierosem i westchnął. Gdy mówił, jego twarz spowił dym. – Ja teraz zapytam, a ty odpowiesz. Jeśli odpowiesz szczerze, całą prawdę, to ja to docenię i nie skopię ci ryja ani nie naślę chłopaków ze wsi, żeby zrobili coś gorszego, zgoda?

Głowa mężczyzny opadła.

– Ja mało pamiętam... – Załkał, z nosa poleciały mu smarki, które wytarł wierzchem brudnego rękawa. – Panie policjancie, ja naprawdę mało pamiętam. Myślę, że ona wstąpiła do nieba albo do lasu jak Święta Panienska.



Odnalezienie grobu Grzegorza Fabera na przykościelnym cmentarzu było właściwie niemożliwe, dlatego Jaśmina, idąc za Różą i Florentyną, nie robiła sobie nadziei na to, że go znajdą. Chciała po prostu tam iść. Przeszłość zawładnęła nimi, odkąd się dowiedziały o prastryju Grzegorzu, o pierwszej żonie dziadka, o tamtym dziecku.

Jaśmina cały czas śniła o dziewczynce, ale sny były niezrozumiałe. Ogród, płot, pokrzywy, studnia, piaszczysta droga przy lesie.

– Najpierw się dowiadujemy, że dziadek miał brata, potem, że leży on pochowany tuż pod naszym nosem. – Róża szła pierwsza, rozglądała się na boki, co chwilę kręciła głową. – Co to za porządki, żeby ukrywać takie rzeczy? Mamo?

– Różyczko, przecież to nie ja ukrywałam.

– To prawda – wtrąciła Jaśmina. – Daj mamie spokój. Przecież ona też nie wiedziała.

Róża westchnęła.

– Pewnie leży gdzie tutaj. W jakimś starym grobie bez imienia.

Przypatrywały się rzędomi omszałych kamieni, z których wiele przestało już przypominać nagrobki. Najstarszy grób z tych, na których zachowały się tablice, miał datę 1899. Ten Grzegorz był starszy o kilkanaście lat, musiał się znajdować przy samym murze, tam gdzie rozrastał się dziki powój, gdzie pachniało miodnie i trochę mdło, jakby w tej gęstwinie chwastów leżało coś, co dawno zdechło. Cmentarz był cichy tak samo jak kościół. O tej porze nie było tu nikogo, starowinki schodziły się dopiero na wieczorne nabożeństwo.

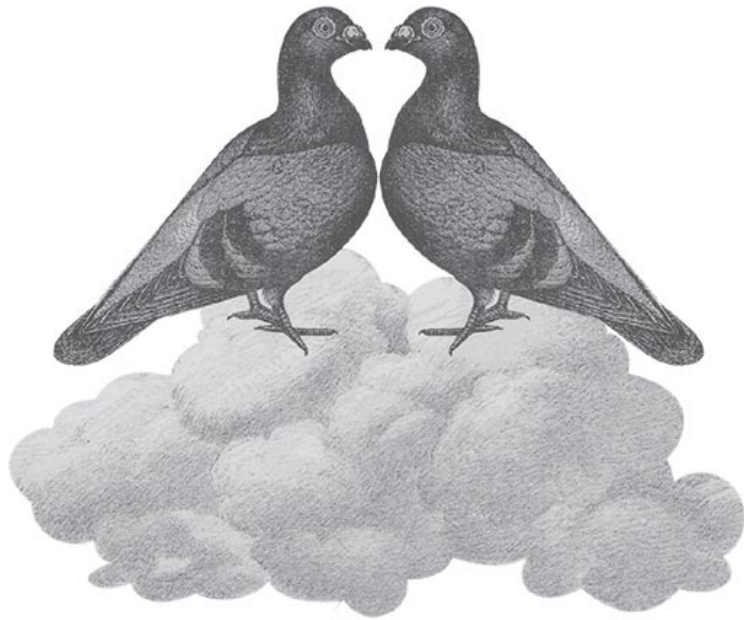
– Nie wiem, po co tu przyszłyśmy. – Róża się niecierpliwiła. – I tak nic nie znajdziemy. A nawet gdybyśmy znalazły ten jego grób, to co wtedy?

– Krew ciągnie do krwi. – Florentyna powoli sunęła wzdłuż kościelnego muru, po czym zmęczona usiadła na trawie. – Idźcie, jak chcecie, ja muszę chwilę odpocząć.

Następnego dnia, kiedy ksiądz Sabaczyński skracał sobie drogę z plebanii przez cmentarzyk, zobaczył, że pod murem, tam właśnie, gdzie usiadła Florentyna, rozrosły się błękitne dzwonki. Grzegorz Faber leżał gdzieś w tej ziemi, pod omszałym kamieniem, pod trawą i paprociami, pod płataniną korzeni i grzybni, pod resztkami obumarłych roślin, pod piaskiem i gliną, pod korytarzykami wyżłobionymi przez maleńkie podziemne stworzenia. Po tak długim czasie na pewno sam stał się częścią tej ziemi, wchłonęła go, przeżuła. Tak naprawdę nigdy nie jesteśmy niczym innym jak tą ziemią, pomyślała Florentyna, tylko przez chwilę wydaje nam się, że my i świat to osobne rzeczy.

III

O wielkiej wodzie i o tym, co przyniosła



Padło przez tydzień. Rzeka wylała najpierw na księżowskie łąki, zagarnęła przestrzeń wokół nich. Woda wezbrała mętna, szaleńcza, straszna.

– To jak nie nasza rzeka – mówiły starowinki. – Nasza rzeka łagodna, a ta woda niesie śmierć.

Rzeczywiście, w wodzie widziano potopione zwierzęta. Rzeka niosła je dumnie jak złożone jej ofiary. Ludzie bali się, że jej apetyt jest nieposkromiony, że będzie chciała więcej. Że połknie zwierzyne, domy, ludzi i drzewa, tak jak jej większa siostra zrobiła to na zachodzie Polski. Wojewoda ogłosił alarm powodziowy. Zbyt późno, nie było już czasu, żeby się zabezpieczyć przed oszalałą rzeką.

Woda zagrabiła przestrzeń, poszerzyły się leśnie strumienie, strużki zmieniały się w potoki. W Krasnej zalało młyn, woda dostała się do domu Katarzyny. Jasiek przywiózł ją do Sokołowa jeszcze tego samego dnia, ale musiał jechać naokoło, bo drogę obok Czarnego Lasu też zalało.

– W piwnicy wody po kostki, musimy zabezpieczyć resztę, wywieźć zwierzęta do sąsiadów, co wyżej mieszkają. Niech mama tu zostanie z cicią na jakiś czas.

Katarzyna nie była w Sokołowie od dawna, bo odkąd podupadła na zdrowiu, nigdzie się nie ruszała. Z zaciekawieniem rozglądała się po pomieszczeniach, które tak dobrze знаła, w których spędziła dziecięce lata. Położono ją w pokoju obok kuchni, żeby nie musiała chodzić po schodach. Już pierwszego wieczoru dawne otoczenie sprawiło, że Katarzyna pogubiła się w czasie. Zdarzało jej się to często, nawet codziennie, ale tym razem nie wydawała się jak zwykle zagubiona, lecz pełna energii, pewna tego, co mówi.

Naprawdę stała się tą Katarzyną sprzed kilkudziesięciu lat, kiedy jeszcze nie zdążyła się zakochać w młynarzu z Krasnej. Florentyna cieszyła się, że ma ją blisko siebie, choć na przestrzeni lat ich zażyłość zmalała, a po śmierci Hanuli Katarzyna nie przyjeżdżała do Sokołowa prawie wcale. Ale tak to jest, pomyślała Florentyna, patrząc na staruszkę i przypominając sobie nagle, jak ta kiedyś nosiła długie ciemne warkocze. Każdy ma swoje życie, żeby się nim zajmować, a i nawet na to czasu nie starcza, żeby wszystko zrobić, co by się chciało.

– Zaplotę ci warkocze. – Florentyna stanęła za krzesłem, na którym siedziała Katarzyna, pogryzając małe cynamonowe ciastka.

– Tylko ciasno, babciu – odpowiedziała, biorąc Florentynę za Jodełkę. – Żeby mi się nie rozwiązały jak ostatnio.

– Nie rozwiążą się. – Florentyna ujęła w dłonie cieniuchne pasma siwych włosów, właściwie to nie było już z czego pleść warkoczy.

Patrzyła na Katarzynę, na ten błysk w jej oczach, którego od dawna nie widziała. Nagle kobieta wydała jej się młodszą, jakby i ona uległa złudzeniom tworzonym przez toczącą głowę Katarzyny chorobę.

– Hanula powiedziała ci o tych zdjęciach, coście je znalazły na strychu, prawda? – Florentyna poczuła lekkie drgnięcie. Katarzyna chciała się odwrócić, ale powstrzymała ją delikatnym dotykiem. – Nie ruszaj się, bo wyjdzie krzywo. To nic, wiesz, możesz mi mówić, o czym chcesz, nie będzie mi smutno. A może i tobie lżej się zrobi, bo tajemnice jak kamienie ciążą duszy. A może i ja się dowiem czegoś, co mi pomoże zrozumieć?

– Babcia się nie gniewa? – Katarzyna westchnęła, pochłonęła na raz dwa kolejne ciastka i zaczęła trajkotać jak młoda dziewczyna, chociaż słowa wylatywały z zasuszonych ust staruszki. – Bo my wcale nie specjalnie szperałyśmy na strychu, Florcia znalazła te zdjęcia i ciekawość zżerała nas tak wielka, że nie mogłyśmy wytrzymać. Matula nie chciała mi nic powiedzieć, niech babcia nie myśli, że to papla, ale długo ją męczyłam, więc w końcu obiecała, że mi powie, kto jest na tych zdjęciach, tylko kazała mi przysiąc, że nie zdradzę tego nikomu innemu, szczególnie Florentynie. Bo mogłaby jeszcze przy babci coś powiedzieć i byłoby babci przykro... A ja teraz widzę, że babci nie jest przykro. Mama mówiła, że czas leczy rany. Ale dziadka ran chyba nie uleczył i dziadek dlatego zniknął, że zżerała go jakaś straszna wina. Może przez to, że przegnał żonę po tym, jak zaginęła córeczka.

– Zaginęła? – Florentyna wstrzymała oddech.

– Babcia wie przecież, że pierwsza córka dziadka zaginęła. Podobno uciekła, bo matka chciała wyjechać z Grzegorzem i zabrać ją ze sobą. A potem dziadunio przegnał Franciszkę, ale wtedy nie było już ani Grzegorza, ani córeczki.

– Tak było? – Florentyna bała się, że Katarzyna nagle się opamięta, że jej umysł wróci do rzeczywistości albo do jakiegoś innego czasu.

– Nikt nie wie, co się z nią stało. Chyba nigdy jej nie znaleźli.



Woda podeszła pod niebieski ogród od strony Czarnego Lasu i choć nie wyrządziła wielkich szkód, tak jak w Krasnej, to pozalewała grządki z kwiatami i warzywami, a także piwnicę w starym domu Nadziei. Gdy wychodziło się na zewnątrz, stopy tonęły w grząskiej ziemi, szczególnie tam, gdzie od strony płotu dzielącego ogród od podwórka Juchów rosły stare drzewa. Droga za płotem, ta od lasu, była błotną breją, w której nogi zapadały się na kilka centymetrów.

– Nie wygląda to dobrze. – Mikołaj zrzucił kalosze, usiadł przy stole i spojrzał na resztę rodziny. – Chyba nie obejdzie się bez ścięcia kilku drzew. Przy płocie tak podmokło, że korzenie nie mają się czego trzymać. Zresztą ta akacja to samo próchno. Zetnie się i gdy woda odejdzie, zasadzi się coś nowego.

– Niech tak będzie. – Róża skinęła głową, a reszta domowników jej przytaknęła. – Chociaż szkoda takich starych drzew.

– Stare drzewa to jak starzy ludzie – odezwała się Florentyna i ze smutkiem wyjrzała przez okno, gdzie jej ogród niknął teraz w błocie i brei naniesionej przez rzekę.



Grzebielucha patrzyła, jak strumyk, który płynął za jej domem, przybiera z dnia na dzień, zbliża się coraz bardziej, podchodzi pod płot. Nie pamiętała, żeby kiedykolwiek wcześniej jakaś rzeka w okolicy wylała tak, jak teraz. Tylko raz, przed laty, zdarzyło się, że tamy za stawami puściły. Zalało wtedy łąki i pola za Lipną, potem jeszcze przez jakiś czas ludzie znajdowali w trawie martwe ryby.

Patrzyła na pustą drogę, która ciągnęła się między krzewami dzikiego bzu. Zawsze w sierpniu zbierała owoce, teraz zastanawiała się, czy będzie co zbierać.

Niebo znów zaciągnęło się granatem. Będzie padać, pomyślała Grzebielucha i podreptała do domu. Miała zapasy, które przywieźli jej sołtys i kilka kobiet z Krasnej. Tych, co najczęściej przychodziły po poradę i po zioła. Sołtys w tych dniach jeździł po domach, rozwoził chleb, bo zalało sklepik, który na końcu Sokołowa prowadziła młoda Noszczykowa. Razem z mężczyznami ustawiali worki z piaskiem tam, gdzie rzeka wyrywała się ze swoich brzegów.

Nie udało się uratować kilku domów w dolnej części wsi. Woda w nocy podeszła pod podwórka, dostała się do piwnic, gdzie trzymano ziemniaki albo węgiel. Ludzie załamywali ręce, wobec żywiołu byli bezradni. Staruszki modliły się więcej, bardziej gorliwie, ale woda się nie cofała. Ksiądz Sabaczyński przyjął na plebanię Maślanków i Maderów, oni ucierpieli najbardziej, bo ich domy pobudowano nad samą rzeką. Reszta rodzin, których obejścia załało, rozpiezchła się po sąsiadach z górnej części wsi. Z Szunowa przyjeżdżali strażacy i policjanci, umacniano tamy, wywożono zwierzęta. Ludzie, milczący i bladzi, czekali na to, co się jeszcze zdarzy.

Być może przez tę powódź Jaśminie znów przyśniła się topielica. Dawno nie było jej w snach. Teraz prowadziła córkę Florentyny po Sokołowie, który znalazł się całkowicie pod wodą. Płynęły drogą od Maciejowych pól w górę wsi, mijały smukłe lipy i porośnięte rzęsą wodną dachy domów, a z ich kominów zamiast dymu wylatywały małe żyjątka. Topielica miała puste oczy, oczy ryby. Zatoczyła koło nad Dziubowym ogrodem, wskazała dłonią na coś w dole, między płotem a starą akacją, ale Jaśmina nie była pewna, co jej pokazuje.

Tu woda była mętna, ledwie majaczyło dno, na którym przy pochylonym płocie rosły niezapominajki. Z miejsca, gdzie stała studnia, unosiły się bąbelki powietrza, spod ziemi wychodziły małe ślimaki. To tam, zdawała się mówić topielica, ale bezgłośnie, tak że Jaśmina słyszała ją tylko w swojej głowie. To tam, powtórzyła i popłynęła dalej, teraz unosząc się na wysokości okien, kominów, czubków drzew.

Z góry wieś wyglądała inaczej, pomniejszona, ukryta pod zielonkawą wodą. Drogi między Sokołowem a Lisią Norą, Krasną i Lipną przypominały złote wstążki. Tylko las był ciemny i gęsty, jak zawsze. Topielica przyspieszyła, Jaśmina nie mogła jej dogonić. Znajdowały się już poza Sokołowem, gdzieś po drugiej stronie Czarnego Lasu. Rzeczna panna płynęła szybko, omijając ostre czubki świerków. Zostawiły za sobą polanę, jaskinię pustelnika, drogę na Krasną, dom Grzebieluchy, bagna i nieużytki, cały Sokołów. Przed nimi, również pod wodą, rozciągały się łąki, pola Krasnej i Lipnej, gdzieś zamajaczył młyn ciotki Katarzyny, dalej kaliny i gęsty bukowy las między wsiami.

Topielica się zatrzymała i odwróciła, patrząc na Jaśminę.

– To tu – powiedziała znów, nie otwierając ust. – Ona.

Coś przepłynęło koło jej twarzy, we włosy zaplątał się gołąb.

– Co chcesz mi pokazać? – Jaśmina zdołała wykrztusić z siebie kilka słów, ale poczuła wodę w nosie, ustach, płucach.

Topielica otworzyła usta, jednak nic nie powiedziała, zaśpiewała tylko głosem Marysi Miśtówny i się rozpląnęła.

Przy śniadaniu Jaśmina siedziała pochmurna, milcząca i niewyspana. Odkąd odstawiła leki od doktora Szwarca, raz czuła się lepiej, raz gorzej. Nie widywała już Nadziei w ogrodzie i sama nie wiedziała, czy cieszy się z tego, czy nie.

– Coś ci się śniło. – Róża stwierdziła raczej, niż zapytała, siadając obok z kubkiem parującej kawy.

– Śniło.

– Opowiedz.

– Kiedy to głupie, w ogóle tego nie rozumiem.

– Głupie? Co to ma znaczyć, że głupie? Zawsze opowiadałaś nam wszystkie sny, a od jakiegoś czasu trzymasz wszystko w sobie.

– Lubię rozumieć swoje sny. – Jaśmina spojrzała na siostrę, sięgnęła po jej kubek i upiła łyk kawy. – Kiedyś od razu po przebudzeniu wiedziałam na przykład, że coś się stanie. A teraz nie wiem.

– Opowiedz.

– Znowu śniła mi się topielica. I wieś pod wodą, cały świat pod wodą...

– Mamy powódź. – Róża uniosła brwi. Westchnęła. – I to też wyśniłaś, tylko nikt cię nie słuchał.

– Tak, ale to nie o powódź chodzi. – Kolejny łyk kawy. – W każdym razie nie tylko.

– Zrobię ci drugą. – Róża wstała i zakręciła się przy kuchence. Pieca używano jedynie zimą. – To o co jeszcze może chodzić?

– Ona mi coś pokazała. Tu, u nas w ogrodzie, wskazywała to miejsce, gdzie kiedyś stała studnia. A potem pokazała mi coś daleko za wsią, tam przy bukowym lesie w Lipnej. Powiedziała: „To tu”, wskazując na jedno i drugie miejsce. „Ona”. A potem zaśpiewała... zaśpiewała jak Marysia.

– Znowu ta studnia... – Róża postawiła na stole świeżo zaparzoną kawę. – A co jest w tym lesie?

– Nic. – Jaśmina wzruszyła ramionami. – Po prosu las, polna droga, początek Lipnej.



Franciszek Kukła z przerażeniem patrzył, jak rzeka zbliża się do jego chałupy. W Lipnej było zaledwie kilkanaście budynków, dom Franciszka stał zupełnie na uboczu, nieopodal lasu. Organista opierał się o ścianę gołębnika i uspokajał ptaki, które gruchały niespokojnie.

– Wy możecie latać, nie potopicie się, ale my... Co my zrobimy, jak nas zaleje?

Siedział nieruchomo przez całe popołudnie, nie zauważył nawet, że na uschniętej gałęzi drzewa, tej, która wisiała tuż nad gołębnikiem i którą już dawno powinien ściąć, usadowił się szpak. Ten sam, który przylatywał tu od dawna, był prawie oswojony.

Kukła lubił ptaki, najbardziej gołębie, wiadomo, ale leśne ptaszyny fascynowały go tak samo. Ptaki potrafiły słuchać, nie śmiały się z tego, o czym im opowiadał, były o wiele miłsze od ludzi. Przy nich nie wstydził się być sobą.

Parapet pokoju, w którym sypiał, równał się z daszkiem gołębnika i to tam spędzał najwięcej czasu, całe wieczory, czasami całe noce. Wysypywał ziarno i okruchy chleba, a potem czekał, aż zlecą się ptaki. Przylatywało ich sporo, ale tylko ten szpak stale powracał. Czasami naśladował gruchanie gołębi, co bardzo bawiło Franciszka. Szpak był drobny, nakrapiany, z żółtym dzióbkiem. Teraz, kiedy szła wielka woda, ptaki były wystraszone, niespokojne.

– Boicie się? – pytał je Franciszek Kukła i dodawał innym głosem, w którym były ciemność i ziemia: – Bójcie się.



Wieczory, kiedy siedzieli przy stole, bardzo się dłużyły. Lampa naftowa kopciała, kot wstawał z legowiska za piecem i łasił się do nóg. Franciszka podawała kolację, najpierw mężowi, potem Grzegorzowi, następnie Rozalii i sobie. Mateusz odmawiał krótką modlitwę. Jedli w milczeniu, dopóki starszy z braci nie zaczynał mówić o tym, jakie nowe zamówienia dostał od klientów z Szunowa albo jak w przyszłym roku wzrosną ceny ziemi i zboża.

– Można będzie sprzedać – wtrącił Grzegorz, ale Mateusz postął mu spojrzenie pełne piorunów.

– Nigdy.

– To nie tylko twoja ziemia.

– Nie moja? A gdzieś był przez te lata, gdy tylko ja się nią zajmowałem, żeby nie stała ugorem? Gdy ojciec chodzić już nie mógł, gdy latałem między polem a warsztatem, gdy spałem po pięć godzin albo nie spałem wcale, bo od tej pracy ciało odzwyczaiło się od snu i wygod. No, gdzieś był? Gdy rodzice się pochorowali i nie miał się nimi kto zająć?

Grzegorz nie odpowiedział, ale zrobił się czerwony na twarzy, złość wyciekała przez zaciśnięte powieki. Franciszka poganiała Rozalię, spuszczała głowę i kończyła jeść w milczeniu. Tak było prawie za każdym razem, kiedy jadali wspólnie, ale zazwyczaj Mateusz pracował w warsztacie do późna. Miał teraz specjalne zamówienie na meble do szunowskiej szkoły dla dziewcząt z dobrych domów. Świetna okazja, żeby pokazać swoje rzemiosło – gdyby polecili go dalej, mógłby nawet zatrudnić pracowników.

Franciszka uśmiechała się, gdy mąż opowiadał o swoich planach, ale w środku była pusta i smutna. Nie podobało jej się, jak Mateusz traktuje swojego młodszego brata. Przecież to bohater, myślała. Na wojnie był. Nie każdy do pracy stworzony.

Kiedy zaczęła się zima, było im coraz trudniej spotykać się po kryjomu. Mijając się w kuchni czy na schodach, ocierali się o siebie, niby przypadkiem, rzucali wyglodniałe spojrzenia, uśmiechali się samymi oczami, bez ust. Nocami Franciszka nasłuchiwała, czy Grzegorz śpi, a gdy słyszała jakieś odgłosy, wychodziła z łóżka, szła na dół, wybudzonemu Mateuszowi mówiła, że idzie do wychodka. I czasami rzeczywiście spotykali się pod wychodkiem, który osłonięty potężną lipą nie był widoczny z okien sypialni.

Ale zima była mroźna, nie sprzyjała nocnym schadzkom.

– Musimy coś zrobić, bo ja tak nie wytrzymam – mówiła do Grzegorza, łapczywie oddając jego pocałunki.

– Zrobimy – odpowiadał. – Sprzedam tę ziemię. Mam już kupca.

Trochę ją to przeraziło, ta stanowczość i bezwzględność, nieliczenie się z Mateuszem. Do męża natomiast zaczęła czuć coś na kształt litości. A może były to po prostu wyrzuty sumienia, które spychała na samo dno świadomości, w głąb siebie, gdzie było czarno i smutno?

Tydzień przed Bożym Narodzeniem Grzegorz stanął za nią w kuchni, kiedy rano rozpałała w piecu. Mateusz był już w warsztacie, a Rozalia jeszcze spała.

– Spakuj najpotrzebniejsze rzeczy, za trzy dni wyjedziemy.

– Co? – Odwróciła się bardziej przestraszona niż ucieszona.

– Sprzedałem ziemię.

– Ale tak przed świętami? – Franciszka poczuła dziwny smutek na myśl o tym, że ma opuścić dom i Mateusza przed Bożym Narodzeniem. – To trochę... Nieodpowiednie?

– Szkoda ci tego durnia? – Grzegorz zaśmiał się, a ona spąsowiała. Odwróciła się, żeby tego nie zauważył.

– Dziecko czeka na choinkę, na wigilijną wieczerzę. – Wzruszyła ramionami. – Sam wiesz, jak to jest z dziećmi.

– Dobrze, niech ma tę swoją wieczerzę. Ale zaraz po świętach wyjeżdżamy. Wiesz, jak jej to powiedzieć, żeby nie wygadała?

– Powiemy jej przed samym wyjazdem.

– Jak chcesz.

– Dokąd pojedziemy, Grzegorzu?

– Jak to dokąd? Do Warszawy. – Uśmiechnął się, a w tym uśmiechu było wszystko, czego potrzebowała: obietnica, namiętność i tajemnica. – Mówiłem ci o moim kamracie z wojska, pomoże nam się urządzić. Zresztą nie jesteśmy gołodupcami, teraz mamy pieniądze. Myślę o otwarciu jakiegoś sklepu, Żydzi potrafią robić interesu, to co, ja nie potrafię?

Franciszka rzuciła mu się na szyję, nie kryjąc łez wzruszenia. W tej samej chwili do kuchni weszła Rozalia. Dziewczynka chwilę stała w progu, przysłuchując się rozmowie dorosłych.

– Gdzieś wyjeżdżamy? – zapytała, patrząc na matkę i stryja.

Franciszka szybko, zbyt szybko, odsunęła się od Grzegorza. Poprawiła włosy i zaczęła rozstawiać na stole talerze.

– A chciałybyś? – zapytała, posyłając jej grymas, który miał być uśmiechem.

– No, nie na zawsze – odparła dziewczynka.

– Szykujemy taką niespodziankę. – Grzegorz przykucnął, jego twarz znalazła się na wysokości twarzy Rozalii. – Dlatego nie możesz pisnąć ani słówka swojemu tatkowi.

– Czy to niespodzianka dla niego?

– Tak. – Grzegorz wstał i się zaśmiał. – Dla niego.

Rozalia nie myślała o tym więcej, ale potem jeszcze kilka razy widziała matkę i stryja, jak szepczą między sobą, jak tak dziwnie na siebie patrzą. Wcale jej się to nie podobało. Nie chcieli, żeby z nimi przesiadywała, zawsze gonili ją na dwór albo do książek. Czuła, że chcą być sami. Rozumiała to, choć miała dopiero dziewięć lat. Czasami było jej z tego powodu smutno, ale była przyzwyczajona, bo matka zawsze pozostawiała ją samej sobie.

– Gdyby mój tatuś nie stracił majątku, miałabyś nianię – powtarzała Franciszka. – Mamusie nie mogą cały czas opiekować się córeczkami. To zbyt męczące.

Czasami matka pozwalała jej posiedzieć w swojej sypialni i obserwować, jak się stroi. Wkładała wtedy swoje najpiękniejsze sukienki. Miała dwie, jeszcze z czasów panieńskich, których nie nosiła nigdy, bo jak mówiła, to zbyt wykwintne stroje na wieś. Upinała włosy i nawet czerwieniła usta, czego nie zrobiłaby nigdy przy Mateuszu. Zostało jej też kilka par kolczyków i pozwalała Rozalii wybrać te najbardziej pasujące do stroju.

Potem się bawiły, udając, że Franciszka jest księżniczką, a Rozalia jej służącą.

– Czy podać herbatę, jaśnie pani? – Dziewczynka powtarzała wyuczoną kwestię z namaszczeniem. – Czy wypije pani na tarasie, czy w swoich pokojach? Suknia gotowa, jaśnie pani, ma pani dziś cerę jak świeże mleko, księżę będzie zachwycony.

Franciszka chichotała, przechadzała się po pokoju, a Rozalia, zadowolona z tego, że matka w końcu poświęca jej czas, biegała za nią uradowana. Potem, kiedy opadały na łóżko, śmiech rozpląwał się w powietrzu i nastawała między nimi cisza. Franciszka ze złością zrzucała sukienkę, zrywała kolczyki i czochrała włosy. Patrzyła w lustro na ścianie, nad którym wisiały święte obrazki jeszcze po teściach.

– Idź do siebie poczytać – mówiła do córki zmienionym głosem, a Rozalia rozumiała, że oto nastał koniec zabawy i śmiechów.

Wychodziła cichutko z pokoju. Franciszka siedziała nieruchomo, wpatrzona w okno wychodzące na ogród, przez które dobiegały przytłumione dźwięki z warsztatu. Nie wiedziała nawet, że jej pięści zaciskają się tak mocno, iż paznokcie znaczą wnętrza dłoni krwawymi półksiężycami. Czuła czarną, lepką nienawiść. Nienawidziła dziedziczki z dworu za jej piękne suknie i perły w uszach, nienawidziła swoich dawnych przyjaciółek, od których listy przestały przychodzić i które nie zabiegały już o jej przyjaźń. Nienawidziła swojego męża, jego warsztatu, wiejskiego domu i zarośniętego ogrodu. Nienawidziła też trochę swojej córki, bo przypominała jej o tym, czego nigdy nie będzie mieć.



Ksiądz Sabaczyński nie mógł spać, bo ciasno mu się zrobiło na plebanii. Dwie rodziny przeczekujące u niego powódź zajmowały trzy pokoje, on sam musiał się pomieścić w swoim prowizorycznym gabinecie na rozkładanej wersalce przywieszanej przez sołtysa. Sołtys zjawiał się każdego wieczoru, oprócz siatek z jedzeniem przywoził nowiny.

– Powódź się cofa, rzeka wraca do koryta. Przyjadą z Szunowa pomóc nam w sprzątaniu, będzie pomoc dla najbardziej pokrzywdzonych.

Proboszcz był zmęczony, co dzień w modlitwach prosił o koniec tego zamętu, tego ludzkiego nieszczęścia. Modlił się przed ołtarzem sokołowskiej Zielnej Panienki i nie mógł się oprzeć wrażeniu, że ta patrzy na niego z obrazu, przygląda się jego szepczącym słowom modlitwy ustom, trochę się uśmiecha. Dziwna wydawała mu się Maryjka i chciał nawet zapytać ją o to, czy jest matką jego Boga, czy może tą, którą przed wielu laty, przed dwiema wielkimi wojnami, spotkał ówczesny proboszcz. Nie zapytał jednak. Jak każdy ksiądz trochę bał się bluźnierstwa, a trochę tego, co mogło się okazać prawdą.

Modlił się w ciszy w ciemnym kościele i chyba tylko dlatego ten, kto wszedł od strony zakrystii, go nie zauważył. Ksiądz usłyszał jakieś szmery dopiero po dłuższej chwili i w pierwszym odruchu zwrócił oczy ku ołtarzowi, jednak potem zląkł się, że ma w kościele włamywacza. Wstał i schował się za kolumną, wytężając wzrok, żeby dostrzec coś w ciemności. Jedyne światło spływało z wiecznej lampki, trochę czerwoności przebijało też przez wysoki witraż.

Ksiądz zobaczył jakąś sylwetkę płaczącą się niczym jeden z cieni, których tak wiele było w nocnym kościele. Wstrzymał oddech. Wyraźnie słyszał głuchy dźwięk kroków na posadzce, ciche posapywanie, odgłos przestawianych przedmiotów. Zwrócił oczy ku sokołowskiej Maryjce, prosząc ją o odwagę, po czym postąpił naprzód, prosto w mrok, prosto na tego, który stał w ciemności.

Proboszcz Sabaczyński w tamtej chwili spodziewał się wszystkiego, ale nie tego, że tej nocy stanie się świadkiem sokołowskiego cudu. Stał oniemiały, patrząc, jak Mirek Maślanka pochyła się nad kropielnicą. Cichy szum odbijał się echem od kamiennych ścian. Ministrant trzymał w ręku butelkę wina Byk, które ciurkiem wlewał wprost do aspatorium.



W ostatnich snach Jaśmina znów widziała wszystko oczami Rozalii, a każdy ze snów był jak cząstka opowieści, z których składa się całość. Widziała Franciszkę i Grzegorza, ich potajemne schadzki w ogrodzie i na leśnej polanie. Szła za nimi, delikatnie stawiała stopy, uważając na kruche, trzeszczące gałązki. Rozpoznawała w ciemności ich sylwetki, jej długą i chudą, z falami włosów, które niesfornie umykały upięciom. Jego potężną, szeroką, jakby jakieś zwierzę przedzierało się przez mrok.

Smok, pomyślała najpierw, ale zaraz poprawiła się w myślach. Albo wilk. Bała się, że pewnego dnia wilk zje mamę. Chodziła za nimi niezauważona, bo dawno już nauczyła się taką właśnie stawać – cichą, prawie niewidzialną, nieprzeszkadzającą nikomu. Spędzała czas ze zwierzętami z podwórka, najbardziej lubiła psa, który mieszkał w dużej budzie. Często wchodziła tam i przytulała się do jego szorstkiej sierści, głaskała go tak, jak lubił, za uszami i pod brodą, karmiła wynoszonymi po kryjomu z domu przysmakami. Pies machał ogonem i ślinił się, gdy tylko ją widział. Franciszka denerwowała się wtedy:

– Nie daj mu na siebie skakać, pobrudzi ci sukienkę.

Ale Rozalia nie przejmowała się ani brudną sukienką, ani matczynym upominaniem. Czasami celowo chowała się w budzie, wiedziała, że tam nikt nie będzie jej szukał. Cichutko się śmiała, zatykając sobie buzię, kiedy matka chodziła po podwórku, wołając ją, a ona nagle pojawiała się ni stąd, ni zowąd, a pytana, gdzie była, mówiła, że przecież cały czas była tutaj.

Tylko staremu psu opowiedziała o tym, że mama i stryj Grzegorz chcą uciec z Sokołowa.

Początkowo nawet się cieszyła, gdy mówili o wyjeździe, o niespodziance, ale przestała im wierzyć, kiedy potem podsłuchiwała niektóre ich rozmowy. Padło w nich dużo słów, które wcale jej się nie podobały. Stryj Grzegorz to naprawdę wielki zły wilk z bajki, pomyślała i zaczęła się go bać. Gdy wchodził do kuchni, spuszczała wzrok i zaraz wybiegała na podwórko. Unikała go, nie chciała, żeby na nią patrzył. Przy nim nawet mama robiła się inna, zwęzłały jej się oczy i rozchylały usta. Ciekawe, czy tatko też to zauważył, zastanawiała się.

Przed samą Wigilią tatko przyniósł drzewko, a ona spędziła cały poranek, przygotowując ozdoby i pomagając Franciszce w pieczeniu. Grzegorza nie było od rana, więc trochę się ucieszyła, że może spędzą Wigilię we trójkę. Mama mogłaby wtedy nie robić takich dziwnych min i naprawdę słuchać, co się do niej mówi.

– Stryjka nie będzie? – zapytała, nie podnosząc wzroku i mając nadzieję, że ktoś z rodziców potwierdzi jej przypuszczenia.

– Będzie potem, jeśli wróci trzeźwy – rzucił Mateusz, ubijając tytoń w fajce.

– A gdzież on? – Franciszka nie odwróciła się, pytając. Bała się, że jej twarz zdradzi coś, co wolałaby ukryć.

– Kuźmińskie chłopaki wróciły przecież. – Mateusz zakaszłał, zorientował się, że Franciszka nie wie nic o starych kamratkach jego brata. – Kiedyś służyli razem, a jeszcze wcześniej to z każdej zabawy wracali na czworakach. Dzisiaj wymyślili, że z młodymi pójdą kolędować jak za dawnych czasów. Wódki im się chce, ot co!

Franciszka zacisnęła usta, Rozalia zauważyła, jak jej twarz stężała.

– Jak to mężczyźni. – Kobieta otarła pot z czoła i usiadła przy stole, na którym między bakaliami plątały się zrobione przez Rozalię papierowe ptaszki i aniołki. – Wyszaleć się muszą.

– On już się naszalał. – Mateusz machnął ręką i wstał. Zanim otworzył drzwi do ogrodu, powiedział jeszcze: – Gdyby to nie był mój brat rodzony, mógłbym ci poopowiadać... Ale nie godzi się takich rzeczy przy kobiecie.

Twarz Franciszki z czerwonej zrobiła się biała jak śnieg za oknem.

– Co się stało, mamusiu?

– Nic – odparła sucho głosem nieprzyjemnym jak trzeszczące deski na podłogach starych strychów. – A co się miało stać?

– Zmartwiłaś się przez stryjka? Bo... Bo mieliście zrobić niespodziankę?

Franciszka omiotła wzrokiem córkę, która wpatrywała się w nią szeroko otwartymi oczami. Rozalia czekała na to, co powie matka, ale ta milczała.

– Nie chcę uciekać ze złym wilkiem – powiedziała cichutko dziewczynka.

– Co takiego? – Franciszka nie dosłyszała lub nie zrozumiała, o czym mówi jej córka.

– Nie chcę uciekać ze złym wilkiem! – wrzasnęła, kopnęła krzesło, które przewróciło się z hukiem, i zapłakana wybiegła z kuchni.



Ksiądz Sabaczyński siedział zatopiony w lekturze zapisków w starym sumariuszu. Fascynowały go, bo wyłaniał się z nich obraz czegoś tajemnego, ukrytego. Może prawdziwego cudu, nie takiego, jaki zgotował im Maślanka i jego tanie wina.

Proboszcz nikomu nie wspomniał o tym, co zobaczył wieczorową porą w pustym kościele. Był wściekły na ministranta, ogarnęła go taka złość, że prawie uderzył chłopaka w twarz. Jednak tylko szarpnął nim, aż butelka wyleciała mu z rąk i potoczyła się pod boczny ołtarz. Tanie wino zatrzymało się pod stopami sokołowskiej Zielnej Maryi, w powietrzu uniósł się siarczany zapach. Zapach taniego trunku, nie diabła, choć w tamtej chwili ksiądz nie miał pewności. Maślanka potknął się i upadając, uderzył głową o kropielnicę. Skulił się teraz na posadzce wystraszony, z szeroko otwartymi oczami, bliski płaczu.

Ksiądz usiadł w ławce, podniósł z podłogi butelkę i zamknął oczy. Czekając, aż opuści go złość, czuł na sobie kpiące spojrzenie Zielnej Panienki. Maślanka się zerwał i zaczął przeproszać, plątały mu się nogi, spojrzenie i słowa. Kapłan uciszył go gestem.

– Wyjdźmy stąd – powiedział. – Dość już się dzisiaj święci napatrzyli.

Na plebanii świeciło się w jednym oknie: to ktoś z przeczekujących tu powodzian też nie mógł spać. Duchowny poszedł kawałek w stronę cmentarza, tak żeby nie widziały ich żadne ciekawskie spojrzenia. Przycupnął na drewnianej ławeczce obok starego grobu kogoś od Noszczyków. Wyjął paczkę papierosów, zapalił jednego. Maślanka spojrzał na niego ze zdziwieniem, nie wiedział, że ksiądz pali.

– Dlaczego to zrobiłeś? – zapytał proboszcz.

– Nie wiem. – Głos chłopaka był matowy i cichy, lekko drżący, jakby na granicy płaczu.

– Jak to nie wiesz? A wiesz, dlaczego rano wstajesz? Dlaczego jesz śniadanie, idziesz na autobus, jedziesz do szkoły? Wiesz, dlaczego przychodzisz na msze, umawiasz się z chłopakami na boisku, patrzysz na dziewczyny?

– Bo tak to już jest – odpowiedział Mirek ze spuszczoną głową. – Nie myślę o tym, tylko robię, proszę księdza.

– A o tym też nie myślałeś?

– Nie, proszę księdza. Nie za pierwszym razem.

– Więc nie możesz mi powiedzieć, dlaczego to robiłeś? Dlaczego oszukałeś tylu ludzi? Pomóż mi zrozumieć, a ja pomyślę, co z tobą zrobię.

– Za pierwszym razem to byłem głupi. Głupi, proszę księdza, chciałem zrobić psikus, żart, żeby tylko organista to zobaczył i pomyślał, że cud... Potem miałem podmienić wino na wodę i zrobić z niego głupka. Ale ksiądz zobaczył to pierwszy i już było za późno. Stało się.

– A potem? – Kapłan popatrzył na chłopaka, którego twarz była tak samo blada jak księżyc, który przyczał się za kościelną wieżą.

Gdzieś po murze przebiegł kocur, coś zakwiliło wysoko w gałęziach drzew, nad dachem plebanii przeleciał nietoperz. Noc była ciepła, wilgotna, pachnąca nocnymi kwiatami i trochę zgnilizną, której zapach szedł od rzeki, od rozmokłych łąk.

– Bo, proszę księdza, po tym pierwszym cudzie to wszystko się zmieniło, nie zauważył ksiądz? Ojciec przestał dawać w palnik, matka zadowolona prowadziła dom, gotowała, robiła mi śniadania do szkoły. Co niedzielę zaczęli chodzić do kościoła, cały czas tylko o cudzie gadali, o tym, że trzeba się zmienić, skoro się w świętej ziemi mieszka. A inni to co? U Noszczyków siostry się pogodziły, a każdy wie, że od lat ze sobą nie rozmawiały. Ludzie jacyś weselsi się zrobili, każdy miał powód. Dla każdego ten cud to było co innego. Dlatego musiałem jeszcze raz, ale to nie ze złego serca, proszę księdza, niech mi ksiądz uwierzy.

Proboszcz wyjął drugiego papierosa i wypalił go w milczeniu. Cisza zrobiła się natarczywa, niewygodna, ciasna jak trumna. Tylko jakaś sowa zapiszczała w ciemności, zaszczekały psy w dole wsi.

– Koniec cudów, Mirek. – Ksiądz Sabaczyński zgasił papierosa. – Wracaj do spania. Ja tu jeszcze chwilę posiedzę.

Siedział jeszcze długo, siedział i myślał. Nie przyszedł mu z pomocą żaden święty, sam musiał postanowić, co zrobić z Maślanką. Panie Boże, pomyślał, czy to grzech, jeżeli ktoś dopuścił się kłamstwa, żeby czynić dobro? Nie odpowiedział mu nikt, tylko sowa zahukała w czarnych drzewach. Noc była już głęboka, w żadnym domu we wsi nie paliło się światło. Tylko Jaśmina siedziała jeszcze na okiennym parapecie wpatrzona w ogród.

Księżyc zawisł nad starym domem Nadziei i oświetlał srebrzystym światłem połacie dachu. Jaśmina myślała, że może znów ujrzy siostrę, ale odkąd odstawiła leki od doktora Szwarca, nie widywała już żadnych rzeczy w ogrodzie: ani siostry, ani jej psów, ani lisa, ani

świni Marioli. Czasami tylko Nadzieja zjawiała się w jej snach, ale nie były to takie same sny jak te, w których naprowadziła ją na ukrytą w ścianie szkatułkę. Teraz rzeczna panna, która śniła jej się tak często, próbowała jej coś powiedzieć, jednak takie sny jak te, sny znaczące, nie zawsze są łatwe do odczytania.

Jaśmina zapisywała wszystko i czekała na kolejny znak, na wskazówkę. Jednocześnie śnił jej się stary Sokołów, a każdy taki sen był jak mniejsza część opowieści. Czuła, że sny o topielicy i sny o przeszłości Sokołowa jakoś się łączą. Ale było też coś jeszcze, coś, co topielica chciała pokazać jej poza niebieskim ogrodem, daleko za Czarnym Lasem.



Kiedy ludzie się dowiedzieli, że garbaty Wieczorek został zatrzymany, powódź już była w odwrocie. Powoli schły księżowskie łąki, woda cofnęła się spod młyna w Krasnej, strumyk pod domem Grzebieluchy wrócił do dawnych rozmiarów. Szkód nie było tyle, co na zachodzie Polski, jednak woda zostawiła po sobie zniszczone stodoły i piwnice, powalone płoty, gdzieś tam wybiła z podwórkowych studni.

– Zawsze wydawał mi się strasznie dziwny – mówili ludzie o garbatym Wieczorku.

– Łaziło toto zawsze koło lasu nie wiadomo po co – dodawali inni.

– Dziwak – wtórowała reszta. – Wariat. Zboczeniec. Morderca.

Ale podobno Wieczorek nie przyznał się do zabicia Marysi. Powiedział policjantom, że dziewczyna zniknęła po tym, jak niechcący uderzył jej głową o drzewo.

– Ja nie chciałem, panie policjancie, ja naprawdę nie chciałem zrobić jej krzywdy. Ja chciałem tylko dotknąć jej skóry, nie chciałem zrobić nic złego. – Powiedział, że Marysia to święta, która wtopiła się w las. – Jak prawdziwa Święta Panienka, panie policjancie, rozplynęła się w lesie.

Nikt nie dawał wiary słowom Wieczorka, wszystkim wydawało się oczywiste, że mężczyzna zamordował dziewczynę, po czym pochował ją tak, że nawet policyjne psy nie mogły znaleźć jej ciała w Czarnym Lesie. Stąd ten jej śpiew, który czasami było słycać wysoko, między gałęziami. Komendant Filipowicz jednak coraz częściej marszczył czoło, skubał ciemny wąs, jak to miał w zwyczaju, kiedy głęboko nad czymś rozmyślał.

Coś nie dawało mu spokoju, coś było zbyt proste, zbyt oczywiste. Poza tym skoro zatrzymany już się przyznał do tego, co zrobił, po co miałby kłamać na temat jej zniknięcia? Brak ciała to brak dowodu, to fakt, ale coś mówiło sierżantowi Filipowiczowi, że Wieczorek nie kłamie, że jest zbyt głupi i zbyt przestraszony, żeby celowo zatajać miejsce, w którym ukrył ciało.

– On tego nie wie – powiedział sierżant na głos, choć mówił tylko do siebie, bo w pomieszczeniu oprócz niego nie było nikogo. – Weźmy garbusa na rozeznanie – mruknął do posterunkowego Pietruszki. – Zobaczymy, ile naprawdę wie, ile pamięta.

Kiedy komendant Filipowicz zatrzymał policyjną nyskę i wysiadł z niej z dwoma mundurowymi i Wieczorkiem, aż się wzdrygnął na widok lasu. Niby to był ten sam las co zawsze, ale teraz wydawał się złowrogi, pełen cieni i tajemnic, z potencjalnym trupem młodej dziewczyny ukrytym pod jakimś wykrotem. Sierżant wziął głęboki oddech i postąpił naprzód. Bał się tego, co mogą znaleźć między drzewami.

Wieczorek, pochylony bardziej niż zwykle, milczący, skurczony w sobie, ledwie włókł się noga za nogą. Dwóch posterunkowych nie kryło wobec niego swojej pogardy. Oni też bali się tego, co mogą zobaczyć. Jednak Wieczorek zaprowadził ich zarośniętą ścieżką pod to samo drzewo, pod którym wciąż leżało kilka wypalonych zniczy i gnijące kwiaty.

– To tutaj, to tutaj ją zostawiłem – powiedział drżącym głosem. – Leżała tu, ale oddychała. Chyba.

Któryś z policjantów zaklął pod nosem, inny rzucił jakieś brudne słowo w stronę Wieczorka, aż ten skulił się jeszcze bardziej. Zimny dreszcz przebiegł po plecach komendanta, kiedy tak stał i patrzył na te rzucone pod drzewo kwiaty, tanie znicze, które można kupić na bazarku w Szunowie. Może tylko mu się wydawało, ale poczuł, że nagle zrobiło się chłodniej, jakby jakiś wiatr wdarł się między drzewa, niosąc ze sobą ten ziąb.

W tej samej chwili gdzieś nad ich głowami rozległ się cichutki śpiew. Głos jak drżenie, wibrujący, dźwięczny, dziewczęcy. Coś śpiewało między gałęziami drzew Czarnego Lasu. Wieczorek padł na kolana i szlochając, zaczął się modlić. Młody posterunkowy wytrzeszczył oczy, obrócił się kilka razy wokół siebie i przeżegnał szybko, tak żeby nikt tego nie zauważył.

Śpiew po chwili ucichł, ale jego echo zostało w głowie sierżanta Filipowicza jeszcze na długo. Kiedy potem myślał, co powie

sołtysowi, w końcu swojemu przyjacielowi, usłyszał z zewnątrz jakieś kwilenie, jakby ktoś męczył kota. Ale to tylko bawiące się dzieciaki wygłupiały się pod oknem pani Kwiecińskiej, która opiekowała się kilkunastoma kocurami. Sierżant przez chwilę wsłuchiwał się w ich głosy, które zamilkły po tym, jak pani Kwiecińska otworzyła okno i zrugła ich, nie szczędząc słów. Sierżant uśmiechnął się pod wąsem.

– Tak – powiedział sam do siebie, jak to miał w zwyczaju. – Mamy tu jakiegoś przedrzeźniacza. – Zamyślił się nad wspomnieniem dziewczęcego głosu, który tego samego dnia słyszał między drzewami Czarnego Lasu. – Może Juch miał wtedy rację? Czy to możliwe, że jeśli szpak wciąż śpiewa, to ona gdzieś tam jest?



Grzebieluchę coś trapiło, nie mogła usiedzieć na miejscu. Trapiło ją, że garbaty Wieczorek przychodził do niej, skarżąc się na wyrzuty sumienia, a ona nie chciała go wysłuchać, jak głupia wyganiała do księdza. A mogła pociągnąć za język, wypytać, co to za grzech gryzie jego garbate sumienie. Może dowiedziałyby się czegoś, w takich sprawach wiadomo, że im wcześniej, tym lepiej.

Dręczyło ją to, że pomimo zatrzymania mężczyzny Marysi nadal nie było. Czyżby miał rację Wieczorek, że dziewczyna zniknęła, jakby się rozplynęła? Jednak ona sama nie odczuwała jej obecności między drzewami Czarnego Lasu, a każdy we wsi wiedział, że ona takie rzeczy potrafiła wyczuć. Kiedy przed laty zniknęła żona sołtysa, ona od razu powiedziała mu, że nie ma co czekać, nie wróci, lepiej córkami się zająć, za nową żoną rozejrzeć.

Ale wtedy sprawa była jasna, bo wraz z sołtysową żoną zniknęły dokumenty i kosztowności. Potem ktoś podobno widział ją w pociągu do Wrocławia, ale czy to na pewno była ona, nie sposób powiedzieć. Grzebielucha pomyślała, iż sołtys Miśta musi być naprawdę zdruzgotany, że z jego domu zniknęła kolejna kobieta. Od powodzi jej nie odwiedził, był zbyt zajęty organizowaniem pomocy. Ale teraz, gdy woda już opadła, znów przyszedł do niej i nie odzywając się, usiadł za stołem.

Grzebielucha zaparzyła zioła, zapaliła świece, okadziła go tak, jak należy – z każdej strony, szepcząc pod nosem sobie tylko zrozumiałe słowa. W pomieszczeniu rozniósł się gorzki zapach. Miśta oddychał

głośno, coś szemrało mu w płucach. Postarzał się sołtys przez ostatnie miesiące. Głowa siwiuteńka, twarz zapadnięta, od tego smutku chyba, pomyślała kobieta.

– On przychodził do was, prawda? – zapytał sołtys po długim milczeniu. Nie musiał mówić, o kogo pyta, Grzebielucha to wiedziała.

– Przychodził, tak jak inni przychodzą.

– Widziała babka w nim coś... dziwnego?

– Czy widziałam? – Wzruszyła ramionami, usiadła naprzeciwko sołtysa, patrząc mu prosto w oczy. – A com miała nie widzieć? Toć każdy widział. A bo to on jeden taki, żeby tylko w nim co dziwnego widzieć? W ludziach jest ciemność. – Staruszka oparła łokcie na stole, zbliżyła twarz do sołtysa. Pachniała mokrą wełną. – W niektórych tyle, że lepiej głębiej nie zaglądać.

– Babka widziała w nim tę ciemność?

– Widziałam.

– Nie pomyślała babka, że... – Nie dokończył, bo Grzebielucha poderwała się nagle, zgasła świecę i popatrzyła na sołtysa tak, jakby to patrzył zupełnie ktoś inny.

– A co ja miała pomyśleć?

– Przepraszam. – Sołtys opuścił głowę, wstał i ruszył ku wyjściu.

– Niech przyjdzie za tydzień – rzuciła za nim Grzebielucha.

Przed domem staruszki minął się z Kukłą, który jękając się, go pozdrowił.

– Babko, co wiecie o diable? – zapytał organista, siedząc już przy stole, tam gdzie jeszcze przed chwilą siedział sołtys.

– O diable? – Grzebielucha przysiadła i zmrużyła oczy.

– No t-tak, o d-diable. – Mężczyzna poprawił zsuwające się z nosa okulary. Jego spojrzenie błędziło po całej izbie. – Jak diabeł wchodzi w człowieka? Czy przez głowę, czy może przez sny? Jak zastawia pułapki? Skąd przychodzi? Spod ziemi?

– Każdy ma swojego diabła – odparła Grzebielucha, po czym zamilkła, a Franciszek Kukła nadal się miotał. Sokołowski organista bardzo bał się piekła.

Jak to swojego, pomyślał, a to nie jest jeden tylko szatan? Czyżby było ich tylu, że na wszystkich ludzi po jednym starcza? To byłoby okropne, tyle diabłów, gdzież one się mieszczą? Podejrzewał, że diabły śpią głęboko w ziemi jak ślepe zwierzęta.

Pamiętał, że babka opowiadała mu o mieszkających w korzeniach drzew biesach. O tym, jak wychodzą na powierzchnię zwodzić ludzi. Od dziecka wypatrywał ich, będąc w lesie. Kilka razy widział nawet,

jak coś porusza się pod poszyciem, już prawie widział, jak wylania się spod zeschniętych liści, ale nie miał w sobie tyle odwagi, żeby stać i patrzeć, zawsze uciekał. Uciekał, myśląc, że te diabły spod leśnego runa idą za nim, podążają jego krokami, śledzą każdy ruch, wchodzi do jego domu przez okienne szpary albo komin. Cały czas czuł na sobie śliskie spojrzenia ich oczu. Złe spojrzenia, pod którymi swędziała skóra. Wiedział, że patrzą na niego z ciemności, że nawet kiedy ich nie widzi, to one widzą jego.

Czasami miał wrażenie, że coś spogląda na niego z dołu, tam gdzie w podłogowych szparach zbierały się kłębki kurzu. Opadał wtedy na kolana i wpatrywał się w ciemne szczeliny. Wydawało się, że czerń za nimi jest nieskończona, że ciągnie się w dół, do samych trzewi ziemi, a nawet i dalej, w zimną wieczność. W nocy widział, jak między tymi szczelinami przesącza się czerwona poświata. To piekło, pomyślał zatrwożony. Tu zaczyna się piekło.

Odkąd to zrozumiał, nie stawiał stóp na złączeniach desek. Nocami słyszał, jak klepki podłogi skrzypią, choć przecież w domu nie było nikogo oprócz niego. Zaciskał mocno powieki, chował się cały, wraz z głową, pod pierzynę, aby tylko nie patrzeć, nie widzieć tego, co mogło się kryć w ciemności.

Przed snem rozsypywał w kątach pokoju zioła, które przynosił od Grzebieluchy, bylicę i dziurawiec, wszystko, co mogło odpędzić Złego. Na szyję zakładał różaniec, wciąż pachnący egzotycznym drewnem, przy łóżku stawiał świętą ikonę, którą babka Olga Kukłowa przywiozła ze sobą zza Bugu. Ikona, z której spoglądał Święty Drogo, była ulubionym przedmiotem Franciszka Kukły, odkąd pamiętał. Kiedy był małym chłopcem, nie mógł oderwać wzroku od misternych złotych zdobień, zadumanej twarzy świętego, jego półuśmiechu. Wydawało mu się, że święty uśmiecha się tylko do niego, że ten jeden kącik jego ust podnosi się wtedy, gdy akurat babka Olga przymyka oczy w modlitwie.

To, że i on stracił matkę przy narodzinach tak samo jak Święty Drogo, sprawiło, że poczuł z nim szczególną więź. Do tego Święty Drogo był patronem ludzi brzydkich, więc Franciszek Kukła zawsze uważał go za swojego osobistego świętego.

Skoro miał swojego świętego, to czy możliwe, że miał i swojego diabła? Czy raczej ma Grzebielucha, mówiąc, że każdy ma swojego diabła? Jeśli tak, to czy ten diabeł śpi pod podłogą? Czy to jego świszczący oddech słyszy codziennie przed zaśnięciem, czy to on szura nocą, drapie w ściany i huczy w kominie? Czy to on łązi po

podwórku w bezksiężycowe noce, straszy koty i gołębie, zostawia ślady w błocie przed domem?

Kukła był pewien, że od dziecka chodzi za nim coś piekielnego. Coś, co potrafi zaglądać w jego wnętrze, wchodzić mu do głowy, truć jego myśli. Pamiętał, co mówiła babka Olga, że za takimi jak on diabły rozglądają się zaraz po urodzeniu, że czyhają na ich gnijące dusze. Bo podczas porodu wyciągali go przecież z łona martwej już matki. Urodził się więc ze śmiercią, ze śmiercią w duszy i z diabłem w sercu. Tak mówiła babka Kukłowa.



– Co ci się śniło? – Malwa wdrapała się na kolana Jaśminy. – Bo śniło ci się, prawda?

– Śniła mi się dziewczynka.

– Dziewczynka? – Malwa uniosła brwi i lekko wyduła usta. W tej chwili była bardzo podobna do Florentyny. – A co robiła?

– Uciekała. – Jaśmina próbowała przypomnieć sobie sen, który z każdą minutą rozpływał się w pamięci. – Chciała się schować.

– To musiał być straszny sen – odpowiedziała Malwa. – Zrobić ci herbatki?

– To może ja zrobię herbatkę dla mnie i dla ciebie? – Jaśmina wstała, Malwa usadowiła się na jej miejscu.

– I dla Hani! – zawołała.

– I dla Hani. A gdzie ona w ogóle jest? Skończyłyście się bawić?

Malwa otworzyła usta, po czym nabrała w nie powietrza i szybko je zamknęła. Nadymane policzki się zaróżowiły. Nie odrywała nieruchomych oczu od Jaśminy.

– Malwa, gdzie jest Hania?

Dziewczynka pokręciła głową i wskazała palcem na swoje policzki.

– Nie możesz mówić, tak?

Malwa przytaknęła, czerwieniejąc jeszcze bardziej.

– Długo nie wytrzymasz. – Jaśmina skrzyżowała ramiona i wlepiła wzrok w córkę.

– Właśnie, że wytrzymam! – wykrzyknęła Malwa, wypuszczając tym samym powietrze, co ją trochę zmartwiło. Przekrzywiła głowę i ułożyła usta w dzióbek.

– No to gdzie ona jest? Na pewno poszła do domu cioci Nadziei?

Malwa wzruszyła ramionami.

- Po co mnie pytasz, skoro wiesz?
- A ty wiesz, że nie wolno wam tam chodzić. Pełno tam narzędzi taty i wujka, remont jeszcze nieskończony.
- Ale my tylko karmimy lisa – wyjaśniła Malwa. – Nie robimy nic złego.
- Lisa?
- Przecież mówię. Lisa. Co w tym dziwnego?
- A co je taki lis?
- Najbardziej lubi ciasto i jabłka zgniłki spod drzewa.
- To chodźmy po Hanię, nazbieramy po drodze jabłek spod jabłonki.

Lis siedział tuż obok Hani, która jedną ręką głaskała zwierzę, a drugą drapała się po własnej głowie. Na widok Jaśminy lis zastrzygł uszami, odsunął się, ale został. Malwa pochyliła się nad nim, podała coś wprost do pyszczka.

- Jabłko zgniłek, takie jakie lubisz najbardziej.
- Lis zaśmiał się, tak to przynajmniej zabrzmiało, i połknął jabłko.
- Nie było jej? – Malwa zwróciła się do Hani.
- Nie było – odparła zrezygnowana.
- Kogo nie było? – Jaśmina usiadła między dziewczynkami. Ziemia była chłodna, lekko wilgotna, w powietrzu roznosił się zapach lip i tawuły.
- Ducha – odpowiedziały.
- Może jest, tylko go nie widać. – Jaśmina się uśmiechnęła i rzuciła jabłko w stronę lisa. – Łap, zgniłek!

Lis pożałował, po czym schował się w krzakach.

Wilgoć parowała z ziemi. Tuż przy płocie od strony dróżki do Czarnego Lasu wciąż było błoto po powodzi. Malwa podeszła na tyle blisko, że jej noga zapadła się tuż przy korzeniach starego drzewa, pod którym ziemia była wzruszona, bo od lat chowała w sobie kości zmarłych zwierząt. Leżał tu Ozi, kot Florentyny, który przypałał się jeszcze przed wojną, wszystkie inne koty oraz psy: Burek, Borówka i Berbec.

Na pewno spocznie tu Majonez i wszystkie psy, które przyjdą po nim. Nie da się zmienić psiego losu. Akacja rosnąca obok platana niebezpiecznie się pochylała, jego korzenie musiały spróchnieć dawno temu, a i woda, podmywając je w czasie powodzi, zrobiła swoje. Trzeba je ściąć, zanim komuś spadnie na głowę, postanowiła Jaśmina i już następnego dnia zagoniła Mikołaja i Piotra do ogrodu.

Szkoda drzewa, bo rosło tu dłużej, niż żyje najstarszy z mieszkańców Dziubowego domu.

– To było ulubione drzewo tatka – powiedziała Florentyna, patrząc, jak Mikołaj i Piotr męczą się z potężnymi korzeniami po tym, jak ścięta część pnia runęła z hukiem. – Lubił pod nim przesiadywać.

– Zasadzimy nowe. – Jaśmina objęła matkę ramieniem. – I kiedyś też ktoś będzie pod nim przesiadywał.

Ale nikt nie zasadził nowego drzewa. Usunięcie korzeni zajęło dwa dni. Mikołaj kłął pod nosem, Piotr mu wtórował. Jeszcze nigdy nie widzieli tak upartego drzewa.

– Uczepiło się ziemi i nie ruszy – mówili. – Jakby coś je tam trzymało.

Naginali je od strony pozbawionej mocujących korzeni, po przechyleniu odcinali to, co jeszcze się trzymało. Kiedy wydawało się, że już nic nie zostało, że wszystko leży na kupie obok ścieżki, Mikołaj natrafił na coś twardego. Wbił siekierę, spodziewając się korzenia, który pominęli, jednak to nie korzeń wyłonił się spod ziemi.

– Mamo, tu też chowaliście zwierzęta? – krzyknął w stronę Florentyny, pochylając się nad wykopany dołem.

Ziemia była mokra, wonna, pełna maleńkich korzonków, kamyczków i pełzających stworzeń. Mikołaj odgarnął ją ręką, żeby odłowić to, co wyłaniało się na powierzchnię. Jaśniejsze kształty, pozostałości czegoś, drewna, może skrzyni, teraz przeżartego przez czas i robaki. Co było w środku? Pies, kot? Za duże. Może świnia? Ale przecież Mariola leżała pod platanem, tam gdzie inne zwierzęta.

– Kości – rzucił Mikołaj w stronę siedzących nieopodal Florentyny i Jaśminy, jednak nie słyszał już, o co pytały, nie docierały do niego żadne słowa, bo przez moment zapadł się w siebie, przez moment było tak, jakby zniknął, jakby wdarł się w coś spoza tego świata, tej rzeczywistości.

Ogarnęły go jednocześnie lęk i przedziwne poczucie, jakby na sekundę dotknął wieczności. Cofnął rękę. Poszarzała biel kości była znajoma, tak wygląda coś, co bardzo długo leży pod ziemią. Jednak to nie były szkielety leśnych zwierząt, na które czasem można się natknąć przy kopaniu. Spod tłustej ziemi patrzyły na niego puste oczodoły w czaszce, która nie należała ani do lisa, ani do borsuka, ale do człowieka.



W tych dniach rzeka wycofała się już całkiem. Schły księżowskie łąki, strumyk przy domu Grzebieluchy wrócił do dawnych rozmiarów. Trawa na łąkach pod lasem była teraz żółta i przegniła, z kilku domów w dolnej części wsi wyniesiono sprzęty i ustawiono je na podwórkach do wyschnięcia. Tylko to przypominało o powodzi, która choć nie była wielkich rozmiarów, to przysporzyła ludziom sporo trosk.

Maślanka chodził za księdzem skruszony, teraz pomagał we wszystkim i na plebanii, i w kościele. Organista przyglądał się temu z niechęcią, nie potrafił znieść obecności chłopaka, tego, jak umizgiwał się do dziewcząt z chóru, tak jak wcześniej do Marysi, jak one chichotały, widząc go na rozpoczęciu mszy w komży ministranta.

Sołtys zaszył się w domu, wreszcie mógł odpocząć, choć wieczorami widywano go, jak chodzi za wieś, do Grzebieluchy. Tak jakoś przyzwyczaił się do starej kobiety, jej ciepłego głosu, przytulnej atmosfery jej chałupy. W swoim domu, pomimo obecności starszych córek, czuł tylko pustkę, namacalny brak najmłodszej.

Wieczorek nadal był przetrzymywany, choć nie było do końca jasne, co się z nim dzieje. Podobno czekała go rozprawa, która jednak się nie odbyła, bo on nie przyznał się do winy. Zabrakło dowodów, ponieważ ciała Marysi nie odnaleziono. Mówiono, że mieli go przenieść do zakładu dla umysłowo chorych, do starego szpitala, który mieścił się w ponurym budynku o ścianach poczerniałych od sadzy. Podobno całkiem poplątało mu się w głowie, opowiadał, że Marysia po tym, jak zniknęła, stała się częścią lasu, że widział ją nieraz, jak wychyla twarz z dziupli drzewa.

Jednak po Marysi nie pozostał żaden ślad, tylko czasami słychać było ten upiorny śpiew. W Dziubowym domu natomiast nastął czas ciszy. Piotr i Mikołaj zaprzestali remontu. Nikt nie wychodził do ogrodu, dziwnie było przechodzić koło tego dołu w ziemi, w którym znaleziono ludzkie kości.

Jaśmina znów pogrążyła się w dziwacznych snach, Florentyna z kolei spędzała całe dni, przesiadując w oknie i wypatrując czegoś na odległym horyzoncie. Siemił nie odrywał się od teleskopu, a Róża gotowała i piekła, jakby to przynosiło jej zapomnienie. Bo wtedy każdy z rodziny chciał uciec od myśli, które kotłowały się w jego głowie, od przypominania sobie tego, na co natrafił szpadel wbity w czarną ziemię ogrodu.

Czekano na ekspertyzy, ale wiadomo było, że kości przeleżały pod ziemią bardzo długo.

– Nawet jeśli czegoś się dowiemy, to sprawa przedawniona – powiedział komendant Filipowicz. – A może nigdy się nie dowiemy, może to jeszcze z czasów którejś wojny, jak te groby, które w Lisim Lesie odkryły koparki.

Florentyna wiedziała o grobach w Lisim Lesie, pamiętała, jak spłonęła chata Żyrborki i jej córki, jak potem mężczyźni szli je zakopać między prastarymi dębami. Ale ktokolwiek spoczął w ziemi tego ogrodu, musiał tu leżeć długo przed tym, zanim ona pojawiła się na świecie. Dopiero po kilku dniach zaczęły się rozmowy, bo do tej pory każdy unikał tematu.

– To dziadek Mateusz wybudował ten dom, razem z Pawłem, synem, którego urodziła mu druga żona, babcia Jodełka. – Jaśmina nie patrzyła na nikogo. Utkwiła wzrok w szarzejącym za oknem wieczorze. – Myślę, że to on ukrył te dokumenty, tak jakby chciał ukryć Franciszkę i Rozalię.

– Co ty opowiadasz? – Róża zmarszczyła brwi, ale słuchała uważnie.

– Pomyślcie – kontynuowała Jaśmina. – Grzegorz zmarł, pochowano go na cmentarzu przy kościele, nie przy rodzinie. Jego akt zgonu i inne dokumenty znajdują się w parafialnych księgach, został po nim ślad. Ale nie ma nic o Franciszce i Rozalii, żadnego aktu zgonu. Gdyby nie zamurowane dokumenty, to nawet nie wiedzielibyśmy, że Rozalia istniała.

– Ale tam też była legitymacja Grzegorza, nie zapominaj.

– Tak, dorzucona do reszty, pewnie dziadek nie chciał jej mieć w domu. Tak samo jak nie chciał chować brata przy rodzinnych grobach.

– Co chcesz powiedzieć?

– Że może one wcale nie wyjechały. Miało to tylko tak wyglądać.

– Ale jeśli nie wyjechały, to co? – Florentyna spojrzała na córkę smutnymi oczami.

– To znaczy, że tu zostały...

– Ale jak to? – zmieszana się Róża. – I po co zamurowywać, skoro można spalić, zniszczyć...

– Po to, żeby kiedyś ktoś odkrył prawdę.

– Jaką prawdę? – Oczy wszystkich zwróciły się ku Jaśminie. Ta przytaknęła, przypominając sobie to, o czym śniła, wszystkie fragmenty snów układające się w całość.



Było już po uroczystej kolacji, wieczór szarzał, leniwe ciepło biło od zapalonych świeczek. Franciszka patrzyła na córkę zachwyconą lalką, którą sama dla niej wybrała w szunowskim sklepie. Na pewno żadna dziewczynka w Sokołowie nie ma takiej, pomyślała z satysfakcją, kładąc na blacie pieniądze. Po raz pierwszy nie żałowała ich na drogi prezent dla Rozalii, wiedziała, że musi za wszelką cenę udobruchać dziewczynkę, która za nic w świecie nie będzie chciała wyjeżdżać z Sokołowa.

To, że musi ją okłamać, mówiąc, że wyjeżdżają tylko na jakiś czas, nie dawało jej spokoju. Poza tym przypuszczała, że Rozalia nie ufa jej do końca, że coś podejrzewa, domyśla się czegoś, chociaż nie potrafi tego ogarnąć swoim dziecięcym rozumem. Teraz zajęta nową zabawką wydawała się taka beztroska i szczęśliwa.

To się zmieni za kilka godzin, pomyślała Franciszka. Kiedy Mateusz zaśnie, wezmą wóz i wyruszą w kierunku Szunowa, tam pierwszym porannym pociągiem pojedą w stronę wielkiego świata. Wóz zostawią pod dworcem, zapłacą porządkowemu, żeby przypilnował, a zresztą niech nawet weźmie sobie i konia, i wóz, im już nie będzie na tym zależało. Mateusz ma drugiego, siwka, wystarczy mu.

Kiedy za oknem zgęstniała noc, Mateusz, jak zawsze, wyszedł do sąsiada, który już czekał z butelką siwuchy. Grzegorz wciąż był gdzieś we wsi, zasiedział się z kołędnikami, pewnie chciał się pożegnać z Sokołowem. Wiedział, że już nigdy nie będzie mógł tutaj wrócić. Franciszka siedziała wpatrzona w kuchenne okno wychodzące na ogród, bo z niego najlepiej było widać drogę. Oddychała płytko, czekała.

Czy naprawdę zrobią to dzisiaj, tej nocy? Uciekną, zaczną razem nowe życie? Rozalia patrzyła na matkę, trochę się jej bała w tamtej chwili. Franciszka miała w spojrzeniu coś, co przywodziło na myśl bardzo nieprzyjemne rzeczy. Dziewczynka przesunęła się w kąt, gdzie przy piecu spały dwa tłuściutkie koty. Posadziła między nimi nową lalkę i zajęta zabawą przestała się zajmować matką, która wciąż nieruchomo siedziała przy oknie.

Było bardzo cicho, sennie, oprócz wiatru w kominie i mrużenia kotów nie docierały tu żadne odgłosy. Rozalia robiła się coraz bardziej śpiąca, ale nie chciała wracać do swojego łóżka.

Postanowiła czekać na północ, żeby porozmawiać z kotami, bo miała do nich wiele pytań. Jednak nie wybiła jeszcze dziesiąta, kiedy jej głowa opadła bezwładnie i dziewczynka pogrążyła się w niespokojnym śnie.

Franciszka najwidoczniej myślała, że córka położyła się spać, bo kiedy zauważyła za oknem Grzegorza, zerwała się, stanęła w drzwiach i rzuciła mu się na szyję.

– Co tak długo, nie mogłam wytrzymać! Siedzę tu i czekam.

Grzegorz wciąż miał na sobie barani kożuch i doczepione diabelskie rogi. Chwiał się na nogach.

– Musiałem się pożegnać, tak jak należy.

Objął Franciszkę i przycisnął do siebie. Osunęli się niezgrabnie na ławę, w ciszy słychać było ich przyspieszone oddechy.

– Gdzie Mateusz? – zapytał Grzegorz lekko zachrypniętym głosem.

– U sąsiada, piją. Zawsze piją w Wigilię. Nie bój się, szybko nie wróci, a jak wróci, zobaczymy go przez okno.

– Niech wróci. – Grzegorz czknał. – Z nim też się pożegnam!

– Ciii... – uspokajała go Franciszka. – Nie ma co się pieklić, on już nas więcej nie zobaczy ani my jego.

– Chciałbym tylko ujrzeć jego minę, gdy wytrzeźwieje i wróci do pustego domu. – Śmiech Grzegorza zabrzmiał tak, jakby wydobywał się z głębokiego dołu.

– Jutro już nie będę o nim myśleć. Ani nigdy więcej. – Franciszka przywarła ustami do ust mężczyzny, przez moment nie było słychać ich głosów, jedynie oddechy i ciche szmery.

Rozalia przytulała do siebie nową lalkę, z całej siły ścisnęła jej szmaciane ciało. Koty nadal spały, najedzone i zadowolone, nawet się nie ruszyły. Dziewczynka obudziła się zdrętwiała. Bolał ją kark i ścierpło jej jedno ramię. Przez moment nie mogła się podnieść, choć najbardziej na świecie pragnęła wybiec stąd, nie patrzeć, jak matka i stryj robią te dziwne rzeczy, nie słuchać ich, nie rozumieć, o czym mówią do siebie tymi przyciszonymi wężowymi głosami.

Nie zauważyli jej, bo byli pochłonięci sobą, do tego Grzegorz był pijany, a Franciszka z nerwów w ogóle nie wiedziała, co się wokół niej dzieje. Ale Rozalia rozumiała wszystko. Przypomniała sobie, że w matczynej szafie widziała upchniętą w kącie walizkę wypełnioną ubraniami, że z nocnego stolika zniknęła szkatułka z błyskotkami, tak jak kilka innych, bliskich matce drobiazgów. W półmroku kuchni widziała białe zęby uśmiechającego się Grzegorza. Nagle dotarło do niej, że to dzisiaj, że tej właśnie nocy porwie ją zły wilk.

Nabrała powietrza, żeby się nie rozplakać. Ruszając się, musiała niechcący nadepnąć na ogon kota, bo ten zerwał się z wrzaskiem, budząc tego drugiego. Oczy Matki i Grzegorza zwróciły się w ciemny kąt kuchni, w którym dziewczynka siedziała skulona. Wypuściła powietrze i zanosła się szlochem. Z trudem wstała, bo nogi też jej zdrętwiały od tej niewygodnej pozycji.

– Rozalia? – Głos matki był nienaturalnie wysoki.

– Co ty tu robisz, gówniario, dlaczego nie jesteś w łóżku? – Grzegorz zrobił krok w jej kierunku, po czym odwrócił się do Franciszki. – Wiedziałaś, że tu jest?

– Skąd... – Franciszka podeszła do dziewczynki, wyciągając ręce. – Chodź, położymy cię do łóżka. Niedługo będziemy jechać na wycieczkę.

– Nigdzie nie jadę! – Rozalia krzyknęła tak głośno, że koty spłoszyły się i pierzchnęły pod stół.

Franciszka spojrzała na córkę zdziwiona, jeszcze nigdy nie widziała jej takiej.

– Chodź, mówię. Położymy się spać.

– Nie! – Rozalia wyminęła matkę, ale drogę zastąpił jej Grzegorz.

– A ty dokąd? Spać!

– Nie muszę cię słuchać! – zawołała i z całej siły kopnęła go w łydkę.

Grzegorz syknął, pochylił się, ale Rozalia już była przy drzwiach. Oba koty wybiegły za nią wprost w ciemność ogrodu, w którym tylko śnieg iskrzył się od księżycowej poświaty. Rozalia zniknęła, zostawiając za sobą ślady stóp w śniegu.



Niebieski ogród wyglądał posępnie z hałdą ziemi piętrzącą się na ścieżce, z przepastnym dołem oklejonym taśmą, z którego szunowscy policjanci wyciągali kość za kością. Przepędzali ludzi zbierających się przy płocie, zadziwionych, ciekawskich, niedowierzających.

– To na pewno jeszcze z wojny – mówili. – Ile to ciał po polach pochowanych, ile do tej pory leży w bezimiennych grobach?

Ale Florentyna wiedziała, że to nie jest wojenny grób, była tu przecież. Wojna oszczędziła Sokołów, zupełnie jakby wieś schowała się wtedy między lasami. W Krasnej powieszono partyzantów,

w Lipnej rozstrzelano dwie rodziny, które w ziemnych piwniczkach ukrywały żywność przed Niemcami. Ale w Sokołowie nic takiego się nie wydarzyło.

Florentyna doskonale pamiętała tamten czas, kiedy beznadziejnie czekała na Siemiła, który wrócił tak zmieniony, milczący, z pustką w oczach. Taką samą pustkę miał Antek od Noszczyków, którego trzymano w obozie. Ludzie wracali wtedy z wojny bez rąk, bez nóg, z dziurami w głowach. Antek wrócił z dziurą w sercu.

Rozkopany dół na Dziubowym podwórku straszyl, był jak otwarty grób, wlaż do innej przestrzeni, do minionego czasu. Kiedy się okazało, że wykopane z niego szczątki należą do dziecka, Jaśmina bez trudu połączyła to ze swoimi snami oraz z zamurowanymi dokumentami i starymi fotografiami.

W jej śnie dziewczynka biegła nocą po śniegu. Mróz skuł wszystko tak, że cisza aż trzeszczała. Ogród był ciemny, nieruchomy. Noc wisiała nisko nad światem. Drzewa opuściły ciężkie od śniegu gałęzie. Franciszka stała w drzwiach i rozpaczała:

– Co ona wyprawia, jeszcze się przeziebi!

Grzegorz wybiegł do ogrodu, wołając stłumionym głosem, nie chciał, żeby usłyszał go ktoś u sąsiadów:

– Rozalka!

Imię rozbrzmiewało między uspionymi jabłoniemi, ale drzewa przy płocie stały niewzruszone. Noc, cisza, bezruch. Tylko ślady stóp na śniegu świadczyły o tym, że przed chwilą ktoś tędy przebiegł. Grzegorz podążył w kierunku, w którym prowadziły, choć w ciemności nie widział zbyt wiele.

Sen o studni

We śnie Jaśminy dziewczynka biegnie, zostawiając ślady na śniegu iskrzącym się lekko w blasku księżyca. Ucieka, chowa się między drzewami, lecz one nie są dobrym schronieniem. Boi się, że dopadnie ją ten, który ma futro i rogi. Zły wilk o wielkich białych zębach. Ale za nią biegnie nie wilk, lecz mężczyzna, choć rzeczywiście ma na sobie kozuch i czapę kolędnika. Jest diabłem.

Dziewczynka przemyka przez cały ogród, chowa się w stodole, po czym wybiega z niej, domyślając się, że to tam będą jej najpierw szukać. A ona nie chce zostać znaleziona. Chce, żeby pojechali bez niej. Niech jadą do miasta, niech zabierają pieniądze ze sprzedanej

ziemi, niech zabierają szmacianą lalkę i niech wilk porwie mamę, wszystko jej jedno. Mama i tak chyba bardziej kocha wilka niż ją. Ona zostanie z tatkiem i ze zwierzętami.

Myśli w jej głowie się piętrzą, wzbierają jak burza. Oczy podbiegają krwią, oddech staje się płytki. Mroźne powietrze kłuje w płuca, ręce drętwieją, a stopy w lekkich trzewiczkach są już całkiem mokre. Dziewczynka widzi w oddali kota, chce go złapać, bo boi się, że jego też zabiorą i wywiozą daleko. Kot wskakuje na studnię. To jej ulubiony zwierzak, czarno-biały, z długimi wąsikami i białą plamką na pyszczku.

Dziewczynka podbiega, wspina się na śliskie kamienie. Traci czucie w palcach, może dlatego nie zauważa, że pokryta śniegiem spróchniała pokrywa studni się łamie. Kot piszczy przestraszony, kiedy drewno zapada się z hukiem. Przy takim mrozie, w tak ogromnej ciszy, każdy hałas rozlega się z wielokrotnioną. Jego echo dociera do uszu stojącej w progu domu kobiety, poraża ją. W jednej chwili świat się zatrzymuje.



– Ona wpadła do studni. – Oczy Jaśminy były szkliste i nieruchome. – Do tej studni. – Popatrzyła na Florentynę, która się nie odezwała, czekała na to, co jeszcze powie córka. – Uciekała od matki i Grzegorza, widziała ich razem i nie chciała z nimi wyjechać. Była już noc, Wigilia. On był trochę pijany, przebrany za kolędnika. Za diabła. – Florentyna się wzdrygnęła. Ożył jakiś niewyraźny obraz w głębi jej pamięci. – Pobiegł za nią, ale nie zdążył jej złapać. Załamała się spróchniała pokrywa. Mateusz przyszedł od strony podwórka sąsiadów, zaniepokoił go krzyk Franciszki. Zapytał: „Gdzie Rozalka?”. Ale Rozalki już nie było.



Grzegorz stał nad studnią sparaliżowany, nie docierały do niego wrzaski Franciszki. Studnia była ciemna, głęboka na sześć metrów. Gdy się pochylił, nie zobaczył nic oprócz czerni, choć coś jasnego zamigotało mu przed oczami, ale możliwe, że była to tylko

dziewczęca duszyczka unosząca się nad ciemnym otworem. Zawołał jej imię, głos mu drżał. Nic. Cisza. Nikt nie odpowiedział.

Mateusz przyszedł od strony sadu, który sąsiadował z podwórkiem Juchów. Najpierw wszedł do domu, bo zdziwiły go rozwarte na oścież drzwi. W środku było pusto, jedynie naftowa lampka na kuchennym parapecie dawała mdłe żółte światło. Szybko wbiegł na górę, Franciszki nie było w sypialni, znalazł tylko porozrzucane fatałaszkę, za uchylonymi drzwiami dębowej szafy zauważył niedomkniętą walizkę.

Głosy, które słyszał, dobiegały z zewnątrz, wybiegł więc z domu i na podwórku od strony drogi ich zobaczył. Plecy Franciszki drżały od płaczu, Grzegorz przytulał ją, gładził po włosach, mówił coś do niej. Wyglądał śmiesznie w tym kożuchu i czapie z rogami. Mateusz się zachwiał. Przez moment zdawało mu się, jakby cały świat zaszedł czerwienią. Przymknął oczy, za powiekami pulsowała ciemność. Coś strasznego wzbierało w nim, coś budziło się głęboko w jego trzewiach, aby zaraz wypłynąć za zewnątrz.

Kiedy otworzył oczy, cały świat był czerwony: śnieg i niebo, pochylony płot, sękate pnie drzew i ich twarze. Ich twarze były najgorsze. Przez chwilę stał i przyglądał się żonie i bratu, nie znał tego uczucia, które w nim rosnęło, jeszcze nigdy wcześniej tak się nie czuł. W tamtej chwili zrozumiał wszystko, chociaż tak naprawdę wiedział o tym, tylko sam przed sobą nie chciał się przyznać.

Widział, jak jego żona się zmieniała, od kiedy Grzegorz zjawił się w domu. Udawał, że jest niewzruszony, wmawiał sobie, że to tylko sympatia. Ale teraz, patrząc na nich, widział wszystko. I ta spakowana walizka...

– Gdzie Rozalka? – zapytał, a jego głos wybrzmiał, jakby wydobył się spod ziemi, z najciemniejszych jej czeluści.

Kiedy się odwrócili, zobaczył w ich oczach strach i na początku mu się to spodobało. A więc bali się go. Franciszka załkała, opadła na kolana w puszysty śnieg. Jej twarz wykrzywił grymas, jakiego jeszcze nigdy na niej nie widział. Zaczęła coś mówić przez łzy, ale nie rozumiał jej, nie rozpoznawał sensu słów. Studnia. Śnieg. Wypadek.

– Wpadła tam. – Grzegorz nadal się nie poruszył.

Stał nad tą studnią z klęczącą u boku Franciszką, w śniegu, który był czerwony jak niebo, księżyc, złe myśli. Mateusz podszedł powoli, bo coś wewnątrz niego mówiło, że jest to jedna z tych chwil, po których już nic nie będzie takie samo. Że stało się coś, co zmieni bieg rzeczy, bieg świata.

– Co ona tu robiła? – zapytał, ale nie czekał na odpowiedź, chociaż Grzegorz próbował go uspokoić.

– Uciekała – wyjaśnił. – A przecież nic bym jej nie zrobił.

Franciszka płakała.

– To przeze mnie, przez nas.

Grzegorz szturchnął ją delikatnie.

– To był wypadek – powiedział.

Gdy Mateusz zrozumiał, co się stało, ta czerwień, która zalewała mu oczy, wybuchła. Nachylił się nad studnią i zaczął wołać, jednak odpowiadało mu tylko echo. Patrzył w dół i bezgłośnie płakał.

Następnego dnia, kiedy czerwień zniknie, zejdzie tam na lince z pomocą Jucha i wyniesie ją, a potem z rozerwanym sercem włoży ją w dół wykopany przy młodym platanie i tam, gdzie włoży jej ciało, wiosną posadzi drzewo, akację, bo jej kwiaty córka lubiła najbardziej. Ale najpierw będzie kopał przez dwa dni i dwie noce, bo skuta mrozem ziemia nie będzie chciała się otworzyć, nie zechce przyjąć w siebie ciała Rozalki.

Ale teraz świat nadal był czerwony, oczy nabiegłe krwią i nienawiścią. Odwrócił się od studni, a jego twarz wyglądała tak, jakby nie należała do niego. Franciszka, widząc go, zamilkła ze strachu przed mężem.

Grzegorza nie było, nie wiadomo kiedy odszedł. Zastał go w domu, jak pospiesznie wrzucał jakieś rzeczy do walizki, szukał czegoś. Z wystającej z kieszeni sakiewki wypadły pieniądze, zebrał je i wepchnął z powrotem. Nie patrzył na Mateusza, który stał w drzwiach, spokojny, o twarzy z kamienia.

– A ty dokąd? – zapytał brat, ale Grzegorz go wyminął. – Skurwysynu!

Grzegorz się odwrócił i uśmiechnął, pokazując białe zęby, zęby wilka.

– Ziemię sprzedałem – rzucił. – Reszta twoja.

Zatoczył krąg ręką i zniknął za drzwiami. Mateusz wybiegł za nim, jednak Grzegorz odwrócił się i popchnął go mocno, a potem kopnął w brzuch tak, że brat przez chwilę nie mógł złapać oddechu. Upadł w śnieg, ale nie czuł bólu. Cały świat pulsował czerwienią. Mateusz wstał. Ręce miał ciężkie, a głowę pustą, pozbawioną myśli.

Grzegorz był już przy stodole, zdążył wziąć konia tak szybko, jakby już wcześniej przygotował wóz. Była w nim niecierpliwość, ręce mu się trzęsły, gdy wziął w nie bat i zaczął smagać nim zdezorientowane

zwierzę. Udało mu się wyjechać z podwórka, ale droga przy lesie była zasypana, więc koń się buntował.

Franciszka stała przy płocie i patrzyła, jak Grzegorz odjeżdża bez niej, nawet się nie odwracając. W ciemności tylko błysnęły jego zęby. Mateusz wybiegł, a mijając żonę, ujrzał jej pełną bólu twarz. On w tej chwili nie czuł nic, jedynie to, że musi dogonić i dopaść brata. Pobiegł więc, z trudem łapiąc oddech, ale nie zwolnił. Po jakimś czasie w oddali spostrzegł wóz, koń z trudem brnął przez zasy. Zwykłą drogą byłoby łatwiej, ale droga od strony lasu była dzika. Znajdowali się już na wysokości Maciejowych pól, prawie przy rozwidleniu dróg.

Koń stanął, zaczął prychać, nie chciał iść dalej. Grzegorz zeskoczył z wozu, smagnął batem zwierzę, splunął ze złości. W śnieg upadła czapa z rogami, której w pośpiechu nie zdążył zmienić. Wiedział, że Mateusz jest tuż za nim. Gdy się odwrócił i ujrzał twarz brata, coś zimnego popęzło mu po plecach. Czy to jego brat, czy diabeł? Z polnej kapliczki przyglądał im się trzymaną w rękach głową Święty Dionizy. On też był czerwony, jak zauważył Mateusz.

Grzegorza Fabera znalazł stary Kurowski, który jechał w stronę Szunowa. Coś zwróciło jego uwagę, choć z daleka nie wiedział, czym jest kształt obok polnej kapliczki. Dopiero gdy zsiadł z kozła i podszedł bliżej, zobaczył, że w śniegu leży człowiek. Początkowo pomyślał, że to jakiś pijany chłop, bo często widywał takich śpiących gdzie popadnie. Ale to było święto, poprzedniego dnia nie organizowano żadnej zabawy, co najwyżej jakiś popiół na pastercie i pewnie polazł przed siebie, nie wiedząc, dokąd idzie. Ale żeby tak w śniegu spać przy takiej pogodzie?

W nocy nasypało jeszcze więcej, więc ślady były zatarte, nie wiadomo było, skąd przyszedł. Kurowski się nachylił, szturchnął mężczyznę i z przerażeniem zauważył, że ten jest sztywny, zimny jak cały świat wokół skutym mrozem. Odwrócił go na plecy i przeżegnał się, padłszy na kolana. To młodszy od Faberów tu leżał, z gębą całkiem już siną.

Kurowski odsunął się od trupa wystraszony, rozejrzał się w panice, ale wokół nie było nikogo, żywej duszy, bo ta Faberowa na pewno dawno już odleciała. Biało i cicho. Straszno. I tylko te czerwone plamy na śniegu, które zobaczył, kiedy odwrócił ciało.

– Zabity – szepnął z trwogą i przeżegnał się jeszcze raz, a potem jeszcze, tak na wszelki wypadek.

Pobiegł co tchu do wozu i ruszył w stronę wsi, prosto do sołtysa. Nie pomyślał nawet, że mógł się zatrzymać przy domu Faberów, żeby

zawiadomić brata.

Od tamtych wydarzeń Mateusz nie przespał żadnej nocy, bo ze snu wybudzał go albo śpiew z dna studni, albo czekający na niego między drzewami posępny kolędnik. Gdyby go zapytać, odpowiedziałby, że nie pamięta, co się stało tamtej wigilijnej nocy, po której jego brata znaleziono martwego. Franciszka była jeszcze wtedy w domu, bo to ona rozmawiała z policjantami, to ona powiedziała o tym, że Grzegorz często wdawał się w bójki i w romanse z wiejskimi dziewczętami.

– Doczekał się.

A potem Franciszkę przestano widywać we wsi. Na początku nikt nie pytał ani o nią, ani o dziecko, bo o takie rzeczy się nie pyta.

– Odeszła – skwitował pewnego razu Mateusz i to było wszystko, co powiedział.

Nikomu nie powiedział o tym, że wyjechała z Sokołowa, zamieszkała u swoich kuzynów w Warszawie i aż do końca wiodła żywot biednej krewnej na łasce rodziny. Kiedy przyszedł list zawiadamiający o jej śmierci, jakaś część Mateusza też umarła. Na pogrzeb nie pojechał.

Kilka lat później wziął sobie drugą żonę, Marię, przybraną córkę starego Miłka, znajdę. I wtedy nikt już nie wspominał o Grzegorzku ani o Franciszce, ani razu nie padło też imię Rozalki. Zawinięte szczelnie fotografie i dokumenty trafiły na strych, gdzie kurzyły się i żółkły nieoglądane przez niczyje oczy. Potem, przy budowie drugiego domu, część z nich zamurowano w szczelnym puzderku jak skarb, który miał zostać odkryty po latach. Bo Mateusz, choć bardzo chciał, nie potrafił za życia przyznać się do tego, co się stało.



W tamtych dniach było tak, jakby wypłoszone z przeszłości duchy pojawiały się wszędzie. Rozkopany ogród przypominał o nich, gdy tylko wyjrzało się przez okno. Wokół starego domu krążyły jak złe myśli ptaki i nietoperze. Nocą, kiedy puchata czern opadała na dachy domów, coś się budziło.

Niebieskawa poświata pojawiała się ni stąd, ni zowąd pomiędzy grządkami kapusty, po czym znikwała. Lekkie, mgliste cienie unosiły się tuż nad niekoszoną dawno trawą. Niezapominajki, które rosły na miejscu po starej studni, zaczęły się wdzierać w resztę ogrodu,

między jabłonie i grusze rosnące przy płocie. W trawie na nowo pojawiły się hiacynty, choć nie była to ich pora ani nawet nikt ich nie zasadził.

Florentyna przechadzała się po niebieskim ogrodzie zanurzona w myślach, wydawać się mogło, jakby całkiem się w nich zatopiła. Siadywała w trawie i przyglądała się ślimakom, wyglądała wtedy trochę jak sołtykowa córka, nieobecna, a nawet pomyłona.

A Marysi nadal nie było, choć tyle rzeczy zmieniło się w Sokołowie. Przyszła wielka woda i odkryła tajemnice w korzeniach drzew, skończyły się także sokołowskie cuda w kościele, choć tylko ksiądz Sabaczyński i Maślanka wiedzieli dlaczego. Wprawdzie gadaniu o tym, co odkryto w ogrodzie Faberów, nie było końca, ale jak to we wsi bywa, znalazło się coś, co na chwilę odwróciło uwagę ludzi od makabrycznej tajemnicy z przeszłości.

Otóż któregoś dnia, całkiem przypadkiem, okazało się, że zamieszkujące pałac małżeństwo nie jest takie, jakim mogło się na początku wydawać. To Mirek Maślanka z dwoma innymi ministrantami zakradli się pod pałac, żeby znów buszować w zarastającym już dole wykopanym ubiegłego roku przez archeologów. Wprawdzie po słowiańskiej wiosce nic nie zostało, jednak coś tam chłopców ciągnęło. Może jeszcze coś zostało pod ziemią, jakaś tajemnica, jakiś skarb?

Tamtego wieczoru młody Kurzajka zwędził z dziadkowej stodoły butelkę bimbru. Wypita we trzech zadziałała niczym eliksir odwagi. Chłopcy siedzieli na opustoszałym przystanku, chowając się przed wzrokiem mieszkańców, choć o tej porze nikogo nie było już na zewnątrz. Domy rozjaśniły się niebieskawym światłem telewizorów, ludzie powoli osuwali się w senne otumanienie wieczornymi serialami. Wieś ucichła, nie było nic do roboty, Grzybek zaproponował, żeby iść nad stawy.

– Mam petardy, możemy postrzelać.

– No to idziemy. – Maślanka wrzucił butelkę z resztką bimbru do plecaka.

To jemu właśnie wpadło do głowy, żeby jeszcze raz przeczesać pozostałości po słowiańskiej osadzie.

– Co nam szkodzi? I tak nie ma co robić.

Pałacowy ogród był ciemny, światła z okien tu nie docierały. Kurzajka rozerwał spodnie, przeskakując przez ogrodzenie. Przyświecali sobie zapalniczkami, bo żaden nie miał latarki, jednak liche płomyczki nie wystarczały, żeby oświetlić rozkopany teren. Po

kilku długich minutach plądrowanie pozostałości osady kompletnie się chłopcom znudziło.

– E, bez sensu. Chodźmy stąd. – Kurzajka usiadł na wilgotnej trawie i wyjął papierosy, które podkradł ojcu.

Wszyscy trzej zapalili, krztusząc się, z nich tylko Kurzajka regularnie palił. Krążący w żyłach alkohol sprawiał, że nie chcieli jeszcze wracać do domów.

– Postrzelajmy tutaj! – zawołał Grzybek.

– Pod ich oknami? – Maślanka zachłysnął się dymem. – Zwariowałaś?

– Właśnie pod oknami! Postraszymy trochę staruszków, im pewno też nudno! Schowamy się w tamtych krzakach. – Grzybek się rozochocił.

Podeszli bliżej pałacu. Światła paliły się w dwóch ledwie przysłoniętych oknach. Z wewnątrz dobiegały stłumione dźwięki muzyki, ciche głosy. Grzybek wyjął z plecaka petardy, po czym przez chwilę zastanawiał się, co zrobić, żeby wywołać najlepszy efekt. Maślanka i Kurzajka stali obok, przyglądali się tylko i na znak dany przez kolegę rzucili się w gęste krzaki czarnego bzu, które rosły nieopodal.

Oczekiwanie trwało całą wieczność, aż w końcu przestrzeń rozdarł nie jeden huk, lecz kilka, bo Grzybek tak wykombinował, że kilka petard wybuchło jedna po drugiej. Wszystkie pod oknem, z którego dobiegała muzyka. W pomieszczeniu coś się poruszyło, czyjaś dłoń odsunęła zasłonę. Pan Witold potrzebował czasu, aby wybiec na zewnątrz, bo pałac miał długie korytarze. Stał pod oknem w samym szlafroku zdeorientowany, cały czerwony ze złości.

– Cholerne dzieciaki! – zaklął, kiedy z okna wychyliła się pani Józefa.

Tyle że nie miała na głowie peruki ani makijażu, a spod rozchełstanego różowego szlafroka wзираła chuda klatka piersiowa mężczyzny. Szybko schowała się z powrotem, jednak ta krótka chwila wystarczyła, by ukryci w krzakach chłopcy zobaczyli, że pani Józefa tak naprawdę jest panem Józefem.

Wracali zaaferowani, długo milcząc, każdy zatopiony w swoich myślach, niepewny tego, co powinien powiedzieć.

– Ale jaja! – Kurzajka zaczął się śmiać. – Kto by pomyślał?

– Nieźle się kryli. – Grzybek splunął, wytarł usta rękawem. – Pedaly.

– No. – Maślanka pokiwał głową, choć tak naprawdę nie podobało mu się to określenie. Nic jednak nie powiedział, bo obawiał się, że jeśli stanie w obronie tamtych, Grzybek i jego nazwie pedałem.

– Żeby takie coś u nas na wsi... – kontynuował Grzybek. – Pod naszymi nosami.

– Kiedyś takich nie było – skwitował Kurzajka, zapalając papierosa.

– Pewno, że nie było! – Grzybek podniósł głos. – A jak byli, to dostawali wpierdol i im przechodziło. Nikt się nie przebierał w babskie szmaty, żeby robić z ludzi idiotów.

– Aj tam, idiotów od razu... – Maślanka wzruszył ramionami. – Mnie to trochę śmieszy nawet.

– No! – ryknął Kurzajka ze śmiechem. Był teraz bardzo pijany. – Niezła ta Józefa!

Maślanka parsknął, po czym obaj zaczęli się śmiać jak opętani. Kurzajka wyprzedził kolegów i ruszył przodem, kręcąc biodrami, odwracając się i posyłając całusy. Maślanka śmiał się tak mocno, że trzymał się za brzuch i nie mógł iść dalej. Tylko Grzybek stał z ponurą miną, co chwilę spluwał i nawet się nie uśmiechnął, kiedy Kurzajka zatrzepotał rżęsami, mówiąc do Maślanki:

– Cześć, kolego, często tu przychodzisz?



W tym samym czasie pod koniec lata Jaśmina śniła ostatnie już sny o dziewczynce ze studni. Śniła myśli Rozalii, Franciszki i Mateusza. Rozumiała, że dla niego śmierć córki i śmierć brata to było zbyt wiele. Mateusz obawiał się, że podwójna śmierć w rodzinie, i to w tym samym czasie, może ściągnąć na niego złe spojrzenia, że ludzie zaczną zadawać pytania, może nawet winić jego lub Franciszkę, zastanawiać się, co tak naprawdę się stało pod polną kapliczką. Dlatego ukrył ciało Rozalii, lecz od tamtej pory rosnące na jej grobie drzewo było jak widoczny wyrzut sumienia.

Franciszka bała się go, a on nie mógł patrzeć ani na nią, ani na ten strach w jej oczach. On też się bał, że kiedyś nie zapanuje nad sobą i zrobi coś, czego potem będzie żałować. Winił ją za śmierć córki. Wprawdzie wiedział, że to był wypadek, ale gdyby nie miłostka między nią a Grzegorzem, Rozalia wciąż by żyła. Żyłby też Grzegorz, a on sam miałby czyste ręce, bez grzechu.

A o jego grzechu wiedzieli tylko ona i Juch, który do końca swych dni nie puścił pary z ust, bo przysiągł na życie swoich dzieci, że nikomu nie powie o tym, co się wydarzyło w tamtą wigilijną noc.

– Weź pieniądze – powiedział i wskazał Franciszce sakwę z banknotami ze sprzedanej przez Grzegorza ziemi. – Jedź, dokąd chcesz. To nigdy nie było twoje miejsce.

Tak naprawdę nadal ją kochał, dlatego pozwolił jej odejść.

Sny Jaśminy kończyły się na Sokołowie, nie sięgały tam, dokąd udała się zdruzgotana Franciszka. Może pojechała do Warszawy, może gdzie indziej? Mateusz myślał o niej coraz rzadziej, coraz bardziej zapominał. Tylko ta akacja przy płocie, z roku na rok coraz większa, wywoływała bolesne poczucie winy. Patrzenie na nią było karą, którą ponosił każdego dnia, aż do chwili, gdy zniknął między kostropatymi jabłoniami. Tak jak Rozalka, nigdy nie doczekał się prawdziwego grobu, zresztą uważał, że na taki nie zasługuje.

Rozalka musiała leżeć pod akacją jakieś sto lat, rozmyślała zadziwiona Jaśmina. Stała się częścią tego ogrodu, to z niej wyrastało drzewo, w którego cieniu latem wylegiwały się koty. To ona śpiewała w starej studni. Ale nie było już drzewa ani studni. Kości ekshumowano. Czy rozplynęła się w czasie, tak jak mówiła Florentyna, czy może coś jeszcze zostało? Może to ona przechadzała się nocą między jabłoniami? Dziewczynka spod akacji.

Jaśmina wypatrywała jej z okna sypialni, wypatrywały jej również Malwa i Hania, które czasami wymykały się nocą z domu i snuły po zatopionym w nocnych mgłach ogrodzie. Widziała je przez okno, gdy wszyscy w domu już spali, a na wieś opadała ciężka, pierzasta czarna noc. Nie ganiła ich, udawała nawet, że nie widzi, gdy wymykają się do ogrodu kuchennymi drzwiami. Niech sobie szukają swoich duchów, pomyślała.

Jej sny po odnalezieniu Rozalki przez jakiś czas były puste. Zniknął stary Sokołów, nie było też Nadziei ani chmary jej zwierząt. Dopiero gdy sprawy z pochówkiem odnalezionych szczątków ruszyły, a Florentyna postanowiła pochować przyrodną siostrę w rodzinnym grobie na cmentarnej górcie, Jaśminie przyśniło się, że widzi Nadzieję i małą dziewczynkę, jak siedzą między grządkami kapusty i przyglądają się ślimakom. Może to był tylko sen, może nie, nie ma na świecie nikogo, kto stwierdziłby to z całą pewnością.

Snem na pewno była rzeczna panna i rzeka, która rozlewała się tuż pod oknem Jaśminy. Nie wskazywała już na starą studnię, tylko zabierała ją za Czarny Las, tam gdzie kończy się asfaltowa droga. To

nie koniec tajemnic, pomyślała Jaśmina, budząc się rano z głową ciężką od tych snów i z posmakiem rzecznego mułu w ustach.



Lato się kończyło i było to czuć w każdym oddechu. Powietrze pachniało teraz śliwkami i wrzosami, pod płotami zakwitał bluszcz. W przydomowych sadach czerwieniły się jabłka, żółciły wonne gruszki. W Dziubowym ogrodzie stały kosze pełne owoców. Róża je przebierała i decydowała, co przyrządzą tego roku.

– Ze śliwek zrobimy powidła, z borówek konfitury, jabłka i gruszki pójdą do suszenia, a także na kompoty i musy – powiedziała do pomagających w zbieraniu owoców dziewczynek. – Przygotujemy jeszcze gruszki w syropie.

Zza czeremchowych krzewów w tym czasie dochodziły odgłosy stukania, pukania, przerzucania ciężkich przedmiotów. To Mikołaj zabrał się na powrót do remontowania domu po Nadziei. Wynieśli stare meble, które stały teraz pośród ogrodu. Dziewczynki siadywały na kanapie ustawionej pod krzakami porzeczek, przysuwały do niej stolik i krzeselka, sadzały na nich lalki, a przed nimi stawiały plastikowe filiżanki z wodą z konewki udającą herbatę. Podobał im się dom pod gołym niebem.

A dom po Nadziei zmieniał się z tygodnia na tydzień. Komin się wyprostował, pojaśniały dachówki i odświeżone ściany, nowo wstawione okna przestały wyglądać jak smutne oczy.

– A może byśmy się tam przenieśli? – powiedział któregoś wieczoru do Jaśminy Mikołaj. – Po co tak się tutaj cisnąć w kilku pokojach? A to tylko po drugiej stronie ogrodu.

Jaśmina początkowo nie chciała nawet o tym myśleć, ale kiedy zobaczyła, jak dom się zmienia, przystała na to. Wreszcie Malwa będzie miała własny pokój, o którym tak marzyła. Zaczęła planować przeprowadzkę, robić listę potrzebnych rzeczy, sprawdzać, które meble można uratować, a które nadają się tylko do wyrzucenia.

Przejrzała wszystkie szafy i szuflady, nie potrafiła wyrzucić niczego, co zostało po starszej siostrze. Jej sukienki, książki, notatki, maszynopisy walały się wszędzie. Spakowała wszystko do wielkiego pudła, które po ukończeniu remontu miało trafić na strych. Postanowiono, że przeprowadzka nastąpi jeszcze przed zimą.

Wtedy zmarła Katarzyna, którą pochowano na cmentarzyku w Krasnej, obok jej młynarza, za którym tęskniła prawie całe dorosłe życie. Synowa opowiadała później, że tuż przed odejściem umysł Katarzyny błądził w czasie rozciągniętym między starym, międzywojennym Sokołowem a tym z okresu ostatniej powodzi. Katarzyna pytała o to, czy Niemcy zabrali cały zapas ziarna, czy woda już opadła i może wracać do domu i co się stało z małą Rozalką, czy ktoś wyciągnął ją wreszcie ze studni. Być może wiedziała więcej o przeszłości, niż Florentyna mogła kiedykolwiek przypuszczać. Nie winiła jej jednak za to, że tak długo milczała, bo wiedziała, jak bolesne są niektóre tajemnice.

Sama myślała nieustannie o studziennej pannie i o swoim tatku, o tym, co się stało z Franciszką. Ale tego nie wiedział nikt, nawet Katarzyna. Najwidoczniej niektóre tajemnice pozostaną na zawsze tajemnicami. I bardzo dobrze, pomyślała, dotknęła opuszkami palców drewnianego krzyża i odeszła. Tego samego dnia na grobie Katarzyny zakwitły niebieskie dzwonki i ostróżki. Chociaż była już jesień, nikt się temu nie dziwił. Tak to już bywa na świecie, że gdy rzeczy niezwykle zdarzają się często, bardzo łatwo się do nich przyzwyczajamy.

Tymczasem we wsi kipiało od plotek, które Grzybek rozsiewał najpierw wśród kolegów, a potem wśród tych, którzy całymi dniami wysiadali przed sklepikiem Noszczykowej, racząc się tanimi trunkami. Nikt nie wierzył, że starsze małżeństwo z pałacu to dwóch mężczyzn, czyli jeden przebrany za kobietę.

– Brzydka ona strasznie, to fakt – zauważył Bednarek, czkając przy tym. – Ale że brzydka, to nie znaczy, że od razu chłop! Popatrzcie na moją, jaka szkarada! A mówię wam, że to, co trzeba, ma na swoim miejscu! – Zarechotał głośno, aż zadudniło.

Zawtórował mu śmiech mężczyzn o czerwonych twarzach i smutnych oczach.

– A ja wam mówię, że to pedały. – Grzybek się rozżłościł, że nikt mu nie wierzy. – Udowodnię to.

– Musiałbyś jej kieckę zadrzeć, jak będą w kościele! – zaryczał któryś z chłopów.

Grzybek odszedł zachmurzony. Podczas mszy, do której służył wraz z Maślanką i Kurzajką, przyglądał się zebranym w kościele ludziom. Nie ma ich, jak zwykle, tylko na święta przyszli, żeby się pokazać, pomyślał. Nic dziwnego, pedały nie chodzą do kościoła.

Wieczorem zakradł się pod pałac, podszedł pod same okna. Musiał udowodnić, że ma rację co do tych dwóch. Że nie dość, iż żyją nie po bożemu, to jeszcze oszukują całą wieś.

Rozlała się w nim złość na samą myśl o tym, że siedzą tam i się śmieją, jacy to ludzie na wsi głupi. Że robią te rzeczy, których on nie robił jeszcze z dziewczyną. Że takie stare pierniki, a mają lepsze życie niż on, bo on to ani dziewczyny, ani pałacu. Przychodził więc co wieczór, czekał, aż zmierzch zgęstnieje, żeby się w nim ukryć. I patrzył.

Z okien pałacu na trawnik padało miodowe światło, spokojna muzyka przesączała się z wnętrza. Siedzieli tam otoczeni kotami, książkami, ładnymi meblami. Pani Józefa cały czas nosiła perukę, ale on wiedział, że przyjdzie taki moment, kiedy znów zobaczy ją bez niej, bez tego mocnego makijażu i fatałaszków, którymi oszukiwała wszystkich. Oboje oszukiwali, to było ich wspólne kłamstwo.

Grzybek siedział z zaciśniętymi ustami na gałęzi klonu rosnącego tuż przy tarasie. Stamtąd mógł zaglądać w okna, choć trochę się bał, że kiedyś go zauważą. Chciał poznać rutynę Kwiecińskich, aby po zdobyciu pewności, kiedy ten stary maskaron zostanie bez przebrania, zawołać tu kogoś, kto potem we wsi poświadczy jego słowa. Para miała raczej jednostajne życie, wieczory mijały im na czytaniu. Jak można czytać tyle książek? – pomyślał. Przecież od tego można zgłupieć!

Wspólnie gotowali. Ale przecież gdyby był prawdziwą kobietą, gotowałby sam. Sama! Słuchali muzyki z płyt na adapterze. Stać ich na pałac, a na wieżę hi-fi to już nie? – dziwił się. Przechadzali się też między pałacowymi ogrodami a Niemymi Stawami. Co niedzielę wybierali się na wycieczki rowerowe, jeździli między wsiami, drogami przy lesie. Spać kładli się późno, jakby specjalnie odwlekali ten moment, w którym trzeba było zgasić światło i udać się na górę, do pokoju z tarasem, w którym znajdowała się ich sypialnia. W tym pałacu nikt nie sypiał dobrze, ale Grzybek o tym nie wiedział.



Noce były chłodne, jednak Siemił nadal często przesiadywał w ogrodzie, wypatrując komety. Rozłożył nawet leżak, na którym latem opalała się Róża, na co Florentyna machnęła tylko ręką.

– Ubierz się dobrze – powiedziała i podreptała cichutko do sypialni, bo wszyscy w domu już spali.

Tamtej nocy niebo było czyste i niskie, jakby nieco opadło i zbliżyło się do dachów domów. Wydawało się, że można wyciągnąć rękę i chwycić warkocz komety, po czym przyciągnąć ją do siebie. Podrośnięty Majonez czuwał obok Siemiła, koty harcowały między czeremchowymi krzewami. Coś dreptało w zaroślach, jeże i nornice wychylały pyszczki ze swoich dziennych kryjówek.

– Kiedyś tu wrócisz, ale mnie już nie będzie, żeby patrzeć – rzekł Siemił do komety. – Może już nic tutaj nie będzie?

Siedział więc i wyobrażał sobie, jak rozpędzony lodowy obiekt pędzi w odległą przestrzeń, której jemu nigdy nie przyjdzie poznać. A tak bardzo chciałby wiedzieć, co jest tam dalej, za gwiazdami, konstelacjami, mgławicami. Może po śmierci atomy mojego ciała złożą się na taką komętę? – pomyślał, patrząc w niebo. Wtedy też mógłbym przemierzać wszechświat, tak jak ty. Bardzo chciał, żeby tak się stało.

Gdy Siemił w półśnie marzył o podróżach przez czas i przestrzeń, prawie cała wieś już spała. Kometa jaśniała na nocnym niebie, ze wsi widać ją było tuż nad kościelną wieżą. Zrobiło się późno. Niemrawe światelko paliło się tylko na plebanii u księdza Sabaczyńskiego, który ślęczał nad zapiskami w starych kościelnych księgach, oraz w pałacu, gdzie Kwiecińscy siedzieli w wielkich fotelach pogrążeni w lekturze.

Tej nocy coś dziwnego wisiało w powietrzu i może to właśnie ten niepokój nie pozwolił położyć się Kwiecińskim do łóżka przed północą. Kiedy pan Witold otworzył okna, żeby wywietrzyć tytoniowy dym (jak robił co wieczór tuż przed udaniem się na górę), coś wleciało do środka. Dźwięk rozbitego szkła postawił Kwiecińskich na nogi. Nagle puchaty dywan zajął się ogniem, płomienie ogarnęły podłogę, nóżki foteli i leżące na nich koce, a potem zaczął się szybko wspinać po tapetach na ścianach.

W takich momentach nie wiadomo, co zrobić. W pierwszym odruchu chce się krzyczeć, uciekać, chować. Ale Kwiecińscy dość szybko otrząsnęli się z paniki. Odsunęli się od okna, pobiegli po gaśnicę i w ciągu kilkunastu minut było po wszystkim. Ogień zniknął, ale zostały poczerniałe fotele i książki, zniszczony dywan, potłuczone naczynia. I strach. Kwiecińscy stali wpatrzeni w rozgardiasz, ich twarze były nieruchome.

– Myślałem, że takie coś już się nigdy nam nie przydarzy – odezwał się pan Witold.

– Myślisz, że... ktoś wie?

– Może. Popraw makijaż, dzwonię na policję.

Komendant Filipowicz, wybudzony ze snu przez posterunkowego z nocnej zmiany, przyjechał od razu. Wraz z młodym policjantem porozglądali się po domu i ogrodzie, ocenili zniszczenia, spisali raport.

– Jest butelka. – Młody podniósł poczerniałą szklaną szyjkę. – Musieli wrzucić to przez okno.

– Mają państwo jakieś podejrzenia?

Kwiecińscy spojrzeli po sobie, ona wzruszyła ramionami, on tylko odchrząknął.

– Jesteśmy tu obcy, może ktoś nas nie polubił.

– Nie polubił? – Filipowicz uniósł brwi, przyglądając się mężczyźnie. – Co pan chce przez to powiedzieć?

– Nic nie chcę powiedzieć – zdenerwował się tamten. – Przecież gdybym wiedział, powiedziałbym panu.

– Co, gdybyśmy już spali? – wtrąciła pani Józefa. – Przecież moglibyśmy się spalić.

Filipowicz pokiwał głową. Pierwszy raz zdarzyła mu się taka sytuacja w Sokołowie. Żeby tak sąsiad sąsiadowi dom chciał podpalić? – pomyślał. Coś musi być na rzeczy. Ale wiedział, że starsze małżeństwo, choć żyje na uboczu, utrzymuje raczej przyjazne stosunki ze wszystkimi we wsi. Może to dzieciaki? A jednak na łobuzerski wybryk to trochę zbyt wiele.

Nie dowiedziano się, kto rzucił butelkę w okno pałacu. Przez kolejne dni wokół posiadłości kręcili się policjanci, radiowóz przyjeżdżał z Szunowa każdego popołudnia, żeby sprawdzić, czy wszystko jest w porządku. Kwiecińscy zaczęli się poważnie zastanawiać nad sprzedażą pałacu i wyprowadzką.

– Jak nie duchy, to jakieś wiejskie skurwysyny nam żyć nie dają – skwitował pan Józef, zrywając z głowy perukę i zapalając papierosa. Spod startego pudru przeświecał ryżawy zarost. – Czy wszędzie musi być tak samo?



Grzybek nie przestawał przychodzić pod pałac, choć teraz musiał być naprawdę uważny. Jak na złość pan Józef prawie nigdy nie zdejmował peruki i cały czas miał na twarzy mocny makijaż. Chłopak postanowił, że nie ma innego wyjścia, jak przyprzeć ich do muru. Wymusić przyznanie się do kłamstwa. Wiedział, że każdej niedzieli po południu wybierali się na rowerową przejażdżkę. To była jego szansa. Zwołał Maślankę i Kurzajkę, żeby z nim pojechali, gdy Kwiecińscy następnym razem ruszą poza wieś.

– Po co? – Maślanka nie ukrywał, że najzupełniej w świecie nic go to nie obchodzi. Miał na głowie inne sprawy.

– Jak to po co? – Grzybek się obruszył. – Żeby ich zdemaskować.

– Ja to mam w dupie. – Maślanka splunął.

– W dupie? – warknął Grzybek. – A możeś ty taki sam jak oni, co? Może lubisz mieć w dupie?

– Odwał się!

– Pedał. – Grzybek popatrzył z pogardą na Maślankę, który odwrócił się i odszedł.

Maślanka miał dość Grzybka, tego, jak się ostatnio zachowywał. Wiedział, a raczej domyślał się, że to on wrzucił butelkę z benzyną do pałacu.

– A ty, też lubisz mieć w dupie? – Grzybek spojrział na Kurzajkę.

– No mogę jechać, co mi tam. – Chłopak wzruszył ramionami, chociaż nie uśmiechało mu się śledzenie podstarzałego małżeństwa.

Wolałby iść na przystanek i wypić kilka piw, które za drobną opłatą kupowali im pijacy siedzący pod sklepikiem Noszczykowej.

– To bądź o piątej na przystanku, pojedziemy za nimi.



Gdy na próbie kościelnego chóru pojawiła się jedynie młoda Rochaśka, Franciszek Kukła, poczerwieniały ze złości, zacisnął usta, żeby tylko nie przekląć w świętym miejscu.

– Człowiek s-swój czas poświęca, a-a t-te n-n-nie przychodzą.

– Do Szunowa wszyscy pojechali, na koncerty.

– Ja-akie koncerty?

– Na Wielką Orkiestrę Świątecznej Pomocy, panie Franciszku.

– A ty co?

– Matka mnie nie puściła. – Rochaśka spuściła oczy. – Mówi, że to diabelska muzyka.

– Tak... – Organista pokiwał głową. – Wszędzie diabeł czyha na młodych w muzyce. Nasłuchają się, a potem wydziwiają, do kościoła odechciewa im się chodzić – skomentował, a później puścił Rochaśkę do domu.

Spojrzał na Zielną Maryjkę i jakoś smutno mu się zrobiło na sercu. Ta patrzyła na niego z wyrzutem spod ściągniętych brwi i nawet wianek z koniczyny pociemniał nad jej jasnym czołem.

– Czego ty ode mnie chcesz, Święta Panienko? – Kukła kręcił się pod ołtarzem, mamrocząc. – Złego nic nie robię, żadnej krzywdy nikomu, żadnej. Przed diabłem chronię. O! Przed diabłem się chronię.

A w tamtych dniach sokołowskiemu organiście wydawało się, że diabeł jest bardzo blisko, że cały czas stoi za jego plecami. Franciszek miał wrażenie, że czuje na karku jego gorący oddech. Nocami coś buzowało pod podłogą, trzeszczało stare drewno, coś kotłowało się w szafie. Poszerzyły się szpary między deskami w podłodze. To rozwiera się piekło, pomyślał z trwogą Franciszek Kukła i zacisnął chude dłonie na różańcu, który dostał po świętej pamięci babce Oldze.

W domu były takie dwa, z drewna różanego, pachnące. Lubił się nimi bawić jako mały chłopiec, ale babka się złościła, gdy przyłapywała go na tym, że nie modli się, lecz wacha drewniane kuleczki. Pamiętał, że ten drugi różaniec babka trzymała w zaciśniętych dłoniach, gdy ją chowali. Dobrze pamiętał, jak wyglądała w trumnie, trochę mniejsza, jakby zasuszona, ale wciąż z twarzą srogą i nieprzystępną. Białą jak twarz upiora.

Jej trumna stała w pokoju na ławie, obok paliły się gromnice, szybko więdły kwiaty, które starowinki ze wsi przyniosły dla zmarłej. Zasłonięto okna i zegary. Kukła bał się, że babka wcale nie umarła, że nagle wstanie i popatrzy na niego, że ukarze go za wszystkie rzeczy, które robił, choć nie powinien. Bo teraz, po śmierci, babka mogła widzieć wszystko.

Nie mógł oderwać wzroku od jej chudych palców i zbyt długich paznokci. W nocy wydawało mu się, że słyszy, jak babka drapie w wieko trumny tymi szponami. Ta na czarno ubrana babka Olga jeszcze długo potem mu się śniła. Wracała do niego, robiła mu na złość. Wtedy bał się jej bardziej niż samego diabła.

Tuż przed pogrzebem, zanim przyszli grabarze, coś musiało się poluzować w podwiązanej szczęce. Kiedy Franciszek wszedł do pokoju, zastał babkę z otwartymi ustami, z których wyływała

ciemność. Potem widywał ją taką, z tą rozwartą szczęką i pustymi oczami. Na pogrzebie ledwie trzymał się na nogach. Wszyscy myśleli, że to z żalu po stracie, ale on bał się, że babka nocą wylezie z trumny i przyjdzie do niego.

W domu był sam, bo bracia już dawno założyli rodziny i się wyprowadzili. Noc pogrzebu to była pierwsza noc, jaką samotnie tam spędził. Zastłonił szczelnie wszystkie okna, wyniósł na podwórko kwiaty i świece, bo śmierdziały mu grobem. Noc była jasna, pozbawiona kolorów, jakby naszkicowana ołówkiem. Na drzewkach obok domu pojawiły się lelki. Usnął przy ich zawodzącym śpiewie i śnił o babce Oldze drapiącej pazurami w okienną szybę.

To wtedy, w samotności, postanowił, że zajmie się hodowaniem gołębi. Jego gołębnik był największy w całej okolicy, przypominał miniaturowy dom, Franciszek mógł wejść do środka i wygodnie się w nim rozsiąść. Często spędzał tak wieczory, gdy wróciwszy z kościoła, nie miał co ze sobą począć. Dla gołębi zbudował duże drewniane klatki, podłoga była solidna, z polerowanych desek. Po jakimś czasie wniósł do środka poduchy i koce.

Ptaki robiły, co chciały, nie pilnował ich. Marzył, żeby chociaż one były wolne. Często z nimi rozmawiał, opowiadał im o kościele, o złośliwych ministrantach, ślicznych dziewczynach z chóru, o nowym księdzu, do którego nie zapałał sympatią. Gołębie odpowiadały mu gruchaniem. Słuchały go, rozumiały.

Gołębnik stał się dla niego miejscem, w którym czuł się bezpieczny. Tu nie sięgało piekło, było daleko od podłogi i jej szpar prowadzących w trzewia ziemi. Nie sięgały tu pazury babki Olgi. Nie mogła go tutaj znaleźć.



Tego popołudnia, w którym Grzybek wraz z Kurzajką umówili się na wycieczkę rowerową, coś tknęło Maślankę. Czuł w sobie niepokój, którego nie rozumiał, ale w jakiś sposób wiązał się z tym, co wcześniej widział w oczach Grzybka. Nienawiść, czarną i gęstą jak smoła. Tak właśnie pomyślał, że czarno mu z oczu patrzyło, gdy mówił o Kwiecińskich.

Jeszcze do niedawna w ogóle by się tym nie przejął, ale od jakiegoś czasu inaczej patrzył na to, co działo się wokół niego. Gdy ksiądz Sabaczyński przytapał go na wlewaniu wina do aspersorium,

był pewien, że znajdzie się w wielkich kłopotach. Wiedział, że oszukuje ludzi, ale on naprawdę potrzebował tego cudu, dla siebie, matki i ojca. Po to, żeby było łatwiej. Wtedy po raz pierwszy spotkał się z prawdziwym ludzkim zrozumieniem. Nie dość, że ksiądz go nie wydał, to jeszcze zaczął rozmawiać z nim inaczej niż do tej pory. Maślanka miał wrażenie, że zaczął go traktować jak dorosłego, i był z tego bardzo dumny. Czasami długo rozmawiali po zakończonej mszy, a do tego ksiądz pożyczył mu nawet swoją gitarę.

A Grzybek coraz bardziej działał mu na nerwy. Wprawdzie byli kolegami, razem służyli do mszy, ale zawsze, gdy się z nim spotykał, czuł, jakby coś wysysało z niego energię. Męczyły go Grzybkowe złośliwości i to, że przy nim wszystko wyglądało jak w ciemnych barwach. I ta obsesja na punkcie Kwiecińskich, która zdaniem Maślanki była niedorzeczna, bo oni ledwie wyściubiali nosy z tego pałacu, więc w czym mu mieli przeszkadzać, nawet gdyby miał co do nich rację?

Zerwał się więc tego popołudnia, bo coś mu mówiło, żeby wziąć z komórki rower i pojechać przez las w stronę Krasnej. Na wszelki wypadek. Potem często myślał o tym, jak wszystko mogłoby się potoczyć, gdyby tego dnia nie wyszedł z domu.

Drzewa przy drodze rzucały długie cienie, z nieba spływał chłód zbliżającego się wieczoru. Maślanka się pocił, koszula lepiała mu się do pleców. Przejechał całą wieś, zajrzał na przystanek, z trudem pedałując, podjechał pod pałacowy ogród. Zawrócił i skierował się w stronę Krasnej i Lipnej, gdzie drogą przy lesie ludzie często wybierali się na przejażdżki lub spacer. Tam z daleka zobaczył na poboczu Grzybka i Kurzajkę.

– O, przyjechałeś – mruknął Grzybek, spluwając przy tym.

– Tak z nudów sobie jeżdżę.

– Wjechali między drzewa, za jakiś czas powinni wyjechać tą drogą. – Grzybek skinął głową w kierunku lasu.

– Ale co ty właściwie chcesz zrobić? – zapytał Maślanka.

Grzybek wzruszył ramionami, zagryzł wargę, zapalił papierosa.

– Zobaczy się, nie? – odparł i spróbował się zaśmiać.

Stali w milczeniu, gdy z lasu rzeczywiście wyłonili się Kwiecińscy na rowerach. Przejechali obok, rzucając lekkie uśmiechy, i skierowali się na piaszczystą drogę wiodącą w stronę Lipnej. Oczywiście Grzybka się zwężyły, przez moment wyglądał wężowato, zupełnie jak nie on.

– Pojedziemy sobie na przejażdżkę.

Wsiadł na rower i skinął na Kurzajkę. Maślanka został w tyle i patrzył, jak rowery znikają za zakrętem. Nie wiedział, co zrobić, a miał przeczucie, że za chwilę może się stać coś niedobrego. Coś strasznego i śliskiego było w Grzybku i to coś właśnie wyszło na wierzch. Widzieli to na pewno także Kwiecińscy, gdy chłopak zeskoczył z roweru i stanął naprzeciw nich taki sztywny, kipiący wrogością.

Para odsunęła się nieznacznie, musieli znać takie spojrzenia.

– Czego chcesz? – odezwał się pan Witold, zsiadając na ziemię i rzucając rower na pobocze drogi.

Głos mu drżał, gdy stanął oko w oko z Grzybkiem, mógł jedynie przypominać jego cień. Chłopak był młody, wysoki, Kwieciński wiedział, że nie mógłby dać mu rady. Przez chwilę miał jeszcze nadzieję, że to zwykłe nieporozumienie, że ta nienawiść w oczach chłopaka to przypadek, przywidzenie. Ale nie, było tak, jak zawsze. Widział takie spojrzenia niejednokrotnie, bo takimi od zawsze raczyli go ludzie, jeszcze w poprzednim życiu, kiedy starał się nie udawać. To od takich spojrzeń uciekli tutaj.

– Chcemy tylko coś sprawdzić i zaraz sobie pójdziemy – wysyczał Grzybek wężowym głosem.

– Co takiego?

– Czy naprawdę jesteście pedałami.

Kwiecińscy się odsunęli, spojrzeli na siebie i w tych spojrzeniach było wszystko.

– Co ci przyszło do głowy? – odezwała się pani Józefa. Tym razem nie potrafiła kontrolować niskiego głosu.

– No pokaż nam. – Grzybek nie odwracał od niej wzroku. – Rozbieraj się.

– Zostawcie nas. – Pan Witold stanął bliżej Grzybka, ale ten go popchnął.

Mężczyzna zachwiał się na nogach. W tej samej chwili chłopak doskoczył do pani Józefy i złapał ją z całych sił za ramiona.

– Chodź tu! – wrzasnął do Kurzajki, ale ten stał w miejscu, nieruchomy, wystraszony niemal tak samo jak starsze małżeństwo. – Chodź tu, mówię, przytrzymaj ją! A może powinienem powiedzieć: jego? – Roześmiał się.

Oczy pani Józefy zalał strach. Kurzajka podszedł bliżej, ale na widok składanego scyzoryka, który Grzybek wyjął z kieszeni dżinsów, przystanął.

– Co ty robisz? – odezwał się do Grzybka, który już nie słuchał. Kopniakiem powalił pana Witolda i jednym ruchem rozciął przód koszulki pani Józefy.

– Nie wrywaj się, to nic ci nie zrobię, pedale. – Grzybek szarpnął materiał, spod którego ukazała się gładka, bo gładka, ale męska klatka piersiowa. Chłopak odwrócił Józefa w stronę wciąż stojącego w zdumieniu Kurzajki.

– Widzisz to?! – krzyknął. – Widzisz?

Pan Józef się szarpał, ale nie miał szans wyrwać się z mocnego uścisku. Bezsilny splunął mu w twarz.

– Skurwysyn! – rzucił, patrząc mu hardo w oczy.

Kurzajka jeszcze nigdy nie widział, żeby Grzybek wpadł w taką furię jak wtedy, choć przecież zdarzało się, że koledze odwalalo, zwłaszcza gdy pili tanie wina na przystanku.

– Zajebię cię, pedale! – wykrzyczał chłopak i uniósł dłoń ze scyzorykiem. Wprawdzie ostrze nie było wielkie, ale i tak wzbudzało strach w rękach kogoś takiego jak Grzybek. – Chcesz być babą? To zrobię z ciebie babę. Ten nożyk nie takie rzeczy już odcinał!

Powalił pana Józefa jednym uderzeniem pięści. Mężczyzna osunął się na ziemię. Drżał, ale wciąż patrzył w oczy Grzybkowi.

– Przyznaj, że po prostu chcesz się pobawić moim kutasem – powiedział do chłopaka, uśmiechając się, co już całkiem rozsierdziło Grzybka.

Zaczął kopać leżącego mężczyznę, który próbował się osłaniać rękami. Gruchnęły kości. Pan Witold rzucił się na Grzybka od tyłu, jednak ten go przewrócił i kopał bez opamiętania. Kurzajka cały czas stał nieruchomo z rozdziawioną gębą. Wtedy od strony lasu wybiegł Maślanka, który od dłuższej chwili przyglądał się wszystkiemu ukryty w krzakach kaliny. Rzucił się na Grzybka i krzyknął do Kurzajki, żeby go wybudzić z odrętwienia. Kurzajka ze łzami w oczach pomógł przytrzymać Grzybka za ramiona, choć ten wił się i wierzgał jak dzikie zwierzę.

– Uciekajcie! – wrzasnął Maślanka w stronę mężczyzn. – Spierdalajcie, szybko! – dodał, widząc, że Kwiecińscy nie rozumieją, co się dzieje.

Wstali z trudem, pan Józef, podnosząc się, syknął z bólu. W szarpaninie musiała spaść mu z głowy peruka, zaczął się rozglądać, ale pan Witold pociągnął go za sobą.

– Nie mamy czasu – powiedział.

Spojrzał tylko jeszcze na Maślankę, który z trudem powstrzymywał wyższego od siebie kolegę. Mirek skinął głową w stronę lasu, dając tym samym znak, że mają się gdzieś schować, bo nie wie, jak długo zdoła utrzymać rozwścieczonego Grzybka.

Biegli długo, a może tylko tak im się wydawało, gdyż w pewnym momencie płuca parzyły ich tak, jakby ktoś wlał w nie rozpalone żelazo. Zmierzchało już. Poza szumem w gałęziach drzew i ćwierkaniem leśnych ptaków nie dochodził do nich żaden inny dźwięk. Nie wiedzieli, gdzie są, więc przez jakiś czas kręcili się w kółko. Bali się wracać, zbliżać do drogi, poszli więc na przełaj, wzdłuż jarów i parowów, mijając leśne wykroty i drzewa stare jak świat. Tutaj Czarny Las przestawał być Czarnym Lasem, a stawał się lasem mało znanym człowiekowi.

Stąd blisko było do bagien, a ludzie z Sokołowa i pobliskich wsi lękali się bagien od zawsze. Szli długo, aż trafili na polanę, z której wychodziły trzy ścieżyny. Wybrali tę najbardziej zarośniętą, okoloną malinowymi i jeżynowymi krzewami. Tak trafili na skraj lasu, który rozciągał się od strony Lipnej.

– Popatrz, jakiś dom – zauważył pan Józef. – Może mają auto, telefon, poprosimy o pomoc.

Na pogłębiającym się granacie nieba majaczył czarny zarys dachu i krótkiego komina. Nie było jeszcze ciemno, ot szarówka, jaka często ogarnia świat o tej porze roku wczesną jesienią. W oddali na horyzoncie jaśniała luna. To zachodzące słońce rozlało się w pomarańczu i czerwieni. Dom wyglądał na stary i zaniedbany. W żadnym z okien nie paliło się światło. Podwórko było zavalone gratami, po lewej stronie stał kurnik z dziurawym dachem bez śladu żadnych zwierząt. Tylko pusta buda po psie, którego już pewnie dawno nie ma.

Przez moment uznali, że nikt tutaj nie mieszka, że dom jest opuszczony, ale wtedy dobiegł ich jakiś dźwięk. Początkowo myśleli, że to dziewczęcy śpiew, ale zauważyli małego szpaka przycupniętego na gałęzi drzewa. To on śpiewał. Podeszli bliżej do rozpadającego się płotu. Dom był drewniany, na pewno nieremontowany od lat. Możliwe, że stał sobie pod lasem jeszcze od czasów przedwojennych. W okolicy było wiele takich domów, choć większość z nich nie wyglądała jak ten zastygły w czasie. Jedynym nowszym elementem był okazały, nowoczesny gołębnik, który przylegał do jednej ze ścian domu.

Ze środka dobiegało gruchanie. Witold zapukał do drzwi, ale wewnątrz panowała cisza. Najwyraźniej ktokolwiek tu mieszkał, był teraz gdzie indziej. Nagle od strony lasu dało się słyszeć jakieś dźwięki. Ktoś biegł, może człowiek, może tylko zwierzę. Mężczyźni spojrzeli na siebie. Nie mogli ryzykować, żeby ten szalony chłopak dopadł ich tutaj.

– Do gołębnika! – ponaglił pan Witold.



Kometa wciąż przemierzała niebo nad Sokołowem i choć za dnia nie była widoczna, to jej obecność ciążyła nad światem, przynosiła ze sobą coś wyjątkowego.

– Magicznego, dziwnego. – Jaśmina próbowała opowiedzieć Róży sen, który przyśnił jej się ubiegłej nocy, jednak wymykał się zarówno pamięci, jak i możliwości ubrania w słowa. Czasami bywa tak, że słowa nie wystarczają, żeby coś opowiedzieć, że jest ich zbyt mało do nazwania rzeczy i zjawisk, których się nie do końca rozumie. – To było w powietrzu, ten niepokój, kometa jaśniała nad głowami, a ja się unosiłam na rzece. Płynęłam za topielicą, jednak kiedy znalazłyśmy się tam, gdzie rzeka zakręca przed Krasną, ona się zatrzymała. Nie mogła wyjść z wody, kazała mi więc iść za kometa, a ta prowadziła mnie przez las w stronę bagien. Tam pod starymi bukami zauważyłam, że coś wystaje z ziemi spomiędzy opadłych liści. Zaczęłam je rozgarniać i się przestraszyłam, bo z ziemi wystawała kobieca ręka, zupełnie jakby z niej wyrastała. Kopałam, kometa cały czas wisiała wysoko nade mną. Odgarniałam ziemię rękami i rzucałam za siebie. Dokopywałam się coraz głębiej, aż w końcu wykopałam ją z ziemi całą. Marysię Miśtównę.

– A to ci dopiero sen. – Róża cmoknęła. – Myślisz, że to zwykły sen czy jeden z tych, które coś znaczą?

– To nie był zwykły sen. – Jaśmina ziewnęła. Obudziła się długo przed świtem i nie wróciła już do łóżka. Na szczęście była niedziela, więc mogła sobie uciąć drzemkę w ciągu dnia, nie musiała tego dnia jechać do Czarodoro. – Nie wiem, co to wszystko znaczy. Może potem wybiorę się na długi spacer, między drzewa, i coś wpadnie mi do głowy. Dawno nie śniło mi się nic takiego. Od czasu...

– Nadziei i dziewczynki spod akacji? – przerwała Róża.

– Tak.

Jaśmina tego dnia się przestraszyła, że wracają do niej złe sny, te same, które przez kilka miesięcy tłumiła pigułkami od doktora Szwarca. Późnym popołudniem wyszła tylną furtką i drogą przy leszczynowych krzewach udała się w stronę Czarnego Lasu. Ucieszony Majonez biegł przy niej, wybiegł za nią także kot Lemi, ale zawrócił po chwili, najwidoczniej stwierdzając, że ma lepsze rzeczy do roboty.

Dzień był piękny, miodowe światło przelewało się między gałęziami drzew, w powietrzu unosiło się babie lato. Las nie zdążył jeszcze całkiem zmienić kolorów, tylko gdzieniegdzie jesień wybuchwała w żółciach i czerwieni. Jaśmina szła, starając się o niczym nie myśleć, ale niemyślenie to wcale nie taka prosta sprawa. W głowie kotłowało się od snów i obrazów.

Szła i szła, nie zauważyła nawet, że zaczęło zmierzchać. Cisza ją uspokajała, ale nie trwała długo, bo tuż za starymi dębami, tam gdzie blisko już do drogi na Krasną, strasznie rozwrzeszczały się ptaki. Jaśmina minęła drzewo, pod którym wciąż leżały resztki szkła po zniczach i zgniłe kwiaty. Przeszły ją dreszcze, gdy pomyślała o Wieczorku, o tym, co mogło się tutaj wydarzyć. Przywołała w pamięci Marysię ze swojego snu i tłustą czarną ziemię, z której wykopywała ją garść za garścią. Przypomniała sobie, jak widywała Marysię w niebieskim ogrodzie jedzącą ziemię albo płatki kwiatów.

Przestraszyła się, gdy usłyszała hałas za plecami. Odwróciła się, ale za nią stał tylko jakiś chłopak, ten łobuz od Maślanków. Był zdyszany, z rozerwanej wargi sączyła się strużka krwi. Majonez zawarczał.

– Proszę pani, trzeba pomóc! – krzyknął łamiącym się głosem. – Ale szybko!

– Co się stało? – Jaśmina podeszła do niego, chcąc się przyjrzeć jego twarzy.

– Nie mnie! – Odsunął jej rękę. – Idą po Kwiecińskich.

– Co? Kto idzie?

– Grzybek! I jeszcze kilku innych ze wsi, pijaków, wziął ich spod sklepu.

Jaśmina patrzyła na chłopaka, nie rozumiejąc, co się dzieje. Ten próbował jej wszystko wytłumaczyć w kilku słowach:

– Grzybek jechał za nimi rowerem, skopał ich, a kiedy Józefa... a raczej Józef mu się postawił, wyjął scyzoryk, grożąc, że coś mu zrobi. Gdyby nie to, że ja i Kurzajka go przytrzymaliśmy, to nie wiadomo, co by się stało. Tamci uciekli w las, a Grzybek obił twarz

i mnie, i Kurzajce, a potem pojechał do wsi. Zebrał chłopów i teraz ich szukają! Powiedział im, że trzeba się pozbyć pedalstwa ze wsi! W nim kipi nienawiść, wcześniej go takiego nie widziałem. – Maślanka spojrzał poważnie na Jaśminę. – On zrobi coś złego, gdy ich znajdzie.

– Czyli mówisz, że o pani Józefie to prawda...

– No, prawda, prawda. – Wzruszył ramionami. – Ale co z tego, to bić trzeba od razu?

Jaśmina skinęła głową, wzięła głęboki oddech i przywołała psa do nogi.

– Wskakuj na rower i leć po sołtysa. Niech zadzwoni do komendanta Filipowicza i może zbierze kogoś.

– A pani?

– Ja tu na was poczekam. Powiedz sołtysowi, żeby jeszcze pojechali po mojego męża do pomocy.

Maślanka zniknął między drzewami. Cisza nagle stała się złowroga. Jaśmina przycupnęła na poboczu, czekając, aż pojawi się ktoś ze wsi. Gdzieś z daleka dobiegały głosy – to po drugiej stronie drogi, z głębi lasu, który nie był już Czarnym Lasem. Sołtys zjawił się po kilkunastu minutach, zatrzymał swoje auto, z którego wysiadło trzech mężczyzn, w tym Mikołaj, który od razu doskoczył do Jaśminy.

– Słyszałam ich – powiedziała kobieta, wstając i otrzepując się z liści i paprochów. – Są w tamtym lesie, szukają ich.

– Zaraz zrobi się ciemno. – Sołtys spojrzał w stronę mroczniejącej gęstwiny. – Jeśli Kwiecińscy gdzieś tam są, musimy znaleźć ich pierwsiego. Kto wie, co tym pijanym przygłupom przyjdzie do głowy. Macie latarki? – zwrócił się do młodego Noszczyka i Omachila.

– Mamy.

– Idę z wami – zadeklarowała Jaśmina.

– Niech pani lepiej tu zostanie, w moim aucie. – Sołtys się odwrócił. – Może Kwiecińscy będą tędy szli? Gdyby coś się działo, niech pani zatrąbi, to wrócimy. Zresztą Filipowicz już jedzie z Szunowa.

Skinęła głową i zawołała psa. Coś niedobrego wisiało w powietrzu, każdy to czuł. Jednak Kwiecińscy nie od razu wrócili na drogę między lasami ani nie zostali dłużej w gołębniku, czekając, aż właściciel domu zjawi się i im pomoże. Tego, co tam zobaczyli, przelękli się jeszcze bardziej niż wściekłego Grzybka.



Ciemność pomieszczenia była wilgotna i duszna. Jedyne lekkie światło sączyło się przez otwory w drewnie, które zostały zaklejone folią czy czymś podobnym. W środku powietrze było gęste, przesiąknięte organicznym zapachem słomy, jęczmienia, ptasich odchodów i czegoś jeszcze. Gołąbnik był na tyle duży, że dorosły mężczyzna mógł w nim stać bez garbienia się.

Pan Józef wszedł pierwszy. Ptaki odezwały się perlistym gruchaniem.

– Jakoś straszno mi się zrobiło na duszy – opowiadał potem pan Witold. – Ten las i dom, czarno, wszędzie ptaki.

W ciemności przesiąkniętej zwierzęcym zapachem było coś, co do niej nie pasowało. Raczej jakiś prastary instynkt podpowiedział im, że w tym dusznym mroku oprócz ptaków jest coś jeszcze. Ktoś jeszcze. Coś się poruszyło między cieniami, zatrzeszczała drewniana podłoga. Obaj wstrzymali oddechy, obaj przywarli do ściany, wlepiając wzrok w czern przed swymi oczami. Pan Józef potknął się o coś.

– Kabel – szepnął, po czym po omacku natrafił na włącznik światła, a raczej na doczepioną do ściany lampkę, do której prąd pociągnięto z domu. Przez chwilę obawiał się tego, co może zobaczyć w ciemności, ale sięgnął dłonią do przycisku. Pstryk. – I stała się jasność, a w niej ona – mówił później, gdy wokół nich zebrali się ludzie ciekawi wszystkiego, co stało się tamtego wieczoru.

– Boże, czy ty to widzisz? – Pan Witold złapał się za serce, które rwało się z piersi. – Czy to... Czy to ona?

– Ona. – Pan Józef westchnął, coś ciężkiego pojawiło się w jego oddechu. – Kto mieszka w tym domu?! – Zwrócił przerażoną twarz w stronę pana Witolda, na co ten tylko pokręcił głową. Nie wiedzieli, że stary dom pod bukowym lasem należy do Franciszka Kukły, kościelnego organisty.

– Spokojnie... – Pan Józef zrobił kilka kroczków i wyciągnął przed siebie ręce. – Spokojnie, nic ci nie zrobimy. Czy ktoś jest w tym domu?

Pod drugą ścianą na czymś w rodzaju materaca siedziała dziewczyna. Była bardzo chuda, a jej długie włosy spływały po ramionach aż do podłogi. W jej oczach widniał strach, który po dłuższej chwili ustąpił zaciekawieniu. Dziewczyna podniosła się, była

bardzo słaba, miała brudne stopy i paznokcie. Patrzyła na mężczyzn jak na kogoś, kto musiał się jej przyśnić. Przez moment jej oczy zajaśniały, ale może tylko tak się wydawało panu Józefowi.

Dziewczyna stała nieruchomo, czekała na to, co się wydarzy. Pan Witold zauważył, że na maleńkim stoliku obok jej pośłania znajdowały się talerzyki i pojemniki z pożywieniem, wszystko czyste i raczej świeże. Wokół pośłania ktoś rozrzucił kwiaty: herbaciane róże, astry i dalie. O ścianę opierał się mały malowany na drewnie święty obrazek, a obok stały niezapalone świece. Śliski, zimny dreszcz przebiegł po plecach mężczyzny.

– Jak się nazywasz? – Pan Witold podszedł do dziewczyny, ta jednak milczała i tylko patrzyła na nich swoimi ogromnymi, błyszczącymi oczami.

– Marysia? – Pan Józef złapał ją za nadgarstki, były chude i kruche, jakby należały do małego dziecka. – Jesteś Marysia, tak? – dodał drżącym głosem.

– Marysia – odpowiedziała dziewczyna, a na jej twarzy pojawił się cień uśmiechu.

Mężczyźni spojrzeli na siebie. W tej chwili zapomnieli o tym, że gdzieś w lesie może czekać na nich ten obłąkany z nienawiści chłopak, teraz zapewne wraz z innymi, którzy mieli mu pomóc zaprowadzić porządek we wsi.

– Musimy stąd iść. – Pan Józef ujął Marysię za rękę. Była ubrana tylko w wełnianą sukienkę, tę samą, którą przed wieloma laty zrobiła na drutach babka Olga. Narzucił jej na ramiona swoją kurtkę. Zauważył, że nie ma butów, więc zdjął swoje trampki i uklękawszy, włożył je na stopy dziewczyny. Były za duże o jakieś dwa numery. – Rozumiesz, wrócimy do domu. Ale musimy być bardzo cicho.

Na słowo dom Marysia zmarszczyła brwi, musiała już chyba zapomnieć o tym, że jej domem nie jest ten gołębnik.

Tymczasem Franciszek Kukła wracał z Sokołowa z wieczornej mszy. Światelko na jego rowerze migotało, nie oświetlało dobrze drogi. Kiedy zobaczył, że przy rozwidleniu dróg na Lipną stoi auto sołtysa, a między drzewami błyskają światła latarek, przystanął. Co takiego musiało się stać, zapytał sam siebie, że ludzie ze wsi przyszli aż tutaj? Zazwyczaj ta droga była zupełnie pusta o tej porze. Mijając auto, zauważył, że w środku siedzi nie sołtys, lecz Jaśmina od Dziubów z Sokołowa, znał ją z widzenia. Zapukał w szybę, po czym się uklonił. Majonez zawarczał na jego widok.

– D-d-dobry wieczór. Wie pani, c-co się stało?

– Dobry wieczór. – Jaśmina z trudem powstrzymała ziewnięcie. – Kwiecińskich szukają.

– A to zaginęli?

– Ukryli się w lesie, pobił ich ten chłopak... Zresztą, pan go musi znać, bo to ministrant przecież.

– Maślanka? – Kukła wypalił bez zastanowienia.

– Gdzie tam Maślanka! Maślanka im pomógł, sam dostał w głowę. Grzybkowi odbiło, poszedł w las z jakimiś dziadami spod sklepu, bo... No słyszał pan plotki?

– Słyszałem, ale czy t-to p-prawda?

Jaśmina wzruszyła ramionami, co miało znaczyć, że owszem, prawda.

Kukła złapał się za głowę.

– Boże święty, takie rzeczy...

– Lepiej by pan pomógł szukać. Ja tutaj czekam, może się pojawią.

– Takie rzeczy... – Franciszek zdawał się już nie słyszeć Jaśminy, przygryzł wargi i kilkakrotnie pokręcił głową. Odszedł bez pożegnania, pchając przed sobą rower i rozmyślając o starszym małżeństwie. – Taki grzech... Bóg im nie wybaczy – powiedział sam do siebie, z odrobiną satysfakcji, a także... zazdrości?

Odepchnął szybko to uczucie. Przed oczami stanęła mu babka Olga, ujrzał piekło między deskami podłogi, smoliste diabły, otchłań bez dna pełną krzyków, jęków i rozpaczy. Kukła poszedł w ciemniejszą noc i nie wyrwałby się z tego zamyślenia, gdyby nie to, że kiedy wszedł na swoje podwórko, od razu rzuciło mu się w oczy, że drzwi gołębnika stoją otwarte na oścież. Czyżby był tak bezmyślny, że nie sprawdził, czy zamknął je za sobą? Drzwi otwierały się tylko od zewnątrz. Przeżegnał się i ruszył przed siebie.

W gołębniku były tylko ptaki. Zobaczywszy pusty materac i przedmioty porzucane jakby w pośpiechu, organista zamarł. Dotknął twarzy, zamknął oczy i bezgłośnie zaczął wypowiadać słowa modlitwy.

– Święty Drogo, patronie ludzi brzydkich, zmiłuj się nade mną. – Pozbierał z podłogi łebki kwiatów i trzymając je w dłoniach, przyłożył do twarzy. Pachniały słodyczą i świętością. – Święta Panienko, dlaczegoś mnie opuściła? – Załkał, chowając twarz w kwiatkach. Opadł na kolana i płakał, jednak po chwili się podniósł, rąbkiem koszuli wyczyścił okulary i odetchnął głębiej. – Muszę ją znaleźć, zanim ktoś inny ją znajdzie – powiedział ni to do siebie, ni to do

świętego z obrazka na ścianie. – To moja święta, bez niej pochłonie mnie piekło.

Wybiegł w coraz bardziej szarzejący wieczór. Nad światem zawisł już księżyc, srebrzył wysokie świerki i bukowe gałęzie. Las był pełen cieni i szelestów. Franciszek Kukła wszedł między drzewa furtką znajdującą się na tyłach podwórka. Rzadko jej używał, bał się nieruchomej ściany lasu, od której nocami szły szepty i jęki.

Pamiętał, że babka Olga często wychodziła tą furtką, potem wracała z chrustem, grzybami, jagodami. To było jej wejście do lasu. Dla niego nie był on dobrym miejscem. Pamiętał babcine opowieści o różnych stworzeniach, które go zamieszkują i pożerają takich nieznośnych chłopców, jakim był. Nocami wypatrywał, czy coś się porusza między drzewami.

Czasami widywał fluorescencyjne światło tuż przy poszyciu. Zastaniał wtedy szczelnie wszystkie okna, zastawiał drzwi komodą i chował się pod pierzyną ze złoconą ikoną ze Świętym Drogo w dłoniach. Czuł się jak w potrzasku w tym samotnym domu na skraju lasu. Wokół były tylko drzewa i łąki, nieprzyjazne terytorium należące do Złego i jego świty, wszystkich tych czartów, leśnych diabłów, mamum i jędz. Modlił się tak długo, aż zasypiał, potem budził się połamany, w niewygodnej pozycji, ale zadowolony, że odpędził to, co na niego czyhało.

Teraz zdusił w sobie strach. Odnalezienie Marysi było najważniejsze, nie mógł jej stracić, bo to ona chroniła go przed diabłami. Poza tym gdyby ktoś się dowiedział, że nie wypuszczał jej z gołębnika przez tak długi czas, znalazłby się w nie lada kłopotach. Tego też bardzo się bał Franciszek Kukła, bo z natury był raczej tchórzliwy.

Ale nic złego jej nie zrobiłem, tłumaczył się w myślach przed samym sobą, idąc ciemnym lasem. Złe odganiałem. Traktowałem ją tak, jak należy się świętej, miała kwiaty i świece. Tak. Daleko za polaną, gdzie wczesną jesienią zawsze rosną muchomory, usłyszał jakieś głosy. To sołtys z mężczyznami ze wsi wciąż szukali Kwiecińskich.

– Też pan szuka, panie Kukła? – Sołtys skierował światło latarki na jego twarz, która wykrzywiła się w grymasie ni to uśmiechu, ni to lęku. – Tutaj chyba ich nie ma, wołaliśmy, krzyczeliśmy. Pojedziemy pod pałac, może wrócili do siebie?

– Tak... – Kukła pokiwał głową. – N-n-nie ma ich.

– A nie słyszał pan nikogo innego? Grzybka też szukamy, żeby żadnych głupot nie narobił.

– Nie słyszałem.

– Nic to. – Sołtys opuścił latarkę, rozejrzał się wokół. – Chyba będziemy się zbierać. Panie Kukła, dziękujemy za pomoc. Może pan wracać.

Organista nie odpowiedział, patrzył, jak tamci znikają za wielkimi bukami, które teraz, w ciemności, wydawały się ogromnymi stworami nie z tego świata. Wciągnął głęboko nocne powietrze. Było już chłodno, miał ochotę wrócić do domu, wejść pod pierzynę i o wszystkim zapomnieć. Ale wiedział, że nie może tego zrobić, że musi ją znaleźć.



Komendant Filipowicz stał na poboczu, rozmawiając ściszym głosem z sołtysiem. Po Kwiecińskich nie było śladu, ale i Grzybek przepadł. Maślanka tkwił ze spuszczoną głową, przed chwilą powiedział policjantowi o wszystkim, co widział. Rozcięta wargą spuchła, nadając jego twarzy groteskowy wyraz. Pozostali ustawili się przy sołtysowym samochodzie, paląc i rozmawiając. Omachil z Noszczykiem stroili sobie żarty, bo bardzo rozbawiło ich to, że pani Józefa okazała się panem Józefem.

– Pojedziemy sprawdzić, czy są w pałacu, a Grzybkiem zajmiemy się jutro – zarządził Filipowicz i zgasił butem papierosa. Byli bardzo zmęczeni, przystali na to w milczeniu. – Zabierzemy się wszyscy do wsi, mamy dwa auta.

Samochody ruszyły spod bukowego lasu w stronę Sokołowa. Droga była ciemna i pusta, światła reflektorów wyłuskiwały z tej ciemności różne kształty, cienie i przemykające poboczem małe leśne zwierzęta.



Noc była dobra na zbieranie jesiennych ziół, więc Grzebielucha, która i tak nie mogła spać, szła między łąkami pochylona przy polnej drodze. Księżyc pomagał jej, tak jak zawsze, oświetlał drogę i wskazywał dorodne skupiska wrzosów i dzikiego chrzanu. Przez

ramię przewiesiła sobie płócienną torbę, teraz już w połowie wypełnioną roślinami i korzeniami.

Coś nie dawało jej spokoju tej nocy, choć czasami nie mogła zasnąć ot tak, po prostu ze starości. Strumyk przy jej chacie mrucał złowrogo, coś nieprzyjemnego słychać było w szumie gałęzi. Kiedy zmrużywszy oczy, zauważyła, że na skraju lasu pojawił się cień, wcale się nie zdziwiła. Właściwie spodziewała się czegoś dziwnego, a przeczucia jeszcze nigdy jej nie zawiodły. Z daleka widziała tylko niewyraźny zarys sylwetek.

– Kogóż to niesie o tej porze przez las? – Cmoknęła i się wyprostowała.

Po chwili zauważyła, że ktokolwiek to był, szedł z trudem. Ruszyła w ich kierunku. Grzebielucha nie bała się niczego ani nikogo. Dostrzegła dwóch uginających się na nogach mężczyzn, a między nimi staniającą się dziewczynę. Przez te wszystkie miesiące spędzone w gołębniku Marysine nogi zapomniały, jak się chodzi, mięśnie nie miały w sobie ani krzty siły. Mało rzeczy na tym świecie dziwiło Grzebieluchę, ale tym razem nawet ona otworzyła usta ze zdziwienia i przez chwilę nie potrafiła wydobyć z siebie głosu.

– Boże przenajświętszy – wyszeptala tylko po chwili i zbliżyła się do osuwającej się ze zmęczenia dziewczyny. – Chodźcie za mną – powiedziała, nie pytając o nic, i odezwała się dopiero, gdy wszyscy usiedli w ciepłej izbie przy drewnianym stole, tym samym, przy którym odczyniała uroki ludziom ze wsi. Tym samym, przy którym tak często siadywał Franciszek Kukła.

Tej nocy mało kto spał. Nie spała Grzebielucha krzątająca się i przygotowująca napary i posiłek dla niespodziewanych gości. Nie spali też oni, bo strach i adrenalina buzowały w ich żyłach jeszcze długo. Nie spali sołtys, komendant Filipowicz, Noszczyk i Omachil, nie spali Jaśmina z Mikołajem. Nie spano też w Dziubowym domu, bo martwiono się, że Jaśmina i Mikołaj tak długo nie wracają. Nie spał Franciszek Kukła, który zamknął się w gołębniku i pogrążył w modlitwie, lecz tym razem modlitwa nie odpędziła strachu.

– Co się ze mną stanie? – pytał Świętego Drogo, jednak święty milczał, jakby był obrażony.

Organista słyszał harujące pod podłogą diabły. Szykują się na mnie, pomyślał i zadrżał z trwogi.

Grzebielucha nakarmiła i napoiła trójkę zbłąkanych, opatrzyła rany na ich twarzach i ciałach.

– Żebra połamane – oceniła obrażenia pana Józefa. – Do szpitala trzeba będzie.

– Nie czas na szpital, babko – odezwał się Józef zmęczonym głosem. – Musimy się nią zająć. – Wskazał na Marysię, która przysypiała już ułożona w łóżku przez Grzebieluchę. – Trzeba sołtysa zawiadomić i policję.

– Tamci wciąż mogą się kręcić po lesie. – Pan Witold pociągnął łyk zaparzonego przez Grzebieluchę naparu. Czuł się wyraźnie lepiej. – Co to za napój pani przyrządziła? Działa jak magia.

– To? – Grzebielucha uniosła brwi. – Wódka z czarnym bzem.

– To ja poproszę o dolewkę.

– Droga do wsi zajmie mi pół nocy. Nogi już nie te, co kiedyś – rzekła Grzebielucha. – Ale siedźcie tu i czekajcie.

– Nie może pani sama iść w noc – zaprotestował pan Witold.

– Absolutnie! – zawołał pan Józef. – Tam jest niebezpiecznie.

Grzebielucha ujęła się pod boki i zaczęła się głośno śmiać, aż mężczyźni spuścili głowy.

– Niebezpiecznie, a to dobre! – Trzasnęła ręką w udo, sięgnęła po chustę, którą włożyła na siwiuteńką głowę, i już jej nie było. – Nikogo nie wpuszczajcie – dodała zza drzwi, cały czas śmiejąc się pod nosem.

Grzebielucha nie musiała dreptać do samego Sokołowa. Gdy szła poboczem w kierunku wsi, minęły ją auta sołtysa i komendanta. Machnęła na nich, żeby ją zauważyli. Samochody zatrzymały się kilkanaście metrów dalej.

– Babko, a co wy tu robicie o tej porze? – Sołtys odkręcił szybę.

– Sołtys niech zawraca samochód – poleciała zdyszana. Z drugiego auta wysiadł komendant Filipowicz. – Pan policjant też niech jedzie.

– Co się stało?

– Do mnie, do mnie jadą, wszystko pokażę.

– Czy to chodzi o Kwiecińskich, o tych z pałacu?

– Tak, tak – odparła zniecierpliwiona Grzebielucha. – Posunie się, zrobi miejsce starej kobiecie. – Wlazła na tylne siedzenie, moszcząc się obok Jaśminy i Mikołaja. – Wszystko pokażę.

Zatrzymali auta na poboczu drogi, bo do chaty Grzebieluchy prowadziła wyboista polna dróżka, którą nie dało się jechać samochodem. Wysiedli wszyscy, zdziwieni, ucieszeni tym, że mężczyźni się znaleźli i nic im się nie stało. Kiedy zbliżyli się do płotu, Grzebielucha stanęła, odwróciła się i rozkazała:

– Poczekajcie, najpierw wejdzie ze mną sołtys.

– Ale dlaczego? – Sierżant już ruszył przed siebie, jednak znieruchomiał pod zimnym spojrzeniem staruszki.

– Zrobi, jak powiedziałam. – Grzebielucha wzięła pod rękę sołtysa i zanim otworzyła drzwi, stanęła naprzeciw niego, szepcząc.

Wszyscy patrzyli w milczeniu, gdy znikali za drzwiami. Po chwili z zewnątrz dobiegł ich płacz, jakiego żadne z nich nie słyszało w całym swoim życiu. Filipowicz przestraszony podszedł bliżej, reszta stała bez ruchu. Gdy drzwi na powrót się otworzyły i stanęła w nich Grzebielucha, nawet robiący sobie do tej pory żarty Noszczyk wstrzymał oddech.

Zza jej pleców drobnymi kroczkami wyszli Kwiecińscy, widać było, że przeżyli ciężką noc. A potem w drzwiach ukazał się sołtys, ale nie sam. Ścisnął kogoś w ramionach, chudą dziewczynę z włosami długimi jak pnącza dzikich roślin. Płakał i śmiał się, a jego wielkimi ramionami wstrząsał szloch.

– Cud – powiedział do ludzi zebranych pod domem Grzebieluchy. – Cud sokołowski.



Minęło wiele tygodni, zanim Marysia po raz pierwszy pojawiła się we wsi. Ludzie wygadywali niestworzone rzeczy, że tak schudła, iż trzeba ją było kroplówkami karmić, że jej włosy urosły tak bardzo, iż teraz ciągną się za nią po ziemi, że całkiem jej się pomieszało w głowie od tego uwięzienia i nie rozpoznaje już nikogo, a nawet że teraz wcale nie mówi, tylko grucha jak gołębica.

Jednak gdy sołtysowa córka pokazała się na którejś niedzielnej mszy obok sołtysa, wyglądała zupełnie tak samo jak kiedyś, choć może rzeczywiście była trochę chudsza. Siedziała, uśmiechając się, zapatrzona w ołtarz sokołowskiej Zielnej Pani. Ksiądz Sabaczyński śpiewał drżącym głosem, z góry płynęła muzyka organów, a choć ludzie krzywili się na fałszywe dźwięki i zbyt wolne tempo, to jednak nic nie mówili.

Nie było już Franciszka Kukły, który potrafił pięknie grać. Trudno przecież znaleźć nowego organistę, więc ksiądz Sabaczyński namówił Maślankę, aby ten się przyuczył. Chłopak grał już trochę na elektrycznych organach, przystał więc z ochotą na propozycję proboszcza, chociaż kiedy po raz pierwszy usiadł na górze i dotknął wiekowego drewna szafy organowej, poczuł, jak zimny dreszcz

przebiega mu po plecach. Przez chwilę wydawało mu się, że stoi za nim Franciszek Kukła, jednak to było niemożliwe, bo przecież kiedy złapano go tamtej nocy w lesie przy Lipnej, jego noga nie stanęła już w Sokołowie.

Kukłę z aresztu przeniesiono do szunowskiego zakładu dla umysłowo chorych, po tym, jak wpadł w histerię i zaczął mówić coś o piekle, diabłach i świętej Marysi. O tym, jak uświęcił jej sukienkę w kapliczce. W szpitalu wciąż czekał na karę, jednak nikt się nie spodziewał, że kiedykolwiek może zostać stamtąd uwolniony.

Historia organisty i porwanej dziewczyny nie schodziła z ludzkich języków przez długie miesiące. Przyćmiła nawet sprawę starszego małżeństwa z pałacu. Pan Józef po wydarzeniach w lesie długo chorował, trafił do szunowskiego szpitala, gdzie pan Witold nie mógł go na początku nawet odwiedzić.

– Żyliśmy ze sobą razem tyle lat, a teraz nie mogę nawet tam wejść, aby koło niego usiąść, bo mówią, że nie jestem z rodziny. Jeżeli ja nie jestem z rodziny, to kto jest? – skarżył się sołtysowi, który razem z nim pojechał do Szunowa.

Sołtys nigdy się nad takimi rzeczami nie zastanawiał, nigdy wcześniej nie znał takiej pary jak pan Witold i pan Józef. Sądził, że takie związki zdarzają się tylko na zagranicznych filmach pokazywanych w telewizji. Ale potem zaczął myśleć, przypominać sobie różnych bliskich przyjaciół czy wujków i doszedł do wniosku, że takich ludzi jest więcej, tylko muszą się kryć przez to, że na świecie wciąż jeszcze dużo jest Grzybków i jemu podobnych.

Pokiwał smutno głową, nie wiedział, co odpowiedzieć panu Witoldowi, nie wiedział, czy gdzieś na świecie jest miejsce, w którym tacy jak on mogą żyć bez udawania. Na pewno takim miejscem nie był Sokołów. Kilka dni po odnalezieniu Marysi ktoś obrzucił kamieniami pałac. I choć wybite szyby wstawiono już następnego dnia, w panu Witoldzie coś pękło i nie dało się już zlepić na nowo.

Gdy pan Józef leżał w szpitalu, okazało się, że oprócz połamanych żeber uszkodzeniu uległy również narządy wewnętrzne. Pan Witold nie czuł się bezpiecznie sam w pałacu, tym bardziej że gwizdano za nim na drodze, kiedy szedł z zakupami od Noszczykowej, a jakieś dwie starowiny na jego widok splunęły, przeżegnały się i przeszły na drugą stronę. Nie czekało go tutaj dobre życie, więc zaraz po wypisaniu pana Józefa ze szpitala pałac został sprzedany, a para szybko się wyniosła, zostawiając za sobą wypełnione książkami

szafki oraz historię, o której jeszcze długo ludzie w Sokołowie mieli opowiadać.

Miśta posmutniał, bardzo ich polubił, a poza tym był ogromnie wdzięczny za to, że to dzięki nim odnalazła się jego córka. Nie mógł im tego w żaden sposób wynagrodzić, a jako sołtys nie potrafił nawet zapewnić im spokojnego życia we wsi. Jak ten świat jest urządony, pomyślał, że jednych potępia się za wzajemną miłość, a innym wybacza się nienawiść? Myślał o Grzybku, którego jako nieletniego nie spotkała żadna znacząca kara i który wrócił do Sokołowa, jakby nic się nie stało. Jedynie ksiądz Sabaczyński sprzeciwił się temu, aby chłopak znów służył do mszy, co spotkało się z pewnym niezadowoleniem niektórych ludzi.

– Co to za ksiądz? – mówili. – Swojego chłopaka z tej ziemi odtrąca, i za co? Że ponaśmiewał się trochę z tych homo? Przecież to grzesznicy, powinien mu jeszcze pogratulować.



Marysia Miśtówna przesiedziała całą zimę w domu, czasami wyglądała czegoś przez zaparowane okna. Sołtys obserwował ją trochę zmartwiony, ale szczęśliwy. Widział, że zdrowiała, choć zdawał sobie sprawę, że po tym, co się wydarzyło, nigdy nie będzie taka jak kiedyś.

Teraz nie mówiła już wcale, tylko śpiewała, ale kiedyś nadejdzie dzień, gdy się odezwie i powie o leśnej pani, która przychodziła do niej co wieczór pod gołębnik, siadała na jego drewnianym dachu i nuciła. We włosach miała wianek z koniczyny i taki sam Marysia będzie nosić w swoich włosach, gdy do Sokołowa przyjdzie lato.

Będzie wciąż wypatrywać oczy w ciemnościach, czekając na widmową panią. A ta pojawi się już tylko w snach, ubrana w mgły i płatki kwiatów, więc Marysia zacznie spać coraz dłużej, aż któregoś ranka sołtys Miśta jej nie dobudzi. Będzie stał wpatrzony w delikatny uśmiech na jej twarzy, wiedząc, że córka zamieszkała teraz w swoich pięknych snach. Ale zanim to się stanie, minie dużo, dużo czasu. Jeszcze długo dom sołtysa będzie wypełniony dziewczęcym śpiewem.

Pałac opustoszał jeszcze przed zimą, ale za to dom po drugiej stronie niebieskiego ogrodu wypełnił się nowymi mieszkańcami. Mikołaj zdołał ukończyć remont tuż przed grudniem, a przeprowadzka

trwała cały tydzień. Wynoszono meble z sypialni Jaśminy i Mikołaja, zjawiała się ciężarówka z nowymi, dowiezionymi z Szunowa. Wewnątrz było skromnie, ale przytulnie i Jaśmina uśmiechała się na myśl, że w końcu będą mieć dla siebie tyle miejsca.

Ściany pokoju Malwy pomalowano na niebiesko, nad łóżkiem przyklejono świecące w ciemności gwiazdy. Dom znów zaczął żyć. Jaśmina poczuła, jakby mieszkała w nim od zawsze, bo każdy dom jest przedłużeniem nas samych. Jest to obszar, do którego przynależymy, do którego zawsze możemy wrócić. Dom to ciągłość w czasie i więź z przestrzenią. To wspomnienia i rytuały, miłość i smutek. Zażyłość. Pustka, którą próbujemy wypełnić. Domy nosimy w sobie.

Tak, dom żył. Wystarczyło tylko na chwilę przystanąć i można było poczuć, jak oddycha. Można było usłyszeć, jak mówi. Jego opowieści rozbrzmiewały w skrzypieniu schodów, w tym szczególnym dźwięku, jaki wydają wyslizgane ludzkimi dłońmi poręcze, gdy się ich dotyka.

Mówiły szpary w oknach, chłodne korytarze i przeciągi. Wytarte dywany, trzeszczące rozkładane kanapy. Groźnie pomrukiwał piec, histerycznie piszczwały nienaoliwione drzwi i szeptał dym w kominie. Okna od strony drogi przy lesie przepuszczały dźwięk kroków oraz wieczornych ptasich śpiewów. W ten sposób świat zewnętrzny próbował wedrzeć się do domu, ale dom bronił się solidnymi murami i grubymi kotarami. Dom, jak każdy stary dom, nie należał już do świata, należał tylko do siebie i do swoich duchów. Stał zajęty trawieniem przeszłości.

Pierwszej nocy Malwa spała z Hanią, bo dziewczynkom trudno było się rozstać, zresztą potem spędzały noce to w jednym, to w drugim domu, bo wystarczyło tylko przejść kilka kroków przez ogród, by być razem. A ta pierwsza noc była wyjątkowa. Po kolacji, na którą Jaśmina przyrządziła zapiekankę ziemniaczaną, dziewczynki poszły do pokoju Malwy, gdzie zgasiły światło i tylko przy fluoryzujących gwiazdach na ścianie czekały, aż pojawią się duchy. Jednak szybko zasnęły zmęczone po całym dniu zabawy. Nie słyszały kroków dochodzących ze strychu ani nie widziały małego, chudego lisa, który nocą podszedł pod okna.

Jaśmina pierwszej nocy nie mogła zasnąć, była podekscytowana, poza tym za dużo zjadła. Mikołaj chrapał cicho obok niej, a ona leżała z otwartymi oczami. Tuptanie dochodzące ze strychu było wyraźne. Pomyślała, że to dziewczynki zakradły się tam w poszukiwaniu duchów i tajemnic, jednak kiedy zajrzała do pokoju Malwy, obie tam

były, śpiące, z włosami rozrzuconymi jak aureole na poduszkach. Wspięła się więc po drewnianych schodach, starając się być cicho.

Strych był pusty, nie licząc schowanych pod prześcieradłami starych mebli. W powietrzu unosił się ledwie wyczuwalny zapach paczuli. Jaśmina uśmiechnęła się, zamknęła drzwi i wróciła do łóżka. Potem przyzwyczaiła się do skrzypiących podłóg, trzeszczących schodów, tuptania rozlegającego się tuż nad sufitem. Nie zwracała nawet uwagi na to, że czasami pod oknami słyszy lisi śmiech albo Majoneza ujadającego na coś, czego tam nie było.

– Zawsze wiedziałam, że mieszkamy z duchami – mówiła do Mikołaja.

Nocami wyczekiwała szmerów i wtedy wstawała, schodziła na dół w nocnej koszuli, w której sama wyglądała trochę jak duch. Wypuszczała do ogrodu psa, który biegał w kółko, obszczekując sobie tylko wiadome rzeczy. Dom był cichy i ciepły, taki, jaki powinien być dom. Po drugiej stronie ogrodu paliło się światło w Dziubowym domu. To ojciec nie spał, siedział całe noce na swoim stryszku, wpatrując się w odległe gwiazdy. Wydawało się, jakby w powietrzu, obok dymu z komina, unosiło się coś jeszcze. Coś dziwnego, magicznego przecinało ciemną przestrzeń.

Jaśmina podeszła do okna. Lubiła się przypatrywać nocy. Teraz czuła, że świat wokół niej się zmienia, że po tej zimie już nic nie będzie takie, jak wcześniej. To, co się wydarzyło tego roku w Sokołowie, odcisnęło piętno chyba na każdym mieszkańcu. Cuda w kościele, powódź, zaginięcie Marysi i jej odnalezienie, garbaty Wieczorek i Kukła, zaszczucie Kwiecińskich. Teraz, wraz z zimą, dla wielu nastał czas ulgi i wdzięczności, tylko stara Grzebielucha powtarzała, by nie cieszyć się zbyt wcześnie, bo za dużo w ludziach ostatnio ciemności.

Spowity nocnymi mgłami ogród wyglądał jak namalowany. Śnieg odbijał księżycowe światło, które kładło się srebrem na dachach i czubkach drzew. Majonez przybiegał zadowolony, załatwiwszy swoje psie sprawy, Jaśmina wpuszczała go do środka wraz z chłodem grudniowej nocy. Obok jego śladów na śniegu widać było ślady lisa.

Wychyliła się na zewnątrz zdziwiona tylko trochę, w końcu to był niebieski ogród, w którym widywała już różne rzeczy, nie tylko lisie ślady w środku zimy. Lis siedział pod jabłonią, tuż za pokrytym pierzyną śniegu warzywnikiem i najwyraźniej się do niej uśmiechał.

Jaśmina też się uśmiechnęła i wtedy lis zniknął w kopie białego puchu.

Gdy wracała na górę, przystanąła jeszcze na szczycie schodów, gdzie z korytarzowego okna rozciągał się widok na cały ogród. Tam, między uśpionymi drzewami, zobaczyła je. Stały obok siebie, a zadowolony lis krążył wokół nich. Ta wyższa, o rudych włosach, złapała rękę małej dziewczynki, po czym odeszły między skarłate grusze. Obejrzały się jeszcze przez ramię, zaglądając w okno, w którym stała Jaśmina, posyłając uśmiechy. Ich stopy nie dotykały ziemi.

Już nigdy nie przyśniła jej się rzeczna panna, która zapewne rozplynęła się w czasie. Kiedy śnieg stopniał, udała się na cmentarzyk na górcie, na którym teraz leżały wszystkie duchy z jej snów. Tabliczka na grobie Johasi Miształ była zniszczona i ledwie czytelna, za to ta na nowym grobie Rozalii błyszczała świeżą farbą. Dziwnie było tam stać pomiędzy tymi krzyżami i wietrznymi wierzbami, szepczącymi głosami tych, którzy leżeli głęboko w ziemi. Wszyscy jesteśmy duchami, pomyślała Jaśmina, patrząc na rozciągający się w dole pejzaż wsi.



Kometa wciąż wisiała nad światem, choć za kilka miesięcy miała zniknąć gdzieś w dalekim wszechświecie. Siemił chodził w ostatnich dniach roku zadumany, znów zaszywał się na długie godziny na stryszku ze swoimi książkami i lunetami. Florentyna często miała czerwone oczy. Córki widziały, jak zaplątuje się w czasie, we wspomnieniach, które trochę zaczęły jej się mieszać z rzeczywistością. Kiedy spadł pierwszy śnieg, siedziała wpatrzona w kuchenne okna, jakby czegoś wypatrując, jednak ogród był pusty. Jaśmina zauważyła, że matka zniosła ze strychu stary domek dla lalek i ustawiła go na parapecie w swojej sypialni.

– Popatrz. – Pociągnęła któregoś dnia Jaśminę pod samo okno i nachyliła się nad drewnianym domkiem. Drewno było już stare, aż dziw brał, że domek nie rozpadł się po tylu latach. – Ona też tu jest.

– Kto? – zapytała Jaśmina i zbliżyła twarz ku małym figurkom.

Florentyna nie musiała odpowiadać, bo Jaśmina od razu zauważyła, że między laleczkami, które znała, które widziała już wcześniej, pojawiła się nowa. Mała figurka dziewczynki.

Domek od lat był już tylko zwyczajnym domkiem dla lalek i tak naprawdę mało kto wierzył w opowieści Florentyny, że drewniane figurki pojawiały się w nim same. A teraz ta maleńka laleczka tam była, taka realna, całkiem prawdziwa. Jaśmina uśmiechnęła się, choć w jej sercu rozlał się smutek. Zobaczyła, że figurki przedstawiające Florentynę i Siemiła stoją tuż obok małej Rozalki odwrócone do maleńkiego okna.

– Chodźmy do kuchni, mamo – powiedziała, tłumiąc płacz. – Posłuchamy radia, zrobimy placki dla dziewczynek.

– Nie bądź smutna, Jaśminko. – Florentyna złapała córkę za rękaw sukienki. – Czym tu się smuć, że świat urządzony jest tak, a nie inaczej...



Dziwny jest czas, z którym przychodzi nam się mierzyć, bo jak mamy to robić, nie rozumiejąc nawet, czym jest? Wszystko przemija i powraca, zatacza koło, kończy się i zaczyna na powrót. Znikanie i stawanie się, może wszystko jest tym samym, częścią jednego wielkiego trwania? Może rację miała Florentyna, kiedy mówiła, że wszystko, co jest, jest wieczne i się zapętla? Że może płyniemy między gwiazdami tam, skąd się wzięliśmy, a kończymy się tam, gdzie się zaczynamy?

Podziękowania

Dziękuję za ogrom pracy Adriannie Michalewskiej, Annie Jackowskiej i Aleksandrze Chytróń-Kochaniec.

Przypisy

[1] R. Smith, *The Cure, A Forest*, Seventeen Seconds, Fiction Records, 1980.



Kontynuacja *Florentyny od kwiatów* i *Nadziei od zwierząt*,
zwieńczenie „serii sokołowskiej”.

Sokolów wciąż nie jest sielskim miejscem. W tajemniczych okolicznościach znika córka sołtysa, do palacu wprowadzają się dziwni lokatorzy. W okolicy aż kipi od domysłów i pytań. Odpowiedzi na nie pojawiają się w męczących snach Jaśminy, kobieta gubi się między majakami a jawą. Czy traci zmysły, czy to ktoś z przeszłości próbuje wdrzeć się w jej sny? Co przyjdzie wraz z wielką wodą, która nawiedzi kraj w 1997 roku? Czego boją się nowi mieszkańcy palacu?

Jaki mrok widzi w ludziach babka Grzebielucha odczyniająca uroki w domku na skraju lasu?

W gawędzie osadzonej w realiach polskiej wsi wszechobecna tajemnica spleta się z mrocznymi wątkami, tworząc oniryczną opowieść o przemijaniu i magii, która istnieje tuż pod powierzchnią rzeczywistości.

Jaśmina od snów łączy w sobie elementy baśni, fantastyki i kryminału.

Eksploruje metaforyczne wymiary ludzkiego życia, przeplata doświadczenia codzienności z nadnaturalnymi elementami.

Patronaty



Książnica

www.publicat.pl

ISBN 978-83-271-6439-1

EAN 9788327164391

U.KS.OBY071.1.01.01